

Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

ŚMIERĆ NADEJDZIE w URODZINY



Przypadek
chodzi
po ludziach...

Jacek
Getner

ŚMIERĆ
NADEJDZIE
w URODZINY

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2022

Niniejsza powieść jest zmienioną i uzupełnioną wersją książki
Jacka Getnera „Pan Przypadek i kobietony” (Warszawa, 2017)
© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022
© Copyright by Jacek Getner, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Iwona Huchla
Korekta: Agnieszka Mańko, Magdalena Białek
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcia na okładce: © fillvector, © yulialavrova, © dmvector, © vectorchef/123 RF
Zdjęcie Jacka Getnera: © Maciej Zienkiewicz Photography
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-09-2 (EPUB); 978-83-67388-10-8 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.
tel: 691962519
al. J.Ch. Szucho 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L i R A
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci

ROZDZIAŁ I

Niewiasty, które nienawidzą niewiast

Kondukt żałobny składał się głównie z kobiet wyglądających jak mężczyźni i z mężczyzn przypominających kobiety. Podążał wolno główną cmentarną aleją, ledwie tylko przyprószoną nocnym śniegiem, za urną z prochami zmarłej. Mijał po prawej grobowiec Bieruta i innych zasłużonych dla słusznie minionej jakiś czas temu epoki. Nastrój jego uczestników trudno było nazwać radosnym, ale też nie sposób było powiedzieć, że są smutni. Byli raczej zafrasowani tym, jak bardzo zmieni się teraz ich życie.

Niektórzy przyszli tu bardziej z obowiązku, gdyż ich nieobecność na pogrzebie Indzy Wasowicz została by na pewno zauważona. Inni mieli nadzieję, że spotkają kogoś ważnego, kto po śmierci znanej feministki, obrończyni praw zwierząt i kobiet, zastąpi ją w roli ich patrona pomagającego w karierze. Jeszcze inni szczerze żalowali zmarłej, pieszczośliwie zwanej Słonicą. Nie miało to żadnego związku z jej sylwetką, ale ze znakomitą pamięcią, nazywaną przez złośliwych pamiętliwością.

Niektórzy się nawet zastanawiali, czy to czasem nie przez nią musiała opuścić ten łez padół. Wiedzieli doskonale, ilu osobom zaszła za skórę i jak wielu ludzi jej nienawidziło. A sprawa jej zabójstwa, mimo intensywnego śledztwa, wciąż pozostawała niewyjaśniona. Denatkę znalezione z pilnikiem do paznokci wbitym w szyję – wykrwawiła się na śmierć. Na eleganckiej perłowej rękojeści narzędzia zbrodni znajdowało się mnóstwo odcisków palców, ale wszystkie pojawiły się tam prawdopodobnie w trakcie nieudanej akcji ratowania Indzy przez jej współpracowników. Policja na razie niczego nie ustaliła.

Uroczystość pogrzebowa, jak na feministkę przystało, była świecka. Kiedy urna z prochami Indzy spoczęła w grobowcu pułkownika Wasowicza, nikt nie modlił się za duszę zmarłej. Zresztą większość zebranych i tak miałyby spory problem z wypowiedzeniem jakichkolwiek słów modlitwy, gdyż jeśli nawet kiedyś je znała, to dawno już zapomniała. Dlatego wszyscy tylko skłonili głowy i uczcili pamięć zmarłej minutą ciszy. Po niej chętnie wróciliby do swoich codziennych obowiązków. Zwłaszcza że lekki mróz szczypał ich w policzki i nogi. Szczególnie mężczyzn, którzy w większości mieli tenisówki włożone na gołe stopy. Jednak zgromadzeni nie drgnęli, gdyż czuli, że przyjdzie im jeszcze wysłuchać pożegnального przemówienia.

Wygłosić je miał Bonifacy Barszczyk, idący czy raczej wlekący się od cmentarnej bramy tuż za urną z prochami. Zapewne nie dałby rady dotrzeć aż do grobowca, gdyby nie silne męskie ramię jego przystojnego przyjaciela, znanego recenzenta literackiego Ryszarda Karwowskiego. Tylko dzięki niemu nie rozkleił się do szczytu i starał się jakoś trzymać, gdy

urna z prochami zjeżdżała w głąb grobowca. Dlatego teraz wszyscy czekający na przemówienie spodziewali się raczej, że mówca najdalej po kilku słowach kompletnie się załamie. O ile w ogóle da radę wydusić z siebie cokolwiek.

Tymczasem Bonifacy Barszczyk zebrał się w sobie, przełknął ślinę, a z jego oczu zamiast łez wystrzeliły błyskawice.

– Zebrałiśmy się tu dzisiaj wszyscy, żeby cię pożegnać, Indżo. Większość z nas nie wierzy w życie pozagrobowe i myśli, że śmierć zakończyła twoje życie. Tak jednak nie będzie. Wciąż będziesz żyła w licznych dziełach, które pozostały po tobie. W naszym żalu, że cię tu nie ma. I w świadomości tego, co cię zabiło. – Po tych słowach Bonifacy Barszczyk omiótł spojrzeniem zgromadzonych wokół grobu.

Prawie wszyscy spodziewali się, że jego wzrok zatrzyma się gdzieś pomiędzy stojącymi obok siebie Edytą Staniec a Katarzyną Bienkowską, przyjaciółkami i wiceprezeskami fundacji FuRiA, ukochanego dziecka Indży Wasowicz, które jako ostatnie widziały zmarłą, a wkrótce miały zacząć walkę o przejęcie schedy po niej. Lecz Bonifacy Barszczyk utkwiał wzrok w Oli Bogdańskiej, młodziutkiej asystentce Indży o cokolwiek szalonym i dziwnym spojrzeniu, opierającej się o Aldonę Luzyńczyk, sekretarkę w fundacji. I dopiero gdy się wystarczająco na nią napatrzył, kontynuował swoje przemówienie.

– Tak, wiem, policja wciąż nie znalazła sprawców. Jednak chyba nikt z nas nie wątpi, że to była zbrodnia z nienawiści. Nienawiści do poglądów Indży, do jej zaangażowania w walkę o lepszy, sprawiedliwszy świat przyszłości. Dlatego jest to wielkie wyzwanie dla nas wszystkich, żebyśmy nie pozwolili, by sprawca tej zbrodni pozostał bezkarny. Obiecuję ci, Indżo, że zrobię wszystko, aby gorzko pożałował tego, co zrobił...

Delikatne drożdżowe bułeczki wypiekane przez panią Irminę Bamber miały w sobie ledwie jakieś wspomnienie słodczy, złamane na dodatek szczyptą soli dodawanej do ciasta. Dlatego gdy jadło się je zaraz po wyjęciu z piekarnika, trudno się było nimi nasycić, bo były puszyste, lekko tylko przyrumienione i bez problemu można było po kolei wepchnąć ich aż sześć do ust. Jacek opychał się nimi teraz bez opamiętania, wykorzystując tę właśnie chwilę, gdy były ciepłe i najpyszniejsze. Pani Irmina, która przed minutą przyniosła je na gorącej jeszcze tacy do mieszkania detektywa pod numerem czternastym, przyglądała mu się z zadowoleniem, ale również z lekkim niepokojem.

– Będą cię oskarżać o szerzenie dziecięcej pornografii?

– Tak. W końcu na moim kanale w Internecie przez kilka godzin leciał film, na którym pan Klempuch zabawiał się... – Urwał, bo zarówno jemu, jak i pani Irminie zrobiło się niedobrze na samą myśl o tym, co nagrywał w wolnych chwilach słynny multimilioner i lichwiarz, a prywatnie wróg numer jeden Przypadka. – Ale to jego powinni ścigać, a nie ciebie! – obruszyła się pani Irmina.

– Jego teoretycznie też przecież ścigają. Sama pani słyszała, jak prokurator Sapkowska zapewniała w telewizji, że dołoży wszelkich starań, by go przesłuchać. – Uśmiechnął się i dodał pod nosem dwuznacznie: – Chociaż pewnie bardziej się skupi na pytaniach, które chce zadać mnie, a nie panu Klempuchowi.

– Tylko że on się rozpląnął nie wiadomo gdzie.

– Na jakiś czas pewnie musi się ukryć za granicą. W naszym zacofanym kraju ludzie na szczęście jeszcze nie akceptują nowoczesnych i postępowych form spędzania wolnego czasu przez pana Klempucha – dodał ironicznie, a potem uśmiechnął się smutno. – Ale gdy wszystko się uspokoi, na pewno o sobie przypomni.

– Mam nadzieję, że wtedy wpakują go do więzienia!

– Chciałbym w to wierzyć, ale...

Dzwonek do drzwi Jacka, jak przystało na właściciela mieszkania o konserwatywnych poglądach, wydawał nieskomplikowany dźwięk, który można by zapisać onomatopeicznie po prostu jako „drrrrr”. Teraz jednak ktoś postanowił nie zadowolnić się przyziemnością tego odgłosu i naciskał dzwonek tak, jakby wybijał na nim takt marsza imperialnego z Gwiezdných wojen. Nie był to zresztą jedyny dźwięk, gdyż jednocześnie ktoś mocno pukał do drzwi. A kiedy dzwonek i pukanie umilkły, z korytarza odezwały się kłójące się głosy.

– Roman, ty już kompletnie oszalałeś?! Chcesz sąsiada wystraszyć tym marszem?!

– Bardziej się przestraszy twojego walenia do drzwi, Gabryśka!

– Ja tylko delikatnie pukam. Wszyscy nasi znajomi mówią, że ja delikatnie pukam, a ty bez opamiętania naciskasz te dzwonki.

– Pukania czasem ludzie nie słyszą...

– Czym mogę panom służyć? – Sąsiedzi spod trzynastki nie usłyszeli, kiedy Jacek otworzył drzwi i stanął w nich razem z panią Irminą. Mężczyźni zmierzyli ją lekko niechętnym wzrokiem, a Roman bąknął:

– My do pana detektywa.

– W sprawie morderstwa – dopowiedział jego partner, Gabryśka.

– Jeśli będziesz miał ochotę, to wpadnij po treningu na ciasteczka. – Pani Irmina zrozumiała, że sąsiedzi woleliby z Jackiem porozmawiać bez świadków. Dlatego minęła ich bez słowa i szybko wróciła do swojego mieszkania pod dwunastką. A Przypadek zaprosił gości do pokoju służącego mu za gabinet, gdzie na szklaną kulę należącą do jasnowidza Ossowieckiego naciągnięty był melonik przypominający nakrycie głowy Herkulesa Poirota.

– Słucham panów.

– Ona tak często u pana bywa? – zapytał Roman.

– Częściej ja wpadam do niej.

– Naprawdę? – Gabryśka otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – Przecież to taki babsztyl niesympatyczny.

– Nie znam nikogo bardziej sympatycznego i życzliwego ludziom niż pani Irmina. – Jacek najchętniej wyrzuciłby obu panów, ale zwyciężyła wrodzona ciekawość, a może raczej wpojona grzeczność. – Zakładam jednak, że nie o tym chcieli panowie rozmawiać?

– No tak, tak. My o morderstwie Indży Wasowicz.

– To panów znajoma?

– Znajoma znajomego – odparł dyplomatycznie Roman. – Pan oczywiście zna ksiązkę Bonifacego Barszczyka?

– Obiło mi się o uszy to nazwisko. Ale opisy książek nie zainteresowały mnie na tyle, żebym miał ochotę je przeczytać.

– I słusznie! – poparł go z uśmiechem Gabryśka. – To nie to, co Witkowski. Barszczyk nawet nie potrafi dobrze opisać porządnego gejowskiego bzykanka.

– Bo tobie tylko jedno w głowie! – skarcił go Roman. – Barszczyk ma dużo większy talent niż Witkowski!

– No chyba żartujesz! – oburzył się Gabryśka. – Barszczyk jest cienki, nie dorasta Witkowskiemu do pięt!

– Panowie, mój czas jest cenny... – przerwał im Przypadek.

– O jeny, to za wizytę u pana się płaci? Jak u adwokata? – przestraszył się Gabryśka.

– Za wizytę nie. Za rozwikłanie sprawy morderstwa Indży Wasowicz już tak. Bo o to wam chodzi?

- Nam nie – zastrzegł się Roman. – Ale Bonifacy koniecznie chciałyby dorwać mordercę...
- To dlaczego zamiast pana Bonifacego przyszli do mnie panowie? – Jacek spoglądał na swoich klientów z coraz większym rozbawieniem.
- Chcieliśmy mu pomóc – wyznał Roman. – On się strasznie gryzie tą śmiercią. Cała jego kariera wisi na włosku.
- Właściwie to już jest po niej – stwierdził bez ogródek Gabrysia. – Wszyscy wiedzą, że Indza mu tę jego pisaninę poprawiała i promowała. A bez niej to żaden z niego literat.
- Jak możesz?! – obruszył się jego partner. – To bardzo utalentowany pisarz!
- Akurat! Bez niej on nie istnieje! Nawet mu ten jego Karwowski nie pomoże tymi swoimi recenzjami! Dlatego tak jęczy wszędzie, że Indzę zabił ktoś, kto chciał mu zaszkodzić! Pamiętasz, jak na pogrzebie patrzył na tę jej asystentkę, Bogdańską?
- Co ty gadasz?! W każdym wywiadzie powtarza, że to zbrodnia z nienawiści i że na pewno faszyci są za nią odpowiedzialni!
- A jak go ostatnio spotkałam w La Conchicie...
- Od śmierci Indży nie byliśmy w La Conchicie – zauważył z niepokojem Roman, a Jacek uznał, że najwyższy już czas przerwać jedną z wielu niekończących się codziennych kłótni sąsiadów spod trzynastki.
- Panowie, kwestię odwiedzin w gejowskim klubie wyjaśnicie sobie w domu. Teraz chciałbym na początek dokładnie zrozumieć wasze zlecenie. Podsumowując: mam znaleźć mordercę Indży Wasowicz. Was nie obchodzi, kto zabił. Ten, którego obchodzi, nie chce się zwracać o pomoc do mnie. Zakładam, że zarówno on, jak i wy nie macie zamiaru mi zapłacić. Na dodatek nie tak dawno opowiadaliście w telewizji, jakim to jestem potworem...
- Przecież nie puścili tego programu! – wyrwało się Gabrysi, ale Roman tylko trzącił ramieniem partnera i pokazał mu kulę jasnovidza na biurku Jacka.
- Czy dobrze panów rozumiałem? – upewnił się detektyw.
- Gabrysia i Roman popatrzyli na siebie niepewnie, jakby zdziwieni pytaniem gospodarza, a potem odpowiedzieli:
- Właśnie tak. To co, weźmie pan tę sprawę? I najlepiej, jakby pan znalazł winnego ogolonego na zero.

Bonifacy Barszczyk dawniej był częstym gościem Fundacji Równouprawnienia i Akceptacji, w skrócie znanej jako FuRiA, lecz od czasu śmierci Indży Wasowicz nie zaglądał tu prawie wcale. W trakcie wcześniejszych wizyt przesiadywał głównie w gabinecie samej Słonicy, omawiając z nią treści swoich książek i słuchając jej rad. Bardzo to lubił, gdyż Indza naprawdę świetnie znała się na literaturze i błyskawicznie potrafiła udzielić mu znakomitych wskazówek, zredagować kulawo brzmiące fragmenty, poprawić ewidentne błędy językowe i nielogiczności w konstrukcji. Dzięki niej jego książki stawały się błyskotliwe i miały zapewnione świetne recenzje feministki. Recenzje absolutnie szczerze: w końcu przecież chwaliła coś, co było również jej dziełem. A sama uważała się za wieki talent literacki, który nie rozbłysnął w pełni dlatego, że skupiła się na walce o lepsze jutro.

Bonifacemu ogromnie brakowało teraz rozmów o książkach ze swoją mentorką, dlatego poczciwej pani Aldony Lużyńczyk, sekretarki w fundacji, nie zdziwiło, gdy Barszczyk poprosił ją o możliwość posiedzenia w gabinecie Indży. Nie protestowała przeciw temu, ponieważ policja już dawno sprawdziła tam wszystko i pokój ten na razie stał pusty, bo fundacja nie miała jeszcze nowego prezesa czy raczej prezeski. Miała ona zostać wybrana za dwa tygodnie, o ile oczywiście Rada Fundacji dojdzie do porozumienia. Głosy rozkładały się w niej równo

i takie same szanse dawano obydwu zastępczyniom Indży: Edycie Staniec oraz Kasi Bieńkowskiej. Obie miały wielką ochotę na objęcie tej funkcji, ponieważ wiązała się ona nie tylko z pensją bliską dziesięciu tysiącom złotych netto, lecz także z możliwością zarządzania wielkimi funduszami, które napłynęły po śmierci Indży jeszcze szerszym strumieniem niż do tej pory.

Kwestię obsady stanowisk zostawmy jednak na razie na boku i skupmy się na wizycie Bonifacego, któremu pani Aldona pozwoliła posiedzieć w gabinecie denatki. Zrobiła to zresztą bardzo chętnie, gdyż właśnie wybierała się na lancz, a dzięki Bonifacemu, który zapewnił ją, że będzie odbierał telefony, mogła sobie pozwolić na dłuższe wyjście. Nie mogła dziś liczyć na pomoc asystentki Indży, Oli Bogdańskiej, która pomagała wiceprezeskom fundacji na odbywającej się tego dnia pod Warszawą konferencji „Wolność – Równość – Tolerancja”. Można by nawet rzec, że literat przyszedł w najodpowiedniejszym momencie. I nie potrafiła mu odmówić tej godzinki spędzonej w towarzystwie mebli Indży Wasowicz.

Zapewne jednak bardzo by się zdziwiła, ujrawszy, że zaraz po jej wyjściu Bonifacy przeszedł do gabinetu Oli Bogdańskiej. Spokojnie przeszukiwał szuflady, gdyż wiedział, że nie musi się spieszyć. Pani Aldona nie wróci wcześniej niż za godzinę, a była asystentka Indży zapewne w ogóle tu dziś nie zajrzy. Znał doskonale plan konferencji, sam bowiem był na nią zaproszony. Teraz akurat trwała przerwa na wystawny lancz, a potem przewidziano jeszcze prawie trzy godziny wykładów. Mógł więc spokojnie szukać skrytki...

Najpierw jednak zainteresował go sam pokój, w którym nie bywał zbyt często, bo nie należał do ulubieńców jego właścicielki. Miał dwie pary drzwi: jedno od strony korytarza, drugie od strony gabinetu Indży. Biureczko było dość starannie wysprzątane, panował tu względny porządek, którego jednak nie sposób było nazwać sterylnym. Bogdańska z pewnością nie należała do pedantek, choć pracowniczką była sumienną. Lubiła rośliny doniczkowe, których sporo porozstawiała na szafkach i parapecie. Każdą z niepasującą do doniczki podstawką, na widok czego esteta Bonifacy nieco się krzywił. Chętnie zamieniłby miejscami niektóre podstawki, jednak nie powinien zostawiać tu śladu swojej obecności.

Dlatego tylko z bólem mógł oglądać to wnętrze, przy okazji notując wszystko w pamięci – nie z powodu tego, że wnętrze to go fascynowało, ale bardziej z przyzwyczajenia. Słynał z sążnistych opisów miejsc i rzeczy, które zajmowały w jego książkach wyjątkowo dużo stron i które nieraz były skracane przez Indżę Wasowicz. Bonifacy bardzo tego żałował, bo uważał, że kunszt jego pióra widać szczególnie wtedy, gdy skupia się na detalu i przez kilkadziesiąt akapitów odnotowuje każdą ryskę na meblu należącym do bohatera, dorabiając do niej osobną historię.

Kiedy już obejrzał wszystko, co było do obejrzenia, zaczął poszukiwania skrytki. Wiedział, że śledczy przeszukujący pomieszczenia fundacji po śmierci Wasowicz nie odnaleźli jej. Ale on miał informację pochodzącą od zmarłej, dlatego pięć minut później zaglądał już do wnętrza schowka. Właściwie nie było w nim nic ciekawego, ale o tym uprzedzała go Indża. Same banalne rzeczy, które nie wiedzieć czemu postanowiła tu ukryć Bogdańska.

„W sam raz pasujące do jej prymitywnego i nieciekawego charakteru” – westchnął w myślach literat, ale nim zdążył zrobić cokolwiek, usłyszał, że ktoś próbuje otworzyć drzwi do fundacji. Wprawdzie zamknął je przezornie na klucz pozostawiony mu przez panią Aldonę, aby nie zaskoczył go nikt przypadkowy, ale ten ktoś najwyraźniej miał własny klucz. Barszczyk lekko spanikował, gdyż nagle okazało się, że nie ma w ogóle czasu. Zamknął skrytkę i chciał jak najszybciej wrócić do gabinetu Indży, gdy usłyszał:

– Nie ruszaj się, wiem, że tu jesteś!

Ten okrzyk sparaliżował Bonifacego, który w mgnieniu oka zamienił się w żonę Lota. Nie drgnął aż do chwili, gdy za jego plecami stanęła Bogdańska i syknęła:

– Jakim prawem pałętasz się po moim pokoju?!

– Zostałem, żeby posiedzieć w gabinecie Indźy... Wydawało mi się, że masz otwarte okno, więc chciałem je zamknąć. Zresztą sprawdź, niczego nie ruszyłem.

– Żebyś wiedziała, że to sprawdzę, cioto! A tobie radzę się trzymać ode mnie z daleka!

– Bo co? Załatwisz mnie jak Indźę?! – krzyknęła tyleż patetycznie, co histerycznie Barszczyk.

– Wciąż po niej płaczesz nocami? – zapytała z uśmiechem Bogdańska. – Nie będzie już komu poprawiać książeczek, nie będzie komu promować? Zostaniesz zerem bez niczego. Jeszcze jakiś czas polecisz na dawnej sławie, a potem już klops, co?

– Moja nowa książka to będzie bestseller. A ty przeczytasz ją za kratkami! Odpowiesz za zabójstwo Indźy.

– Ciotuniu, coś ci się chyba pomyliło. Po co miałybyśmy zabijać Indźę?

– Chociażby z zazdrości o nią. – Literat Barszczyk przyszpilił asystentkę spojrzeniem, a ona drgnęła nerwowo. – Indźa dobrze wiedziała, że się w niej podkochujesz. Ale ona wolała facetów.

– Ja też ich wolę – odpowiedziała spokojnie Bogdańska, ale uśmiech znikł z jej twarzy. – Jakbyś nie zauważył, mam kilkuletnie dziecko.

– Za to ja znam jego ojców. – Tym razem uśmiechnął się Barszczyk i dodał z naciskiem: – Obu.

– Skąd wiesz?! Oni nie są... – Spojrzała wściekła na Barszczyka i w jednej chwili zrozumiała, że nie ma sensu zadawać pytań. Stwierdziła więc tylko: – Indźa ci powiedziała...

– Nie tylko to mi powiedziała. O wielu sprawach finansowych też mi wspomniała. I to również mógł być dobry motyw jej zabicia.

– Wynoś się stąd! Natychmiast!

– Pani Aldona pozwoliła mi tu posiedzieć...

– A ja ci każę się wynosić! Gdyby pani Aldona wiedziała, że zostajesz tu, bo chcesz myszkować po innych pokojach, też by ci nie pozwoliła. Dobrze, że do mnie zadzwoniła. Od razu wiedziałam, że muszę tu przyjechać.

– I tak za późno. Już znam prawdę. Dlatego radzę ci się przyznać do wszystkiego, zanim będzie za późno! Masz na to tydzień.

– I co? Mam pójść na policję i powiedzieć, że zabiłam Indźę? – spytała z niedowierzaniem Bogdańska.

– Nie. Najpierw przyjdiesz do mojej pracowni na Przyjaciółek. Na pewno wiesz, gdzie to jest. Opowiesz mi wszystko z detalami i sprzedasz prawa do tej historii. Będziesz miała pieniądze na adwokata, może uda ci się dostać niski wyrok.

– Ty chyba kompletnie oszalałeś!

– Daję ci tydzień. Potem mówię policji wszystko, co wiem.

Barszczyk ruszył do wyjścia, ale odwrócił się jeszcze tuż przed drzwiami.

– Pracuję tam między dziesiątą a piętnastą. – Nagle zauważył ozdobę w nosie Bogdańskiej. – Ładny kolczyk. Kiedyś już chyba go nosiłaś, ale Indźa kazała ci go wyjąć, prawda? Lecz teraz, kiedy jej nie ma... – Barszczyk z trudem uchylił się przed rzuconym w jego stronę ciężkim sztychcem.

Pani Irmina nie pamiętała już, kiedy ostatnio śmiała się tak głośno i serdecznie. Trudno jednak było nie wybuchnąć śmiechem, słysząc barwny opis wizyty sąsiadów spod

trzynastki, którzy postanowili wynająć detektywa. Kiedy jednak naśmiała się do woli, stwierdziła nieco bardziej serio:

– Dziwię ci się, że zdecydowałeś się wziąć tę sprawę. Na pewno grosza za nią nie zobaczysz, a gdy mordercą okaże się znowu ktoś znany, jak zwykle zyskasz sporo wrogów.

– Przecież pani wie, że ja się nie przejmuję wrogami. Chwilowo ubył mi ten najgroźniejszy, a inni też ucichli. Trochę jakby ktoś im odciął prąd. Czy raczej pieniądze, które pozwały im mnie szczerze i głośno nienawidzić.

– To trzeba się cieszyć. Już wystarczająco wiele nieszczęść się stało przez tych ludzi. Jak sobie wspomnę Małgosię... – Nastrój pani Irminy zmienił się już radykalnie, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Ja też za nią tęsknię. – Jacek również wyraźnie posmutniał. – Ale cóż, życie toczy się dalej. A skoro namówiła mnie pani na bycie detektywem...

– Namówiłam cię po to, żebyś zarabiał, a nie pomagał za darmo ludziom, przez których wrzaski od kilku miesięcy nie mogę spać.

– Spokojnie, pani Irmino, gdy tylko zajmę się tą sprawą i dowie się o tym kilka osób, nasi sąsiedzi przyjdą mnie prosić, żebym już nie rozwiązywał tej zagadki.

– Dlaczego?

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni, pani Irmino. – Przypadek po raz pierwszy od dawna powtórzył swój ulubiony zurot.

– Tym bardziej nie rozumiem, po co się do tego bierzesz. Ta Indza cię nie cierpiała, wiele razy o tym publicznie mówiła.

– Ale wierzę, że rozwiązując zagadkę jej śmierci, będę się świetnie bawił. A ostatnio, jak pani wie, nie miałem zbyt wielu przyjemności. Jeśli jednak nie chce pani mi pomóc...

– Oczywiście, że chcę, bezwarunkowo – obruszyła się pani Bamber, gdyż podejrzenia Jacka wydały jej się niedorzeczne.

– Na razie po prostu nie bardzo wiem jak. O samym morderstwie słyszałam niewiele. Że zabili ją jakoś na początku grudnia, a z pogrzebem zwlekali miesiąc, żeby mieć dostęp do ciała przed kremacją. No i że znaleźli ją w siedzibie jej fundacji z pilniczkiem do paznokci wbitym w szyję.

– Bardzo eleganckim i gustownym pilniczkiem, który z pewnością nie należał do niej. Potwierdziła to zarówno jej asystentka, jak i wszyscy ją znający. Na pilniku znaleziono wprawdzie mnóstwo odcisków palców, ale pozostawiły je spanikowane współpracownicy, które znalazły ciało. Wszystkie po kolei próbowały wyciągnąć pilnik. Nie miało to większego sensu, bo Indza i tak nie żyła. Ale zanim to zrobiły, przyszedł pan Barszczyk i zemdłał na widok denatki. Musiały więc na dodatek zająć się ratowaniem jego. Oczywiście wszystkie ślady zdeptano i policja nie znalazła niczego przydatnego. A odcisków palców w jej gabinecie były tysiące, bo tam stale ktoś bywał: i bardzo ważne osoby, i wolontariusze. Zakładam, że panów z policji przeraziła myśl, że mieliby ich wszystkich sprawdzać. Gdyby udało się zawęzić grono podejrzanych do kilku czy kilkunastu osób... A tak, szukaj wiatru w polu.

– Ale uważasz, że zabójcą jest kobieta?

– Tak przypuszczam, bo trudno podejrzewać jakiegokolwiek prawdziwego mężczyznę, że chodzi z pilniczkiem do paznokci w torebce.

– A co sądzi policja?

– Nieoficjalnie, że to zabójstwo w afekcie. A ponieważ ludzi nienawidzących Indzy było na pęczki, więc niełatwo wytypować podejrzanych. Choć oficjalnie śledztwo poszło w stronę zbrodni z nienawiści. Poszperali trochę w Internecie, znaleźli adresy osób, które się głośno źle

wypowiadały o Indży, zrobili parę pokazowych zatrzymań. Ale nic na nich nie mieli, więc sąd tych podejrzanych powypuszczał.

– Sporo już ustaliłeś, biorąc pod uwagę, że zlecenie dostałeś godzinę temu. – Pani Irmina z uznaniem pokiwała głową.

– Nie bierze pani pod uwagę, od kogo jest to zlecenie. Nie ma bardziej rozplotkowanej grupy ludzi niż geje. Wszyscy nawzajem znają swoje najbardziej intymne tajemnice, których żadna kobieta nie zdradziłaby innej kobiecie.

– W czym w takim razie mogę ci pomóc?

– Muszę porozmawiać z kimś, kto dobrze znał panią Indżę prywatnie.

– Szczerze mówiąc, w kontaktach w środowisku feministycznym nigdy nie byłam najmocniejsza – zafrasowała się pani Bamber. – Nawet w czasach, gdy nikt o tobie nie słyszał. A teraz, to sam rozumiesz.

– To akurat mi niepotrzebne. Marzena wspominała mi kiedyś, że zna się z wiceprezesem tej fundacji FuRiA, Bieńkowską, poproszę ją o kontakt do niej. Tylko że to relacja służbowa, mnie chodziło o prywatnych znajomych Indży.

– Prywatnych, powiadasz... – Pani Bamber rozpoczęła przeszukiwanie zakamarków pamięci. – Właściwie to chyba znam tylko jej manikiurzystkę. Ale to ci się pewnie nie przyda...

– Ale co też pani mówi, pani Irmino! Przecież Indża została zabita pilnikiem do paznokci. Proszę mnie umówić z tą manikiurzystką jak najszybciej. – Jacek przyjrzał się krytycznie swoim paznokciom. – Najwyższy czas coś z nimi zrobić.

Podinspektor Zasada ze smutkiem przyglądał się aspirant sztabowej Agnieszce Storczyk. A właściwie już byłby aspirant, gdyż w tej chwili na jego biurku leżało wypowiedzenie podwładnej, ona sama zaś stała niewzruszona przed nim. Gdy pojawiła się przed pół rokiem po raz pierwszy w jego gabinecie, gotów był ją niemal wyściskać. Zdawało się, że zdejmie mu z głowy ogromny kłopot nazywający się Przypadek, z którym ewidentnie nie radził sobie jego dotychczasowy opiekun podkomisarz Łoś. Na początku spisywała się bez zarzutu, kontrolując działania nieodpowiedzialnego detektywa. W finale sprawy Klempucha może nieco zawiodła, ale Zasada nie potrafił się gniewać, że nie zapobiegła wyciekowi kompromitujących lichwiarza materiałów. A teraz rezygnuje, choć przecież zgłosiła się do tej roboty na ochotnika.

– Jest pani absolutnie pewna swojej decyzji? – zapytał bez większych nadziei.

– Jestem absolutnie pewna. Teraz już nie mogę kontynuować swojej misji.

– Tylko dlatego, że ten Przypadek odkrył, iż jest pani jego przyrodnią siostrą?

– Dla mnie to nie jest tylko. Przez to straciłam możliwość dyskretnej obserwacji i krzyżowania jego planów.

– Może pani zmienić jedynie taktykę. Występować z otwartą przyłbicą.

– Nie mam na to ochoty, bo wtedy musiałabym się z nim często kontaktować, rozmawiać. Tak jak podkomisarz Łoś.

– Jeśli chce pani dostać solidną podwyżkę, to jestem gotów to poważnie rozważyć – kusił podinspektor Zasada. – Również jakąś przyspieszoną ścieżkę awansu.

– To bardzo miłe, że tak mnie pan ceni, ale już podjęłam decyzję. Gdybym się z nim widywała częściej, obawiam się, że kiedyś nie potrafiłabym się powstrzymać i musiałabym go jednak zabić – stwierdziła beznamiętnie. – Ciągle żałuję, że wtedy, przed willą Klempucha, nie zdecydowałam się na to.

– Żartuje pani? – zapytał podinspektor Zasada, ale ponieważ nie znalazł na twarzy Storczyk nawet śladu uśmiechu, wołał nie drążyć tematu. – Nie mam nikogo na pani miejsce – stwierdził zrozpaczony. – Przecież pani wie, że żaden policjant z dobrej woli się na to nie zgodzi. Wszyscy unikają tego Przypadka jak zarazy!

– A czy tak naprawdę trzeba go jeszcze specjalnie obserwować? Przecież Klempuch uciekł z kraju. – Storczyk popatrzyła beczelnie na podinspektora. To jej spojrzenie to była jedyna rzecz, z powodu której Zasada nie miałby nic przeciwko jej odejściu z policji. Tak samo ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwie jak u jej braciszka.

– Pani aspirant, obserwacja pani brata nie miała nic wspólnego z osobą Klempucha – stwierdził z naciskiem policjant.

– To akurat dobrze, że jego ciemne sprawy wyszły na jaw i od jego osoby odcięli się zdecydowanie wszyscy...

– ...ci, którzy jedli mu z ręki – dokończyła Storczyk, a Zasada pomyślał, że choćby po tym komentarzu wiadomo, czyją jest siostrą.

– Jeśli nawet Klempuch miał rozległe koneksje, to nie miały one wpływu na nasze działania. Sama pani wie najlepiej, jak wielu szanowanym i poważanym osobom pani brat przysparzał kłopotów swoim nieodpowiedzialnym dochodzeniem do prawdy. I jestem pewien, że będzie to robił nadal.

– Ja również. Ponieważ jednak nie będzie już Klempucha, który naturalnie nie miał żadnego wpływu na działania policji – zaznaczyła ze złośliwym uśmiechem – to ciśnienie na powstrzymanie jego działań będzie mniejsze.

– Przez chwilę może i tak. Ale jak już mówiliśmy, on bez cienia wątpliwości postara się szybko nam to ciśnienie podnieść. Dlatego musimy trzymać rękę na pulsie.

– Żałuję, ale nie będzie to moja ręka. Mam już pewne plany na przyszłość.

– Mógłbym znaleźć wyjście, które nie kolidowałoby z tymi planami – zagadnął chytrze Zasada.

– Myśli pan, panie inspektorze, o jakimś niejawnym etacie? Przecież policja to nie tajne służby.

– Współpraca w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych bywa szeroka – odpowiedział enigmatycznie Zasada.

– Dziękuję bardzo, ale musi pan znaleźć kogoś innego do tej roboty.

– Ale kogo?! – zapytał płacząwie inspektor.

– Choćby podkomisarza Łosia.

– Łosia? – Zasada nie wierzył własnym uszom. – Przecież Przypadek przez półtora roku wodził go za nos!

– Przypadek wodziłby za nos każdego z pańskich ludzi. A Łos to naprawdę dobry policjant.

– Mówi to pani szczerze? – Zasada uważnie przyjrzał się podkomendnej.

– Absolutnie szczerze. Jeśli chce mieć pan kogoś, kto będzie w stanie patrzeć mojemu braciszkowi na ręce, to podkomisarz jest do tego najlepszy.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że dobrze go zna, a na dodatek mam wrażenie, że ten drań... to znaczy mój brat, go lubi.

– Może i tak. – Podinspektor pokiwał głową. – Ale to i tak nie wchodzi w rachubę. Łos ostatnio przeżył lekkie załamanie nerwowe, przypuszczam, że właśnie przez Przypadek. Nie mogę mu tego zrobić, bo jak go znowu spotka, to zastrzeli go prędzej niż pani.

– Wtedy miałyby pan wreszcie problem z głowy – odpowiedziała Storczyk, a Zasada roześmiał się głośno, będąc pewnym, że tym razem aspirant sztabowa na pewno żartuje. Po chwili jednak umilkł, widząc jej wciąż niewzruszoną minę. – Proszę się nie bać, podkomisarz Łoś nie będzie protestował, gdy przydzielili go pan do tej sprawy. Powiem więcej, ucieszy się.

– Że tak powiem, bez jaj, pani aspirant. – Tym razem Zasada był pewien, że Storczyk nie żartuje, lecz wprost kpi z niego.

– Bez jaj, panie podinspektorze. Moim zdaniem podkomisarz Łoś się w pewien sposób uzależnił od Przypadka i już nie może bez niego żyć.

– Skąd pani to wie?

– Bo ludzie są banalnie przewidywalni, panie podinspektorze.

Studio Modelingu Paznokci należące do Andżeliki Paneczko mieściło się w niewielkim, lecz bardzo eleganckim lokalu na parterze wybudowanych niedawno sześciopiętrowych apartamentowców, które można byłoby uznać za ładne, gdyby nie kontrastowały z kamienicami stojącymi po drugiej stronie ulicy. Mróz nie był wciąż zbyt silny i nie osadzał szronu, dlatego przez przeszkłone szyby widać było dokładnie całe wnętrze, łącznie z imponującą wystawką najróżniejszych pilników, będących po trosze prezentacją narzędzi pracy pani Andżeliki, a po trosze pochwaleniem się kolekcją, którą pieczołowicie uzupełniała. Oprócz nich było tam właściwie tylko miejsce dla manikiurzystki i klientki lub klienta oraz dwa krzesła dla czekających.

Jackek umówił się z właścicielką pod koniec dnia pracy, dzięki czemu miał szansę na dyskretną rozmowę. Wprawdzie mógł zdobyć od pani Andżeliki, manikiurzystki wielu znanych osób, niezbędne informacje bez konieczności korzystania z jej usług, na przykład zapraszając ją do kawiarni, jednak uznał, że tak będzie bardziej naturalnie. Przecież na pewno nieraz plotkowała ze swoimi klientkami, dlatego podczas zajmowania się dłońmi Jacka mogła sobie przypomnieć więcej cennych szczegółów.

– Pani Indża to była bardzo zadbana kobieta. Ona tak z daleka wyglądała może chropawo, ale dbała o każdy szczegół. Na paznokcie do mnie wpadała przynajmniej raz w tygodniu, bo ta ich fundacja jest blisko. Czasem przyciągała te swoje koleżanki, ale one za tym nie przepadały, zwłaszcza pani Staniec.

– Dlaczego?

– Ja nie wiem, czy ona sobie kiedykolwiek robiła paznokcie. Nie lubiła tego i jeszcze podkreślała, że nawet żadnego pilniczka nie posiada. Pani Kasia Bieńkowska to i owszem, zadbana była, ale paznokcie wołała sobie robić sama.

– To po co przychodziły?

– Bo im kazała. Ona była prezeską i mówiła im, że tu muszą omówić wszystkie szczegóły różnych akcji. Ale dokładnie jakich to panu nie powiem, bo średnio się na tej ich polityce wyznawałam. To wszystko miało być generalnie dla dobra zwykłych kobiet i może nawet było, tylko ja tego nie rozumiałam... – Z uznaniem przyjrzała się paznokciom Jacka. – Dobrze się pan odżywia, mocne paznokietki pan ma.

– Ze wszystkimi naraz tu przychodziła?

– No gdzie, mój salonik malutki. Zwykle po dwie, góra trzy przytążyły. Najczęściej z taką jej asystantką, Olą. Wtedy plotkowały głównie o tej Staniec i Kasi Bieńkowskiej. A jak była z tą Staniec, to o Bieńkowskiej i na odwrót. Jak to kobiety. Tylko jak była z takim Bonifacym, pisarzem podobno, to gadała o wszystkich.

– On też sobie robił manikiur?

– Nie potrzebował, paznokietki to on ma zadbane. Wiadomo, pedał... – wyrwało się pani Andżelice, ale od razu się zreflektowała – znaczy gej. I to taki bardziej zniewieściały, ja się na tym znam. Bo ci mężczyźni to aż tacy zadbani nie są. To znaczy od przeciętnego faceta oczywiście są lepiej umyć i ładniej pachną, ale jednak mniej od tych, co u nich za kobitki robią – dokonała fachowego porównania hetero- i homoseksualnej grupy mężczyzn.

– Zrozumiałem. Czyli w tych rozmowach nie wyróżniali nikogo?

– To zależy. Najbardziej się śmiali z tej Bogdańskiej. Pani Indża dawała wyraźnie do zrozumienia, że trzyma ją z łaski, bo się dziewczyna generalnie nie nadaje. A pan Barszczyk to chyba za nią nie przepadał. I z wzajemnością, bo jak ona tu była, to parę razy coś tam powiedziała o nim niemiłego. Że beztalencie i tak dalej. Pani Indża chyba jednak uważała, że on jakiś talent ma, bo wyjątkowo nie pozwalała na niego najeżdżać.

Jacek zerknął przez ułamek sekundy na ulicę. Ruch samochodowy był spory, miejsce na firmę usługową wydawało się idealne. Wprawdzie miejsc parkingowych nie było obok zbyt dużo, za to jedno z nich było zarezerwowane dla klientów Studia Modelingu Paznokci. W tej chwili nie było zajęte, gdyż Jacek, jak wszędzie, przemieszczał się biegiem, trenując do maratonu, a gdy warunki pogodowe były wyjątkowo niesprzyjające, korzystał z komunikacji miejskiej. Jednak miejsce nie było puste. Stał na nim mężczyzna usiłujący ukryć swoją sylwetkę za parkującym tuż obok niebieskim samochodem terenowym.

Nie schował się za nim jednak całkowicie, po pierwsze dlatego, że nie pozwalały na to rozmiary auta, a po drugie dlatego, że prowadził obserwację znajdującego się w środku Studia Modelingu Paznokci detektywa.

Jacek uśmiechnął się ucieszony, że wrócili stare, jak zwykle dobre, czasy, i zapytał panią Andżelikę:

– A czy o czymś szczególnym ostatnio często pani Indża z kimś rozmawiała?

– Tak. Od jakiegoś czasu i z Barszczykiem, i z Bogdańską mówili głównie o pani Kasi Bieńkowskiej. Uważali, że chce wysadzić panią Indżę z siodła...

– Jak?

– Podobno miała dowody, że pani Indża lubi czasem ponarzucać się młodym wolontariuszom. I dzwoniła po znajomych dziennikarkach, żeby ruszyły temat. Ale pani Indża się z niej tylko śmiała. A jak jej asystentka powiedziała, że jej zdaniem to obie te wiceprezeski chcą się jej pozbyć, to powiedziała, że teraz jest jeszcze spokojniejsza. Bo zanim się wezmą razem do jej obalania, to się nawzajem pozagryzają, chociaż to podobno dobre przyjaciółki są. Poza tym mówiła, że jeszcze się nie urodził taki dziennikarz, który by coś przeciw niej napisał, więc może spać spokojnie. – Pani Andżelika z coraz większym zadowoleniem patrzyła na swoje najnowsze dzieło, trochę jak malarz zadowolony z udanego obrazu. – Chociaż chyba się trochę bała pani Kasi.

– Myśli pani, że miała kogo?

– Nie wydaje mi się. Pani Kasia to z nich najsympatyczniejsza jest. Taka wiecznie uśmiechnięta i życzliwa. Ale może coś ją rzeczywiście zdenerwowało i zaniósła to do gazet?

– A uważa pani, że pani Indża mogła rzeczywiście czegoś chcieć od wolontariuszy?

– Tego to ja nie wiem – powiedziała kobieta wymijająco. – Ale miałam kiedyś taką klientkę, po którą mąż przyszedł i siedział na krzeselku. No i wpadła pani Indża, bo miałam jej robić manikiur zaraz po tej klientce. A ona zaczęła tego jej męża regularnie podrywać. Facet zgłupiał, bo ze trzydzieści lat młodszy, żona obok. Ja się nie wtrącałam, ale też się dziwnie czułam. Dopiero jak klientka z mężem wyszła, to tak coś wspominałam mimochodem. A wtedy pani Indża powiedziała, że mężczyzna to tylko mężczyzna i nawet

gej, gdy się go odpowiednio ładnie poprosi, to się zgodzi. Tak powiedziała. Jej się chyba wydawało, że się naprawdę chłopom podoba. – Przejrzała się z uwagą paznokciom Jacka. – No, gotowe.

– Moje paznokcie chyba nigdy nie wyglądały tak dobrze – stwierdził samokrytycznie Jacek. Kątem oka zauważył jednak, jak pani Andżelika chowa pilniczki do większego pojemnika kryjącego mnóstwo innych jej narzędzi pracy. – Ładne cacka tu pani ma.

– Prawda. Te dwa najładniejsze to od pani Kasi. Sama je zrobiła.

– Sama?

– Tak. Ma takie hobby. Robi biżuterię. I jak kiedyś zobaczyła, że mi się połamały, to powiedziała, że mi je obsadzi. Na początku nie chciałam, bo to przecież grosze kosztuje, to masówka w zasadzie. Ale powiedziała, że to ją odpręży i że robi to dla przyjemności.

Wielcy wodzowie zawsze sami hodują swoich morderców. Najczęściej zdają sobie z tego sprawę, więc gdy tylko ktoś wygląda już na osobę będącą w stanie utrzymać w rękę nóż, a na dodatek wiedząca, gdzie go ubić, jest usuwany z grona najbliższych współpracowników. Z tego też powodu wybitne jednostki zbyt długo będące u władzy pozostawiają po sobie same miernoty. Ale cóż, nie mają wyjścia, inaczej któregoś dnia poczuliby chłodne żelazo w okolicy żeber. Niektórzy jednak zbyt długo igrają z losem, będąc pewnymi własnej siły, i nie usuwają na czas grożącego im niebezpieczeństwa...

Edyta Staniec zawsze miała wgląd w dokumenty finansowe fundacji, ale wiedziała, że Indża nie znosiła, gdy ktoś się nimi nadmiernie interesował. Kiedy poprosiła księgową o wyjaśnienie kilku faktur, Wasowicz wpadła do niej niezadowolona, zarzucając jej, że zostały jej prokuratorskie przyzwyczajenia z IPN. I choć Staniec nigdy nie pracowała w pionie śledczym, a jedynie w archiwum, to ten epizod bardzo ciążył na jej feministycznej karierze. Gdy dodało się do tego trójkę dzieci i wciąż tego samego męża, poślubionego na dodatek w kościele, jej droga na szczyt wydawała się szczególnie trudna.

Lecz Edyta Staniec była obrzydliwie ambitna, z akcentem na obrzydliwie. I nie poddawała się, wciąż się wspinając po szczeblach kariery. Jej pierwszym sukcesem była walka o parasolkę. Zaatakowała to słowo w jednej ze swoich publikacji, nazywając je jednym z najgorszych przykładów nomenklaturowego męskiego szowinizmu. Jak pisała: „Posłuchajcie sami, jak to brzmi: poważny, stateczny parasol i kompletnie niepoważna parasolka. Jak młodsza, głupsza siostra. Słabsza i gorsza, gdyż przecież parasolką zwiemy zwykle małą, torebkową zabawkę, niedającą prawdziwej ochrony, parasol zaś jest statecznym, silnym mężczyzną, pod którego opieką nikt nie zmoknie. Dość już jednak tego! Od dzisiaj wyrzucmy z naszego języka uwłaczającą godności kobiety parasolkę! Niech żeńska forma tego przedmiotu zwie się parasolą, silną i dumną jak jej męski odpowiednik!”

Właśnie ten artykuł kilka lat temu zwrócił na nią uwagę Indży. Wzięła ją pod swoje skrzydła i umożliwiła awans w feministycznej hierarchii. Dzięki temu poznała też Kaśkę Bieńkowską i wkrótce to one stały się czołowymi furiażystkami, nadającymi ton fundacji FuRiA. Indża była zawsze jej twarzą, ale mniej zajmowała się bieżącą pracą. Za to nigdy nie pozwoliła, aby wymknęły jej się spod kontroli finanse. I nie znosiła, gdy się jej ktoś w nie wtrącał. Staniec już od dawna podejrzewała, że Indża ma zwyczaj traktowania pieniędzy fundacji jak własnych. Jednak dopiero teraz miała na to dowody.

– Chciałaś mnie widzieć? – zapytała Bogdańska, stając w drzwiach gabinetu.

– Tak, Olu, zastanowiły mnie faktury, które właśnie przeglądam. Na przykład zupełnie nie rozumiem, dlaczego płacimy za przedszkole twojego syna?

– Indża tak zarządziła.
– Rozumiem, ale są przecież państwowe przedszkola...
– To bardzo wrażliwy chłopak. Mówiłam ci kiedyś, że musi być w mniejszej grupie, bo w większej...

– A ta faktura ze Studia Modelingu Paznokci pani Andżeliki? Jesteś na niej wymieniona. – Staniec spojrzała uważnie na dokument przed sobą i przeczytała na głos: – Usługa kosmetyczna manicur i pedicur dla pani Aleksandry Bogdańskiej. – Odłożyła dokument. – Faktura jest za lipiec i obejmuje dwadzieścia zabiegów. Jak twoje paznokcie to w ogóle zniosły? – zapytała ze złośliwym uśmiechem Edyta. – Albo jeszcze to: całodzienne zabiegi spa...

– Ja nie bywam w spa...

– Wiem, kto lubił sobie dobrze wypocząć, żeby pięknie wyglądać – dodała zgryźliwie. – Masz mi coś do powiedzenia o tych fakturach?

– Co na przykład?

– Coś, co mogłoby mi się przydać przy okazji wyborów. I przy okazji uchroniłoby twój tyłek.

– Indża była moją szefową i po prostu robiłam, co mi kazała. Przecież to nie są duże pieniądze...

– No, co ja słyszę, kilka tysięcy miesięcznie to dla ciebie nie są duże pieniądze. Ciekawa sprawa. No dobrze, jak się namyślisz i będziesz chciała coś mi powiedzieć, wróć do mnie. I pamiętaj, że teraz Indża cię nie ochroni. Gdybyś była ze mną szczerą, to może mogłabym coś dla ciebie zrobić. Zastanów się.

Ola Bogdańska wyszła, a Edyta Staniec uśmiechnęła się zadowolona. Była pewna, że tę rundę wygrała i była asystentka Wasowicz przyjdzie do niej już niedługo z odpowiednią wersją wydarzeń. Taką, którą będzie można wykorzystać do potępienia zaniedbań epoki, która na fundacji FuRiA minęła wraz ze śmiercią Indży. Najlepszym lekarstwem mającym uzdrowić sytuację będzie oczywiście ona, Edyta Staniec. Trzymająca w rękę wszystkie karty. Rzecz jasna, trzeba będzie tu i ówdzie jakąś kartę pokazać, aby nie być gołosłowną. A potem obiecać, że nic więcej nie wypłynie, zapewnić zmiany w zarządzaniu, które nie pozwolą na więcej błędów i wypaczeń. Czyli, jak mawiał klasyk, pozornie zmienić wszystko, aby nic się nie zmieniło. W końcu jej też się należy coś więcej od życia. Czas najwyższy zadbać o siebie.

Wyjęła z torebki lusterko i przyjrzała się krytycznie swojej twarzy. Zmarszczki. Niedobrze. I kilka kilogramów za dużo. Nawet jej paznokcie to obraz nędzy i rozpaczy. To przez tę ciągłą bieganinę i brak czasu dla siebie. Ale teraz koniec z tym. Koniec. Najwyższy czas zadbać o siebie.

Sięgnęła jeszcze raz do torebki i wyjęła stamtąd pilnik do paznokci.

Zdarzało się wprawdzie, że ktoś o siódmej rano wychodził z mieszkania Jacka, ale nigdy nikt o tej porze nie dobijał się do jego drzwi. Przypadek, półprzytomny, dreptał w ich stronę, przeklinając w myślach popsuty domofon, który pozwolił intruzowi o tak diabelskiej porze dostać się aż na czwarte piętro. Gdyby bowiem stał na dole i wciskał guziczek domofonu, detektyw mógłby go zignorować, gdyż zaraz ktoś by przegonił natręta. A tak Jacek musiał się zwlec z łóżka i niemal po omacku iść do drzwi. Dopiero kiedy wyjrzał przez judasza, jego źrenice otworzyły się szerzej.

– Poczekaj chwilę – poprosił.

– Jeśli nie jesteś sam, mogę przyjść kiedy indziej. – Zza drzwi usłyszał głos Marzeny.
– Nie, nie, muszę tylko coś włożyć na siebie. – Rozglądał się wokół, a ponieważ nie znalazł niczego lepszego niż długi jesienny płaszcz, narzucił go na ramiona, a następnie odsunął zasuwkę i otworzył drzwi.

– Jesteś nagi? – zapytała niepewnie pani mecenas.

– A czy widzisz coś, czego nie powinnaś zobaczyć? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ale pod tym płaszczem...

– Tak lubię spać – stwierdził Jacek, lecz zaraz się poprawił. – To znaczy nie w płaszczu, tylko...

– Zrozumiałam. Na pewno nikogo tu nie ma? – Udawana eksnarzeczona Jacka spojrzała badawczo na wieszak, a potem, ponad ramieniem detektywa, w głąb mieszkania.

– Na pewno. Wejdz...

– Przepraszam, że tak wcześnie, ale chciałam zdążyć pogadać chwilę przed pracą.

– Zwykle zaczynasz pracę koło dziewiątej. Wasza kancelaria adwokacka jest o kwadrans drogi stąd, więc wystarczyłoby, żebyś przyszła o wpół do dziewiątej, no, powiedzmy kwadrans po ósmej, ale nie o siódmej. No chyba że mężczy cię bezsenność, wtedy jesteś w pracy nawet o wpół do ósmej. Kawy?

– Kawy chętnie, ale swoje śledcze uwagi sobie daruj.

Ruszyli w stronę kuchni, mijając po drodze sypialnię Jacka, do której Marzena zerknęła jeszcze raz, upewniając się, czy nikogo tam nie ma.

– Przecież przyszłaś tu na pewno w sprawie mojego małego śledztwa. Inaczej nie zrywałabyś się bladym świtem, żeby zadać mi te wszystkie pytania, które cisną się na twoje usta.

– Skoro już wiesz, o co chcę zapytać, to bądź tak miły i powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

– Dobrze, ale potrzebuję rewanżu. A właściwie kontaktu do Katarzyny Bieńkowskiej. – Jacek włączył elektryczny czajnik i otworzył szafkę w poszukiwaniu kawy. Nie było to proste, bo sam tego płynu nie pijał, a nawet wręcz nie cierpiał jego smaku. Zawsze jednak trzymał jakąś paczuszkę dla gości. Sęk w tym, że od dawna ich nie miewał, więc nie odświeżał zapasów, a nawet już nie pamiętał, komu i kiedy ostatnio parzył kawę.

– Jeśli mi dokładnie wszystko wyjaśnisz, postaram się o spotkanie. Ale dobrze wiesz, co myślą o tobie feministki.

– Jakoś to przeżyję. A jeśli chodzi o twojego włoskiego chłopaka, to naprawdę powiedziałem ci wszystko, co ustaliła pani Irmina. Jego rodzina ma kontakty w wielu miejscach mafii, ale to w wypadku biznesmenów stamtąd nie jest rzadkie. Więc nic w tym dziwnego.

– Chcę wiedzieć, czy Fabrizio... – Marzena szukała odpowiednich słów, ale bardzo trudno było je znaleźć. – Czy on też... No wiesz... – Spojrzała błagalnie na Jacka, aby dzięki swej domyślności nie kazał jej wymawiać tego słowa.

– Czy jest w mafii? Widzę, że musiałaś go o to zapytać. Pewnie w żartach, a on się śmiertelnie obraził, więc teraz ty się boisz, że to prawda, co powiedziałem. Ale chciałabyś wiedzieć dokładniej, czy nie uczestniczy w jakichś kryminalnych machlojkach, a może nawet czy nie odpowiada za czująś śmierć.

– A odpowiada? – zapytała blada Marzena.

– Nie mam pojęcia. – Woda się zagotowała i Jacek przelał ją z czajnika do filiżanki, do której wcześniej wsypał trzy łyżeczki kawy, bo wiedział, że Marzena lubi mocny napar. – Naprawdę, nie kłamię. Nie byłam w stanie aż tyle się o nim dowiedzieć.

– A po co w ogóle się tego dowiadywałeś?! I po co mi o tym mówiłeś?! Wolałabym nie wiedzieć...

– I wyjść za przyszłego *cappo di tutti capi*?

– Na ślub z nim i tak bym pewnie nie miała szans – stwierdziła nie bez żalu. – Ale teraz cały ten związek jest w ogóle bez sensu... – Urwała i uważnie przyjrzała się jego dłoniom. – Zrobiłeś sobie manikiur?! – zapytała z niedowierzaniem.

– To w związku ze sprawą, którą prowadzę. – Jacek podał Marzenie kawę i chciał dorzucić jeszcze coś miłego, ale nie zdążył. Zawartość filiżanki wylałowała na jego płaszczu. Nie było to jednak spowodowane celowymi działaniami pani mecenas, lecz szokiem, jakiego doznała. Zobaczyła bowiem, że w miejscu, w którym od dziesięciu lat zawsze stało zdjęcie zaginionej w Himalajach Basi, jej serdecznej przyjaciółki i jedynej, jak sądziła, miłości Jacka, w tej chwili znajdowała się fotografia zupełnie innej kobiety...

Pan Fryderyk Przypadek, ojciec Jacka, nie mógł mieć najmniejszych zastrzeżeń do pracy swojej sekretarki Lidii. Ba, nawet wielokrotnie chwalił w myślach Marzenę, że przed odejściem z pracy znalazła na swoje miejsce tak kompetentną osobę. Oczywiście, pani mecenas, wówczas jeszcze aplikantka, była sekretarką tylko niejako przy okazji. Jej funkcja brała się z ogromnej oszczędności czy mówiąc wprost – sknerstwa pana Fryderyka. Od kiedy jednak po rozwodzie z Felicją postanowił wiele zmienić w swoim życiu, uznał, że trzeba rozwinąć skromną kancelarię odziedziczoną po ojcu w większą firmę. To z kolei wymagało pewnych inwestycji, więc musiał przeboleć, że zadań sekretarskich nie będzie jak dotychczas wykonywał aplikant. Ba, nawet myślał o tym, żeby teraz przyjmując jednocześnie dwie osoby pod swój patronat, choć do tej pory się tego wystrzegał.

Pan Fryderyk żywił na początku pewną nadzieję, że te zmiany spowodują, iż była żona spojrzy na niego łaskawszym okiem, ale pani Felicja, mimo romantycznej kolacji, na którą dała się zaprosić, powiedziała jasno, że chce z nim pozostać wyłącznie na stopie oficjalnej. Mecenas przyjął to do wiadomości, stwierdzając przy okazji, że kierunek właściwych zmian jest jednak słuszny.

Obecnie miał już pod swoim patronatem pierwszego aplikanta i szukał kolejnego. Zaczął też rozglądać się za jakimś młodym, energicznym prawnikiem, którego mógłby przyjąć na współnika. I z zadowoleniem zauważał fakt, że jego sekretarka ma wystarczająco dużo lat, aby nie powodować szybszego krążenia krwi w jego żyłach i nie zabierać mu niepotrzebnie czasu, który chciał poświęcić na pracę. Był z niej zresztą zadowolony nie tylko z tego powodu, lecz przede wszystkim dlatego, że spełniała swoje obowiązki z największą sumiennością.

Aż do dziś, gdy wrócił z obiadu ze swoim aplikantem Wojtkiem i dowiedział się, że w jego gabinecie od kwadransa czeka jakaś bliżej mu nieznaną młodą kobietą, która po prostu weszła, oświadczyła, że musi porozmawiać z mecenasem, choć nie dzwoniła wcześniej ani w żaden inny sposób się nie umawiała. Gdyby jeszcze zechciała zaczekać obok krzeselka pani Lidii. Nie, ona weszła do środka i kazała sobie podać herbatę i pączka. A sekretarka po prostu wykonała jej polecenie.

– Czy może mi to pani wyjaśnić? – Mecenas Przypadek starał się zachować spokój, choć sam nie wiedział, czy bardziej irytuje go bezczelność jego gościa czy nieporadność pani Lidii.

– Ja... ja naprawdę nie wiem, jak to się stało – tłumaczyła się sekretarka. – Ona tak to wszystko mówiła... jakby miała prawo tak mówić.

– Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że w tej kancelarii tylko ja mogę wydawać polecenia. Dlatego zaraz jak tylko wyrzucę z gabinetu tę panią, niech mi pani przyniesie kawę. Albo nie, ciśnienie i tak mi już wystarczająco skoczyło. A jeszcze jak z nią pogadam...

– To może meliski zaparzę? – zaproponowała pani Lidia.

– Świetny pomysł. Tylko szybko, bo zaraz będę jej potrzebował.

Fryderyk Przypadek wszedł do gabinetu i najchętniej od razu kazałby wyjść nieproszonemu gościowi. Był jednak osobą kulturalną i postanowił zamienić kilka grzecznościowych zwrotów, a dopiero potem wyprosić natrętną kobietę. Nie zmienił tego nawet fakt, że od razu po wejściu zobaczył jej długie, zgrabne nogi. Może by się nawet nimi nieco zainteresował, gdyby nie opierały się w tej chwili stopami o jego biurko.

– Mecenas Fryderyk Przypadek. Czym mogę pani służyć? – zapytał, z najwyższym trudem opanowując wściekłość.

– Agnieszka Storczyk. Będę twoją nową aplikantką – oświadczyła.

– Co proszę?!

– Będę twoją nową aplikantką – powtórzyła. – Na razie przyjąłeś jednego, a chcesz mieć dwóch. To będziesz miał dwoje. Ja będę druga.

– Po pierwsze, droga pani Storczyk, to ja decyduję, z kim pracuję. A po drugie, uznałem niedawno, że pragnę współpracować wyłącznie z mężczyznami, więc jeśli chce mnie pani poznać za seksizm, to droga wolna.

– Nie chcesz pracować z kobietami, żeby cię za bardzo nie kusiło. Ale nie ma obaw, ja z pewnością nie będę dla ciebie pokusą.

– Cóż za krytyczna ocena własnej prezencji. Przez grzeczność nie będę zaprzeczał, pani powierzchowność rzeczywiście nie jest zbyt atrakcyjna. A w ogóle kim pani jest?

Agnieszka Storczyk zdjęła nogi ze stołu i podniosła się z krzesła. Z kamiennym wyrazem twarzy podeszła do mecenasa Przypadka, a następnie nachyliła się nad nim i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Jestem twoją ostatnią nadzieją na spełnienie marzeń. Niczego ci nie mogę obiecać, ale może kiedyś nawet przejmę od ciebie tę kancelarię.

– Pani oszalała!

– Nie twierdzę, że od razu będę ci pomagać, choć chętnie przejrzę parę akt. Na początek dasz mi przyzwoitą pensję i załatwisz miejsce na aplikacji. Tylko nie wciskaj mi kitu, że trzeba zdać jakiś egzamin. W załatwianiu masz już doświadczenie, przecież tylko dzięki temu dostała się na aplikację ta udawana narzeczona synka, Marzena.

– Skąd pani to wszystko... I jak pani w ogóle śmie! Proszę stąd natychmiast wyjść, bo wezwę policję i oskarżę panią o próbę zniesławienia! – Głos pana Fryderyka słysząc było nawet w sekretariacie, a pani Lidia i aplikant Wojtek spojrzeli po sobie z przerażeniem. Jediną osobą, na której tyrada mecenasa nie zrobiła najmniejszego wrażenia, była Agnieszka. Wydawało się nawet, że w ogóle nie słyszała słów Przypadka seniora.

– Nie będę wpadać tu zbyt często. Ale gdy będziesz miał jakąś ciężką sprawę, będę mogła ci pomóc. Tak jak ty nie mam skrupułów, tylko jestem nieco bystrzejsza, więc mogę ci się przydać.

– Kim pani, do diabła, jest?!

– Zastanawiałam się, czy Jacek ci to powie, czy nie. Widocznie jednak uznał, że sama cię odwieźdę. Czasem nawet tak sobie myślę, czy to nie jest wkurzające, że istnieje ktoś tak domyślny jak ja. W zasadzie powinnam to uznać za normalne, skoro mamy tego samego ojca. Ale z drugiej strony ten ojciec nie grzeszy bystrością i nawet teraz gapi się na mnie, jakby jeszcze nie rozumiał, że stoi przed nim jego córka.

Jacek nie był do końca pewien, czego się może spodziewać po spotkaniu z Katarzyną Bieńkowską. Wiedział, że feministki gremialnie za nim nie przepadają z najrozmaitszych powodów, lecz ta była przecież znajomą Marzeny. Skoro jeszcze udało się bez problemu umówić z nią na rozmowę w parku, można było założyć, że detektyw nie spotka się z dezaprobatą. Takiego powitania nie mógł się jednak spodziewać nawet przy swej powszechnie znanej przenikliwości.

– O Boże, to pan?! To naprawdę pan?! – Bieńkowska dotknęła jego twarzy jak niewidomy chcący się upewnić, z kim rozmawia. To zdumiało detektywa dodatkowo, gdyż wprawdzie kobieta nosiła okulary w czerwono-czarnych oprawkach, lecz nie mogła mieć aż tak poważnych problemów ze wzrokiem.

– Zakładam, że to rzeczywiście ja – stwierdził Przypadek, który właśnie wykonywał trochę ćwiczeń rozciągających po biegu czy może raczej starał się utrzymać temperaturę ciała na mrozie, który przycisnął tego dnia trochę mocniej.

Bieńkowska rozejrzała się uważnie po parku, czy nikt ich nie obserwuje, a następnie nachyliła się do ucha Przypadka.

– Jestem pana gorącą fanką – powiedziała dramatycznym szeptem, jakby właśnie oświadczała, że jest poszukiwanym przestępcą. – Oczywiście nie mogę się z tym ujawniać, ale śledzę pańskie poczynania od samego początku.

– Bardzo się cieszę...

– Gdy Marzena powiedziała, że pan się zajmuje zabójstwem Indźy, to od razu się bardzo ucieszyłam. Oczywiście nieoficjalnie, bo oficjalnie sam pan rozumie. Ale teraz jestem pewna, że morderca się nie wymknie. Proszę pytać, jestem do pańskiej dyspozycji! – Rozłożyła ramiona tak szeroko, że ktoś niezorientowany mógłby się zastanawiać, o jakim rodzaju dyspozycyjności mówiła.

Jacek nie miał jednak wątpliwości, więc tylko zapytał:

– Pamięta pani moment, gdy znalazłyście ciało Indźy?

– Tego się nie da zapomnieć. – Westchnęła ciężko i lewą ręką zdjęła z nosa okulary, jakby uznała, że już dość się napatrzyła na swojego idola. Wyszło jej to nie całkiem zręcznie, tak jakby ręka nie do końca była pewna swoich ruchów. Dlatego okulary upadły pod nogi Przypadka, który podniósł je i podał właścicielce. – Dziękuję... Tego dnia byliśmy z Edką Staniec na lanczu w takiej wietnamskiej knajpce na parterze kamienicy. Indźa nawet chciała pójść z nami, ale musiała jeszcze trochę poprawić najnowszą powieść Barszczyka, bo była z nim potem umówiona. Gdy płaciliśmy rachunek, Edka zauważyła, że pani Aldona wraca z lanczu z Olką Bogdańską. My wróciliśmy do fundacji góra dwie minuty później. Nasza siedziba znajduje się na trzecim piętrze, a byliśmy na drugim, gdy usłyszałyśmy krzyk Olki. Kiedy wpadłyśmy do gabinetu Indźy, krzyczała już także pani Aldona. Olka próbowała wyciągnąć pilnik z szyi Indźy, ale krew ją opryskała, potem pociągnęła Edka, chyba ja też i pani Aldona. Przyznam szczerze, że nie pamiętam nawet dokładnie, której z nas się to udało. A później wszedł do środka Barszczyk. Jak zobaczył nas z pilnikiem i ochlapane krwią, to w pierwszej chwili zaczął krzyczeć, że ją zabiłyśmy i że on Indźę pomści. Chciał nam nawet wyrwać ten pilnik, ale ledwo go dotknął i zemdlał. Przez kwadrans nie mogłyśmy go docucić.

– Z tego, co wiem, pan Barszczyk powtarzał to oskarżenie w pewien sposób również w trakcie swojego przemówienia na pogrzebie Indźy.

– To prawda. Ale patrzył tylko na Olkę Bogdańską. Nawet się z Edką zdziwiłyśmy, bo ona jest tak samo poszkodowana w wyniku śmierci Indży jak on. A może nawet bardziej.

– A kogoś pani podejrzewa?

– Absolutnie nie. Ja z natury w ogóle nie jestem podejrzliwa – stwierdziła zdecydowanie pani Kasia, ale po chwili jakby się nieco zawahała. – Chociaż...

– Tak?

– W zasadzie to nie ja podejrzewam. Ale przyszła do mnie ostatnio Ola Bogdańska... Uważa, że to Edka... znaczy pani Staniec popełniła tę zbrodnię. Zdziwiło mnie to, bo ani jej o to nie pytałam, ani nawet o tym nie rozmawialiśmy. A ona mi to tak po prostu powiedziała. Jeszcze nie wiedziałam, że pan się będzie zajmował tą sprawą, więc poradziłam jej, żeby poszła na policję. Ale ona odparła, że nie ma dowodów, jedynie przeczucie.

– To po co to pani mówiła?

– Nie mam pojęcia. – Bieńkowska bezradnie rozłożyła ręce, dzięki czemu detektyw mógł ponownie zauważyć, że kobieta ma problemy z wyprostowaniem lewej ręki, w której wciąż trzymała okulary.

– Ma pani pojęcie i nawet chce się ze mną podzielić swoimi podejrzeniami.

Bieńkowska ponownie założyła okulary i spojrzała na detektywa z uwielbieniem, a Jacek odniósł nawet wrażenie, że miała ochotę jak fanka rzucić się na niego i go uściskać. Zamiast tego pokiwała głową z uznaniem i powiedziała:

– Pan jest jednak niezwykle domyślny. Tak się cieszę, że pana poznałam! Uwielbiam inteligentnych mężczyzn. – Uśmiechnęła się słodko, a Jacek przez chwilę się zastanawiał, czy kobieta tylko zwyczajnie go kokietuje, czy też chce udać kogoś głupszego. – Myślę, że ona się boi, że wyleci z fundacji, gdy Edka zostanie prezeską.

– A pani by ją zostawiła w pracy?

– Szczerze mówiąc, to miałabym wątpliwości. Niby wszystko robi sumiennie, jest od lat zaangażowana w działanie fundacji... Ale jakoś tak jej źle z oczu patrzy. Absolutnie o nic jej nie oskarżam, tylko że ona jest taka więcej zaciekle. Jak się na coś uprze, to trudno ją przekonać, że powinno być inaczej. A za czasów Indży przyzwyczaiła się, że jest ważna prawie tak samo jak szefowa, a na pewno ważniejsza ode mnie i Edki. Musiałaby zrozumieć, że już nie ma taryfy ulgowej.

– To Indża dawała jej ulgową taryfę?

– Trochę tak.

– Dlaczego?

– Z poczucia winy. Wie pan, to głupia sprawa, ale Olka przyszła do fundacji dzień po osiemnastych urodzinach. Pełna zapału, chciała od razu dostać etat. Chociaż nawet nie była wcześniej wolontariuszką. Ale związała z domu, ona z Piza jest, nie miała co ze sobą zrobić. Indża powiedziała jej, że u nas najpierw się trzeba wykazać. No i tak trochę dla żartu rzuciła, że ma znajomą parę gejów, którzy szukają surogatki do urodzenia dziecka. Dobrze płacą, więc Olka by sobie zarobiła, wykazała się i dostała etat. Myślała, że małolata spanikuje. Ale ona od razu poszła do tych gejów, a teraz jej Bartuś ma sześć lat.

– Jej? Nie oddała go tym gejom?

– Oni się rozmyślili, gdy była w ósmym miesiącu ciąży. Nie mogli się porozumieć, w jakim chcą żyć klimacie, bo jeden wolał ciepło, a drugi chłód. Teraz podobno jeden mieszka w Indonezji, a drugi w Szwecji. Ale nie ma z nimi kontaktu. Indży było głupio, że dziewczynę tak trochę w maliny wpuściła, więc ją zatrudniła jako asystentkę z dobrą pensją. Z drugiej strony często po niej jeździła i mówiła, że bez niej byłaby nikim. Wiem,

że to nieładnie tak mówić o zmarłych, lecz ona nie była łatwa we współpracy. Może dzięki temu zresztą tak daleko zaszła. Była twarda i zawsze się biła o swoje.

– A pani uważa, że Edyta Staniec mogła zabić Indzę?

– Ależ skąd, to bzdura! – zapewniła gorąco Bienkowska.

– Czy technicznie to było możliwe? Pani była razem z nią na lanczu.

– Właściwie to... – zaczęła po chwili zastanowienia, lecz urwała. – Edka była ze mną na lanczu, ale przyszła dziesięć minut później. Właśnie podawali już nasze jedzenie, więc zaczęła normalnie jeść kurczaka na słodko-kwaśno. To chyba niemożliwe, żeby tak od razu po morderstwie spokojnie zajadała... – Spojrzała na Przypadka jakby w poszukiwaniu odpowiedzi, ale twarz detektywa była nieprzenikniona. – Chce jeszcze pan coś wiedzieć?

– Nie, to chyba wszystko.

– Mam nadzieję, że to zostanie między nami? Wie pan, ja nie bardzo mogę z panem nawet rozmawiać.

– Oczywiście. Będę leciał.

Jacek nie widział już, że kiedy biegł parkową alejką, jego niedawna rozmówczyni z ciekawością przygląda się jego pośladowcom, zastanawiając się, czy w skali od jednego do dziesięciu dać im dziewięć czy tylko osiem. Ostatecznie pomyślała, że osiem to wystarczająca ocena, a następnie sięgnęła do torebki po swoją komórkę. Zanim wybrała numer, uśmiechnęła się jeszcze do Przypadka, który odwrócił się na moment i pomachał do niej ręką.

– Cześć, złotko – rzuciła do słuchawki. – Co u ciebie? – Wiedziała, że w czasie rozmowy z tą dziennikarką, najpierw trzeba wysłuchać kilkuminutowych narzekań na niedoceniających jej szefów i głupiego męża. Dlatego nie słuchała zbyt uważnie, ograniczając się jedynie do potakiwania. Wiedziała jednak, że w końcu musi jej przerwać, gdyż inaczej nie da rady przejść do meritum. – To przykre, Beatko. Faceci to jednak świnię. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Możesz zabłysnąć newsem. Nawet nie zgadniesz, kogo Przypadek podejrzuwa o zabicie Indzy Wasowicz!

Starszy aspirant Smańko nie miał cienia wątpliwości: podkomisarz Łoś kompletnie zwariował. I nie chodziło mu o załamanie nerwowe, które przeżył jego przełożony kilka tygodni temu. Rozumiał do pewnego stopnia jego frustrację związaną z odebraniem obserwacji niesforenego detektywa, choć sam raczej się cieszył z tego faktu i wydawało mu się, że podkomisarz powinien dzielić jego radość. Jednak powierzenie sprawy detektywa Przypadka młodsiutkiej policjantce, aspirant sztabowej Storzycyk, można było z pewnością odebrać jako swego rodzaju policzek. Na dodatek ani Smańko, ani Łoś nie potrafili dociec, czemu tak się stało, co frustrowało szczególnie podkomisarza.

Ale cóż, było, minęło, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Podkomisarz Łoś dostał miesięczny urlop zdrowotny i dziś miał wrócić do pracy. Tak też się stało, lecz powrót ten przybrał dla starszego aspiranta Smańki dość nieoczekiwany obrót. Otóż jego szef z grubymi kartonowymi teczkami pod pachą wpadł do gabinetu, jakby miał dwadzieścia lat mniej, i z dziką satysfakcją oświadczył:

– Bierzymy się, Smańko, za tego Przypadka!

– O Boże – jęknął starszy aspirant. – Zasada kazała?

– Nic nie kazała. Wezwał mnie dziś do siebie i po prostu zapytał, czy czuję się na siłach, żeby dalej prowadzić sprawę związane z tym detektywem.

– Odmówił pan? – zapytał z nadzieją Smańko.

– Jak odmówiłem? Przecież powiedziałem, że się bierzemy znów za Przypadka. On teraz zajmuje się morderstwem tej Indzy Wasowicz.

Entuzjazm na twarzy podkomisarza mógł świadczyć, zdaniem starszego aspiranta, tylko i wyłącznie o tym, że zwariował. Ewentualnie, że cierpi na amnezję i nie pamięta tych wszystkich porażek, gdy sprytny detektyw wyprowadzał ich w pole, często przy tym ośmieszając. Przecież jeszcze nie tak dawno obaj policjanci marzyli tylko o tym, żeby zapomnieć o tym Przypadku, a tymczasem podkomisarz Łoś wygląda na kogoś, dla kogo największą przyjemnością i wyzwaniem jest staniecie w szranki z detektywem!

– O Boże – jęknął ponownie starszy aspirant. – To na pewno zabił ją ktoś znany.

– Nasze, policyjne, śledztwo szło w kierunku faszystowskich grup nacjonalistycznych.

– Ale podobno nie znaleźliśmy nawet nikogo podejrzanego.

– Bo może za słabo szukaliśmy.

– Przecież wbito jej w szyję pilnik do paznokci. To na pewno jakaś baba zrobiła, a nie faszysta.

– Całkiem możliwe. Ale niewykluczone, że była to jakaś działaczka pro-life, nienawidząca denatki.

– Podobno żadne ślady nie prowadzą w taką stronę.

– Podobno, podobno. – Łoś przedrzeźniał starszego aspiranta. – Smańko, nie róbcie mi obstrukcji. Tu macie materiały dotyczące śledztwa. – Rzucił na biurko starszego aspiranta grube kartonowe teczki. – Musicie się z nimi dokładnie zapoznać, a wtedy będziecie wiedzieli na pewno, że tym razem mamy szansę uprzedzić tego Przypadka i nie dopuścić do oskarżania nieodpowiednich osób.

– Rozumiem. – Smańko pokiwał głową bez przekonania i otworzył teczkę z dokumentami. – A pan już coś zauważył?

– Przejrzałem wstępnie materiały – rzucił niby od niechcienia Łoś i zamilkł wymownie.

– I co się panu rzuciło w oczy? – zapytał zrezygnowany starszy aspirant.

– Manikurzystka. Przesłuchali ją tylko raz i to nie w charakterze podejrzaney.

– Może nie było powodów...

– Nie?! W szyi denatki tkwi pilnik do paznokci, a jej manikurzystka nie jest nawet podejrzana! Wam to naprawdę nie wydaje się dziwne?

– Nie znam dokładnie sprawy – stwierdził wymijająco starszy aspirant.

– To poczytajcie sobie to dzisiaj. – Podkomisarz wskazał na dokumenty. – A jutro musimy odwiedzić panią manikurzystkę, żeby pan detektyw nie był za bardzo do przodu.

– On też ją podejrzewa?

– Chyba nie macie go za głupka? To oczywiste. Już ją nawet odwiedził...

– Skąd pan to wie?

– No bo... no bo... – zawałał się na moment podkomisarz. – Przechodziłem akurat obok jej lokalu, gdy ją przesłuchiwał. To znaczy udawał, że przyszedł zrobić manikiur, ale mnie nie nabierze. Rozmawiał z nią bardzo długo. A potem przebiegł naokoło apartamentowca, gdzie ona ma lokal, pięć razy. I za każdym razem zaglądał do niej przez szybkę, oglądając pilniki. Jak nic ją podejrzewa!

Starszy aspirant Smańko nie miał cienia wątpliwości, że podkomisarz Łoś zwariował. Podejrzewał to zresztą od dawna i nawet sepcjalnie się temu nie dziwił. Jak się jest blisko śledztw prowadzonych przez Przypadka, trudno zachować równowagę psychiczną. Samemu starszemu aspirantowi udawało się to głównie dlatego, że nie przejmował się specjalnie sukcesami uprzykrzonego detektywa i obchodzili go one o tyle, o ile wpływały na humor jego przełożonego. Za to podkomisarz traktował sprawę niezwykle ambicjonalnie. Stąd jego

rosnąca frustracja spowodowana ciągłymi porażkami, która doprowadziła go do obecnego stanu.

Tylko za jakie grzechy i on, Smańko, musi uczestniczyć w jego szaleństwie?!

Jacek półprzytomnym wzrokiem spojrzął na zegarek stojący na lampce nocnej obok jego łóżka. Następnie przetarł powieki, żeby się upewnić, czy dobrze zobaczył godzinę. Nie było cienia wątpliwości. Szósta rano. Przecież domofon został już naprawiony. A może zegarek się popsuł? Przyłożył go do ucha. Cykał. Sięgnął więc po komórkę. To jednak nic nie zmieniło. Na niej również wyświetlała się godzina szósta rano. Kto więc, u licha, dobija się do niego o tej porze?! Bez względu na to, kto to był, czekała go z pewnością ostra reprymenda od Jacka.

Przypadek starał się jak najszybciej dotrzeć do drzwi, żeby przerwać świdrujący dźwięk dzwonka. Nie było to łatwe, gdyż wprawdzie nie spał, ale obudzony do końca też nie był. Wyjrzał przez wizjer i zobaczył świetnie znaną sobie z ekranów telewizorów twarz. Na korytarzu stała jedna z czołowych postaci polskiego ruchu feministycznego, Edyta Staniec.

– Szanowna pani, przyjmuję od dziewiątej rano – powiedział głośno, żeby być dobrze słyszany po drugiej stronie wciąż zamkniętych drzwi. – Najlepiej po wcześniejszym umówieniu się.

– O dziewiątej już będzie za późno. Ja muszę wiedzieć, dlaczego pan mnie podejrzewa o zabójstwo Indży!

– O nic pani na razie nie podejrzewam.

– Niech pan nie kłamie! Nawet w gazetach już o tym piszą!

Jacek zerknął przez wizjer i zobaczył, że Edyta Staniec trzyma w ręku płachtę gazety. Sięgnął więc po płaszcz, którego nie zdążył oddać do pralni po zalaniu go kawą przez Marzenę. Skoro feministka postanowiła odwiedzić go o tak pogańskiej porze i udało jej się dotrzeć w to miejsce mimo domofonu i niechęci do wpuszczania obcych przez mieszkańców kamienicy przy Koneckiej 40, to z pewnością nie da się jej odgonić od drzwi, które właśnie otwierał.

– Jest pan nagi? – zapytała Staniec, widząc Przypadka ubranego w długi płaszcz.

– Tak lubię spać.

– Sam? – Rozejrzała się w poszukiwaniu pospiesznie porzuconych części damskiej garderoby i ze zdziwieniem stwierdziła, że nic takiego nie widzi.

– Zarówno sam, jak i z kimś. Wolno mi chyba? Zwłaszcza o szóstej rano.

– To niegrzeczne tak witać gości bez względu na płeć. Powinam się tego spodziewać. Jest pan przedstawicielem typowo męskiej logiki...

– Aha, to już wiem, jak pani się dostała do kamienicy. – Detektyw zaprosił ją gestem ręki do swojego gabinetu. – Pewnie nakrzyczała pani na jakąś sąsiadkę wyprowadzającą rano psa, że jak pani nie otworzy, będzie sługusem patriarchalnego systemu opresji.

– Skąd pan wie? – Staniec przyjrzała mu się zdziwiona i poprawiła okulary na nosie, co zresztą robiła permanentnie, gdyż nieustannie miała wrażenie, że jej spadają.

– To nie słyszała pani, że z zawodu jestem jasnowidzem?

– Takie bzdury to proszę zachować dla nadwrażliwych, infantylnych kobietek pozostających pod wpływem nieracjonalnych przypuszczeń o determinacji płciowej i astrologicznej.

– Mógłbym odpowiedzieć, że mam na to nawet dokumenty z Izby Skarbowej, płacę podatki od wystawiania faktur za usługi jasnowidzenia, ale pani zapewne uzna to za przejaw samczego patriarchalizmu, który pozwala się krzewić ciemnocie wśród niewiast chodzących

do wrózek. Zatem nie będę już pani więcej przekonywał o moich zdolnościach – zgodził się łaskawie Jacek i przed zajęciem miejsca na swoim krzeselku w gabinecie zapiął płaszcz, aby jego gość nie miał szansy zobaczyć zbyt dużo.

– Nie poprosi pan, żebym usiadła?

– Wydawało mi się, że stanowiłoby to niepotrzebną sugestią, iż kobieta musi czekać, aż mężczyzna pozwoli jej usiąść – odparł z uśmiechem Przypadek.

– Nie pozwoli, lecz poprosi! – warknęła Staniec, ale usiadła, nie mówiąc już nic więcej. Mieszkała niedaleko stąd, przy Puławskiej, ale całą drogę biegła i była zmęczona. A jeszcze musiała niedługo wrócić do domu, żeby obudzić i przygotować swoje dzieci do przedszkola i szkoły. – Może mi pan w końcu wyjaśni, dlaczego mnie pan podejrzewa? – rzuciła w stronę Jacka gazetę.

– To nie ja, ale pani Bieńkowska. – Przypadek zerknął na nazwisko dziennikarki podpisanej pod artykułem. – W życiu nie widziałem tej pani, ale zakładam, że jej numer znajduje się w książce telefonicznej pani Kasi, która zadzwoniła do niej od razu po naszym spotkaniu. – Jacek uznał, że nie obowiązuje go już tajemnica spotkania i tak naruszona w szczególny sposób przez drugą stronę.

– Zabiję sukę! – zgryznięta Staniec i splotła dłonie tak, jakby właśnie kogoś dusiła. Po chwili spostrzegła jednak, że w obecnej sytuacji nie jest to najwłaściwsza reakcja. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że... jej pokażę!

– Wyprze się wszystkiego i każe dzwonić do tej dziennikarki. A ta albo zasłoni się tajemnicą, albo powie, że usłyszała to ode mnie. Najlepiej się pani zemści, mówiąc mi, dlaczego pani podejrzewa, że to ona zabiła Indżę?

– Skąd pan to wie? – Staniec z niepokojem spojrzała na wielką kulę na biurku Jacka z nasuniętym na nią melonikiem. Wzdrygnęła się jednak na samą myśl o tym, że mogła przypuszczać nawet przez moment coś równie niedorzecznego jak to, że właśnie tam detektyw ujrział odpowiedź na jej pytanie.

– Mógłbym powtórzyć to, że jestem jasnowidzem, ale wtedy pani zarzuciłaby mnie feministyczną nowomową, a na to nie mam ochoty. To dlaczego pani ją podejrzewa?

– Była wściekła na Indżę za męża.

– Czyżby miała z nim romans? Była sporo starsza...

– No i to jest właśnie typowo męskie szowinistyczne myślenie! – Mimo zmęczenia Staniec nie wytrzymała i poderwała się z krzeselka. – Gdyby facet miał pięćdziesiąt pięć lat, a ona trzydzieści pięć to nikt nie zwracałby uwagi na różnicę wieku. Ale w przeciwną stronę to każdy otwiera oczy ze zdumienia albo zniesmaczony kręci głową. A dojrzała kobieta ma bardzo wiele do zaoferowania mężczyźnie!

– Nie wątpię. Jednak jestem prawie pewien, że swojego męża trzymała pani z daleka od fundacji i broniła się przed zaproszeniami ze strony Indży?

– Skąd pan wie?! – Feministka raz jeszcze zerknęła na szklaną kulę i błyskawicznie wymierzyła sobie karę za myśli pozbawione racjonalnej podstawy naukowej, klepiąc się dłonią w czoło. – A tak, pewnie Bieńkowska panu powiedziała?!

– Pani Katarzyna nie wspomniała o tym słowem. Byłoby to z jej strony nieostrożne, bo gdyby mówiła o pani mężu, zainteresowałbym się jej własnym.

– To skąd pan wie?! I proszę mnie nie karmić bajkami o jasnowidztwie. – Tym razem kobieta nawet nie spojrzała na kulę, ale wskazała na nią oskarżycielsko palcem.

– Dobrze, przyznam się. Doniosły mi o tym krasnoludki. Zadowolona pani?

Staniec zacinęła mocniej usta i postanowiła sobie, że już nigdy więcej nie zada tego pytania detektywowi.

– A wracając do tego rzekomego romansu męża pani Bieńkowskiej... – kontynuował Jacek.

– Jakiego rzekomego?! Takie są fakty. Kaśka się przez to strasznie kłóciła z mężem i nawet podobno ten wypadek samochodowy to był przez to, że się kłócili.

– To pewnie po tym wypadku cały czas nie może do końca wyprostować lewej ręki?

– Pan się z nią często widuje? – zapytała zaniepokojona Edyta.

– Widziałem ją raz przez pięć minut.

– To ssss... – Chciała zapytać feministka, ale ugryzła się w język.

– Bo kobiety, jak to ludzie, są banalnie przewidywalne. Jeśli nie ma mi pani nic więcej do powiedzenia, to chętnie bym się jeszcze zdrzemnął, ponieważ do późnej nocy czytałem pewną genialną książkę, a odwiedzam dziś moją mamę i nie chciałbym, żeby pomyślała, iż w ogóle nie sypiam. – Jacek ziewnął głośno.

Staniec z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć na tak ostentacyjne lekceważenie siarczystym policzkiem. Poprawiła jednak tylko na nosie okulary, choć te nie zsunęły się od dłuższego czasu nawet o milimetr, i powiedziała przez zaciśnięte zęby:

– W zasadzie coś mi się przypomniało. Tamtego dnia, gdy zabito Indżę, byłam z Kachą na lanczu...

W przeciwieństwie do starszego aspiranta Smańki pani Łosiowa nie musiała ukrywać swoich uczuć związanych z decyzją męża i owijać w bawełnę tego, co ma do powiedzenia na ten temat. Dlatego też skorzystała z tego prawa natychmiast, gdy małżonek napomknął jej o tym, czym się aktualnie zajmuje.

– Łoś, ty już kompletnie zdurniałeś! – Chwyliła męża za kurtkę, nie pozwalając mu jej włożyć. – Zapomniałeś, do jakiego stanu cię doprowadził?!

– To nie on, tylko ta dziwna Storczyk.

– Nieważne, podejrzewałeś ich, że chcą zrobić zamach stanu i obalić rząd. Musiałam ci baterie do pilota wyrzucić przez okno! Powinieneś się cieszyć, że nie wylądowałaś w wariatkowie. A teraz po prostu zgadzasz się znów na przydział do spraw tego Przypadka?!

– Nie było innych chętnych. Zresztą inspektor Zasada powiedział, że nawet ta Storczyk uważa, że ja ją najlepiej zastąpię. – Łoś bezskutecznie usiłował uwolnić kurtkę z uchwytu żony, ale jego połowica nie miała zamiaru łatwo ustąpić.

– I to nie wzbudza twoich podejrzeń? – Małżonka podkomisarza postanowiła zasiać w nim wątpliwości.

– Nie, dlaczego? – Łoś był autentycznie zdziwiony, dlaczego ma podejrzewać o cokolwiek kogoś, kto prawi mu tak oczywiste komplementy. – Po prostu doceniła moją robotę. Sama niby odnosiła sukcesy, ale najwyraźniej nie była w stanie wytrzymać, bo odeszła ze służby. To świadczy, że ja się najlepiej do tego nadaję – stwierdził z przekonaniem, które jego żonę raczej napawało przerażeniem niż uspokajało.

– Najlepiej to byś zrobił, jakbyś odmówił.

– Teraz, kiedy mam wreszcie szansę go wyprzedzić?

– Żartujesz, Łosiu? Wiem, że jesteś świetnym policjantem, ale twoim przeciwnikiem jest geniusz i dobrze o tym wiesz.

– Geniusz? – prychnął pogardliwie Łoś. – Nie żartuj sobie. I zapamiętaj, że w sprawie tej Wasowicz ja pierwszy dopadnę mordercę.

– Oj, Łosiu, Łosiu. Ścigasz się z nim prawie od dwóch lat. I co? Daj sobie z nim spokój. Tylko się męczysz, a ja razem z tobą.

– Ty? – Podkomisarz spojrział zdziwiony na żonę, bo dotąd mu się wydawało, że Przypadek jest jej najzupełniej obojętny.

– Tak, ja. Cały czas mi się wyptakujesz, kogo to ważnego nie musiałeś przez niego aresztować i ile masz z nim kłopotów, chociaż tak naprawdę do pięt ci nie dorasta. Ale od dzisiaj dosyć z tym, nie chcę o nim słyszeć więcej ani słowa!

– To mam ci już więcej nie mówić o swojej pracy? – Podkomisarz spojrział zdziwiony na żonę, bo przez dwadzieścia pięć lat ich małżeństwa pani Łosiowa nie przegapiła żadnej okazji, aby zdobyć jak największą ilość informacji o wszystkim, co dotyczyło jej męża.

– Nie, jeśli będzie to miało jakikolwiek związek z tym detektywem. – Pani Łosiowa puściła kurtkę męża.

– Jak sobie chcesz – stwierdził podkomisarz w gruncie rzeczy ucieszony, że nie będzie musiał zdawać szczegółowych relacji z tego, co dzieje się w pracy, i uśmiechnięty wyszedł.

Pani Łosiowa wyjrzała przez okno i z rosnącym niepokojem stwierdziła, że jej mąż idzie, pogwizdując pod nosem, co było u niego oznaką największego zadowolenia. Już od dawna nie widziała, żeby szedł w takim nastroju do pracy, która jeszcze przed pojawieniem się w jego życiu detektywa Przypadka wyraźnie nużyła go i męczyła. A teraz jakby odzyskał niespodziewanie świeżość i energię.

„Musi coś kombinować. Przecież to niemożliwe, żeby on go... – Na samą myśl pani Łosiowa się wzdrygnęła. – Nie, to absurd. Zenon nigdy by tego nie zrobił. Musiał coś wymyślić. Coś bardzo głupiego. Powinnam była się zorientować, gdy przestał czytać te swoje stare milicyjne kryminałki i wziął się do czytania Agathy Christie! Znów muszę na niego uważać. W razie czego pójdę do Zasady. Chyba mi nie odmówi po starej znajomości!”

Ktoś mógłby uznać, że Jacek jest w gruncie rzeczy maminsynkiem. No bo jak nazwać faceta, który w wieku trzydziestu dwóch lat stara się przynajmniej dwa razy w tygodniu jadać obiady u swojej rodzicielki i od pewnego czasu spędza z nią więcej czasu niż z jakąkolwiek inną kobietą, pani Irminy Bamber nie wyłączać? Na szczęście, jak już wyznał dawno temu Autorowi książek o nim, ostatnią rzeczą na świecie, którą by się martwił, jest to, co ktoś sobie o nim pomyśli. Dlatego bez odrobiny skrępowania odwiedzał swoją mamę często, uważając to nawet za swego rodzaju obowiązek w sytuacji, w jakiej się znalazła.

I nie chodziło tu tylko o rozwód, lecz także o fakt, że jeszcze przed świętami, w ramach prezentu pod choinkę, wydawcy gremialnie odrzucili najnowsze dzieło pani Felicji Przypadek, którym był kryminał retro. Jacek poczuwał się do winy, bo wcześniej wymigał się od lektury maszynopisu. Matka nie miała mu tego uprządkować za złe, lecz nie skorzystała z jego rady i nie dała do przeczytania swojej książki innym znajomym, tylko postanowiła ją od razu przesłać wydawcom. Stwierdziła, że i tak nie jest w stanie napisać tego lepiej, dlatego powinna spróbować wskoczyć na wysokiego konia. Bolesnie się przy tym potłukła, a Jacek przekonywał się o tym za każdym razem.

– Nie powinnam sobie robić zbyt dużych nadziei – zaczęła narzekać zaraz po tym, jak nalała Jackowi talerz pysznej zupy ogórkowej. – Ale wiesz, to wszystko przez to, że po rozwodzie z Fryderykiem poczułam się nagle taka jakaś odblokowana i wydawało mi się, że naprawdę znakomicie mi się pisze. Myślałam, że ta moja niemoc twórcza to przez to nieszczęśliwe małżeństwo...

– Tak było, mamo.

– Dzięki, synku, ale nie pocieszaj mnie. Gdyby ta książka była chociaż średnia, ale oni nie widzieliby jej w swoich planach wydawniczych, po prostu by mi podziękowali jakimś zdawkowym listem. Gdyby była tylko słaba, zwyczajnie by mi nie odpowiadali, bo nie mają takiego obowiązku. A oni wysmażyli takie epistoły, że to rzecz niewiarygodnie naiwna, niespójna, wręcz beznadziejna, i poradzili, żebym sobie dała spokój z tym niełatwym gatunkiem. I że w kryminale retro ważne jest trzymanie się pewnych realiów...

– No bo rzeczywiście ta twoja teoria z prapradziadkiem Jackiem i Agathą Christie jest odważna. Trudno, by ktoś uwierzył, że to on był pierwowzorem Herkulesa Poirota – zauważył dyplomatycznie detektyw.

– Mam dowody, choćby ten twój melonik w spadku po prapradzadku, jego nawet nazywali Pan Melonik, bo go właściwie nie zdejmował. Poza tym to jej słynne zdanie: „Przypadek jest najlepszym detektywem”... – Urwała i spojrzała zdziwiona na syna. – A ty skąd wiesz o tej teorii? Przecież nie czytałeś mojej książki.

– Skończyłem ją dziś o drugiej w nocy.

– Ale jak? Nawet jej ode mnie nie wzięłeś.

– W trakcie ostatniej wizyty pozwoliłem sobie pożyczyć jeden z maszynopisów. Nie gniewaj się, mamu, ale wolałem ci o tym nie mówić, ponieważ nie chciałem ci sprawić przykrości swoją opinią.

– Ale wydało się. I co, rzeczywiście jest taka zła?

– Jest rewelacyjna. – Jacek podał matce talerz z wyraźną prośbą w oczach o dokładkę.

– Żartujesz? – Pani Felicja stała na razie nieporuszona z talerzem w ręku.

– Absolutnie nie. Inaczej wystrzegabym się przyznania, że znam treść. Uważam jednak, że to znakomita rzecz, dlatego mogę ci o tym powiedzieć.

– Pocieszasz mnie? Na pewno mnie pocieszasz. Wprawdzie sędzę, że ci wydawcy ocenili mnie chyba trochę zbyt surowo, lecz gdyby ta książka była rewelacyjna, toby jej tak nie zjechali w swoich wewnętrznych recenzjach.

– Nie pytaj mnie, nie jestem znawcą rynku wydawniczego. Czasem sam się zastanawiam, dlaczego coś zostało wydane i ma tak świetne recenzje, choć czytać się tego nie da. Skoro jednak mi nie wierzysz, zrób tak, jak ci wcześniej radziłem. Wybierz kilka osób, którym ufasz i o których wiesz, że nie będą cię głaskać, i daj im to do przeczytania. Wtedy przekonasz się sama. Ale wcześniej, proszę cię, nalej mi kolejny talerz tej niezmiernie dobrej ogórkowej. I uwierz, że chwałę tę zupeł nie tylko dlatego, żeby sprawić ci przyjemność.

– W to akurat wierzę. Zawsze wierzyłam, że jestem mistrzynią w gotowaniu zup dla mojego syna – powiedziała pani Felicja, uśmiechając się gorzko.

– Zobaczysz, za rok czy dwa będą o tobie mówili królowa kryminału retro.

– Ale ja nie znam więcej historii o prapradzadku Jacku.

– Pogrzebiesz w papierach, coś wyszperasz. Zresztą tu też dorzuciłaś sporo od siebie, żeby ubarwić tę historię.

– Tylko jak ja zostanę tą królową, jeśli nikt nie będzie chciał mnie wydać? – zapytała pani Felicja, stawiając przed Jackiem kolejny talerz zupy ogórkowej.

– Przecież jeszcze kilku mniejszych wydawców ci nie odpowiedziało.

– Dwóch, może trzech... Ale to nieduże oficyny.

– Od czegoś trzeba zacząć. Może powinnaś poszukać jakichś innych? A na początek mówię ci, daj to do przeczytania kilku osobom, wróćą ci wiarę w siebie. Tylko nie ojcu, bo on w tej chwili uznaby to na pewno za genialne.

– To fakt. Cały czas szuka pretekstu do kontaktu ze mną. – Pani Felicja powiedziała to bez pretensji, a nawet z nutą pewnej satysfakcji. – Ostatnio też wymyślił sobie, że po coś tu

wpadnie, ale powiedziałam mu, że każdą rzecz sama mu odniosę do kancelarii... Naprawdę myślisz, że ktoś pokusi się o wydanie tej książki?

– Jeśli tak się nie stanie, przyjmę za darmo sprawę od jakiegoś wydawcy, po to tylko, żeby cię wydał.

– Nie wiadomo, czy któryś będzie potrzebował detektywa. Zresztą nie chcę w ten sposób ich zmuszać...

– Ja to zrobię dla ich dobra, żeby nie przegapili takiego bestsellera.

– Jesteś kochany, synku – uśmiechnęła się pani Felicja. – Nikt tak jak ty nie potrafi mi poprawić humoru. Zatem teraz muszę tylko błagać niebiosa o to, żeby jakiś wydawca miał sprawę dla ciebie.

– W razie czego sam kogoś zabiję albo okradnę – stwierdził beztrzesko Jacek, ale jego żart nie spodobał się pani Felicji.

– Nawet tak nie dowcipkuj, synku.

– Nie żartuję, mamu. Dla ciebie zrobię wszystko.

Różne rzeczy sprawiają ludziom przyjemność. Jedni wolą zbierać grzyby, inni łowić ryby, a jeszcze inni pływać na łódce. Są tacy, którzy kochają włoskie wina, i tacy, którzy przedkładają nad nie czeskie piwa. Niektóre osoby odpoczywają, patrząc na szczyty gór, a inne czując morską bryzę. Jedni lubią lody śmietankowe, a inni truskawkowe. Inne rzeczy cieszą ludzi małych, a inne wielkich. Jedno jest pewne: ludzie podążający ścieżkami władzy największą radość odczuwają nie wtedy, gdy pod ich ciosami na dno idzie największy wróg z przeciwnego obozu, lecz wtedy, gdy tonie najlepszy przyjaciel, od wielu lat płynący w tę samą stronę. Sami zresztą zwykle robią dziurę w jego łajbie i z wielką przyjemnością patrzą, jak statek przyjaciela nabiera wody i pogrąża się w odmętach. Udając przy tym, że nie mają z całą sprawą nic wspólnego i że to zapewne wina nieprzyjaciół, więc to im teraz należy wypowiedzieć wojnę. Oczywiście, warto się przy tym zastanowić, czy tacy ludzie zasługiwali wcześniej na miano przyjaciół, lecz również skonstatować, że idący po władzę przyjaciół mieć po prostu nie mogą...

Katarzyna Bieńkowska miała przed sobą płachtę dzisiejszego „Nowego Życia”, na którego pierwszej stronie krzychał tytuł: „Detektyw Przypadek na tropie morderczyni Indzy Wasowicz”. Przeczytała cały, niezbyt długi zresztą, artykuł z uśmiechem na twarzy. Potem odkleiła uśmiech i schowała go do szufladki swojego biurka, wyjmując z niej jednocześnie wyraz z troskania i oburzenia, z którym zawsze pochylała się nad podopiecznymi fundacji FuRiA. Wzięła gazetę i przeszła z nią ze swojego gabinetu do pomieszczenia, gdzie urzędowała jej najszerzej współpracowniczka i przyjaciółka, Edyta Staniec.

– To straszne, Edka. Czytałaś? Jak on cię może podejrzewać? – Bieńkowska położyła przed Staniec płachtę gazety.

– Masz nieaktualne informacje.

– Nie rozumiem. To przecież dzisiejsze wydanie...

– Za to jutro ukaże się artykuł, że podejrzewa ciebie.

– Skąd wiesz?!

– Ty znasz się z redaktorką „Nowego Życia”, ja znam się z redaktorką „Głosu Warszawy”. Każdy z kimś tam się zna – stwierdziła sentencjonalnie Staniec.

– Ale... jak możesz to robić?!

– Tak samo jak ty.

– Chyba nie podejrzewasz, że to ja stoję za tym artykułem? – oburzyła się Bieńkowska i chwyciła gazetę. – Ja w ogóle nie znam tej... – Zmrużyła oczy, ponieważ bez okularów trudno jej było odczytać podpis pod artykułem. – Też Żabczyńskiej.

– Żabkowskiej. I wiem, że znasz.

– Edka, no co ty... Zresztą możesz zadzwonić do tej... Żabkowskiej? Tak się nazywa? – Ironicznie uśmiechnęta Staniec tylko kiwnęła głową. – No więc możesz do niej zadzwonić i zapytać...

– Ten Przypadek jest jednak niezły. Przewidział dokładnie twoją reakcję.

– Rozmawiałaś z nim? – Bieńkowska zeszywniała.

– Dziś rano.

– Ale chyba mu nie uwierzyłaś! Przecież to manipulant! Wiesz, jak nienawidzi feministek! Indźa zawsze mówiła, że musimy go zwalczać ze wszystkich sił!

– To po co się z nim spotykałaś i donosiłaś mu na mnie?

– Nie donosiłam, daję słowo. Znajoma mnie prosiła...

– Skoro to taki nasz wróg, to nie powinnaś słuchać znajomej. Chyba że chciałaś coś ugrać. Na przykład to. – Staniec wskazała na artykuł w gazecie.

– No co ty, Edka? Po co? Nie pamiętasz, czego nas uczyła Indźa? Nigdy przeciw sobie...

– Ale męża zaciągnęła ci do łóżka.

Wyraz zatroskania i oburzenia odpadł z twarzy Bieńkowskiej. Nigdy nie rozmawiała o tym ze Staniec. Miała nawet wrażenie, że Edyta współczuje jej z powodu tych plotek i zawsze skrętnie omija ten temat. A teraz uderzyła ją nim w twarz. Czyżby zatem nie było to tylko zwykłe podszcypywanie się przyjaciółek, lecz wypowiedzenie wojny?

– To nieprawda. Rozmawiałam z nią o tym, zaprzeczyła.

– Ja też rozmawiałam. – Staniec się uśmiechnęła. – Pochwaliła mi się, że nie było z tym większego problemu...

– Jak możesz... Ty...

– Przypomniało mi się jeszcze, że gdy siedziałyśmy na tym lanczu u Wietnamczyka, to zadzwoniła twoja komórka. I wyszłaś na kilka minut, żeby porozmawiać przez telefon. Straciłam cię z oczu. To było wystarczająco dużo czasu, żeby dobiec na górę. Powiedziałam to panu Przypadkowi i teraz to ciebie najbardziej podejrzewa. Miałaś wiele motywów i okazję... Tak jutro napiszą w gazetach...

Tak, to z pewnością było wypowiedzenie wojny. I to takiej na śmierć i życie. Cóż za brak klasy u tej Staniec! Mogłaby tak jak ona podpuścić zaprzyjaźnioną dziennikarkę i udawać, że broń Boże nie ma z tym nic wspólnego. Ale dobrze, jeśli woli tak otwarcie walczyć, to niech będzie tak.

– Ty... flądro! To ja cię nie chciałam wkopywać przed Przypadkiem, a ty mi takie rzeczy robisz? Ale teraz koniec z tym, powiem wszystko. I podam jeszcze parę niezłych motywów.

– Chcesz się z nim znów spotkać?!

– Nie muszę. Wystarczy, że zadzwonię do Beatki Żabkowskiej, a ona poda, że wie to z anonimowych źródeł zbliżonych do detektywa.

Nie dało się już dłużej udawać, że wystrzały armatnie padają nie wiadomo skąd, więc wojna została oficjalnie wypowiedziana. Błyskawicznie zakończyły się starcia podjazdowe, przyszedł czas na prawdziwą bitwę. A ponieważ wojska nie były jeszcze całkiem zmobilizowane do walki, chwyciły co popadnie i ostrzeliwały się, tłukąc przy tym szybę, wazon i doniczkę. Gdy zaś doszło do bezpośredniego zderzenia i w rękach rywali pojawiły się włosy przeciwniczek, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w tej wojnie nie bierze się

jeńców. I nawet wejście pani Aldony Luzyńczyk, kobiety silnej i dobrze zbudowanej, która próbowała rozdzielić walczące strony, nie przyniosło nawet chwilowego rozejmu.

Błażej Sakowicz przygotowywał się właśnie do jednego z najważniejszych pojedynków w swoim życiu. Do chwili, o której być może nie marzył głośno, ale jakoś podświadomie do niej dążył. Dlatego po włożeniu togi wyjątkowo dokładnie sprawdził, czy zielony żabocik trzyma się w sposób właściwy. Przejrzał się w lustrze i stwierdził, że przydałoby mu się nieco siwizny na skroniach. Takiej, która pięknie rozświetlała głowę jego ojca, naprzeciwko którego miał zaraz stanąć. Może przydałoby mu się trochę dodatkowych zmartwień, gdyż nawet w dzisiejszych czasach nie jest łatwo o siwiznę w wieku trzydziestu dwóch lat?

– Mówię ci, z nim się dzieje coś bardzo niedobrego. – Usłyszał jak na zawołanie mecenas Sakowicz. Głos ten należał do innej osoby ubranej w togę z zielonym żabocikiem, która z pewnością nie pożałowała szlachetnej siwizny, gdyż byłoby to sprzeczne z naturą jej płci.

– Marzena, proszę cię, skup się – fuknął na współniczkę Błażej. – Za chwilę mamy proces, który nas może ustawić na wiele lat. Jeśli uda nam się ostatecznie odzyskać od Kęsonia tę kamienicę przy Olbrachta dla profesora de Boutiera, zarobimy na rok działania kancelarii i zyskamy markę. Zdajesz sobie sprawę, ile kamienic w Warszawie przejęli oszuści w rodzaju Kęsonia? To może być żyła złota.

– Zapominasz, że mamy tę sprawę dzięki Jackowi. Gdyby nie udowodnił tego oszustwa...

– Nie zapominam, ale to nie jest powód, żeby gadać o nim cały czas.

– Martwię się o niego. I ty też powinieneś. W końcu to twój najlepszy przyjaciel.

– I dlatego jestem o niego spokojny. Zbyt dobrze go znam, żeby się o niego martwić.

– Żartujesz?! Przecież nie ma zdjęcia Basi...

– I to cię niepokoi? Że zamienił zdjęcie jednej martwej dziewczyny na zdjęcie drugiej martwej dziewczyny? – Błażej przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze i uznał, że skoro brak mu siwizny, musi to nadrobić mimiką i zrobić jakąś srogą minę, gdyż ma zbyt łagodny wyraz twarzy, bardziej odpowiedni dla chłopca niż dla poważnego adwokata.

– Ale zdjęcie Basi stało w jego kuchni ponad dziewięć lat. Poza tym nie wiadomo, czy jest martwa.

– Ta, jasne. Zaginęła ponad dziesięć lat temu w Himalajach i cały czas żyje wśród tybetańskich mnichów! – Błażej prychnął pogardliwie i doszedł do wniosku, że to pogardliwe prychnięcie może mu się przydać na sali sądowej. Spojrzał więc uważniej w lustro i spróbował jeszcze raz prychnąć w podobny sposób, ale skrzywił się niezadowolony, bo tym razem nie wyszło tak dobrze.

– Ale ta Malwina Żarska cały czas jej szuka. Ostatnio trafiła na jakiś trop.

– Śledzisz bloga z jej wyprawy w Himalaje? – Błażej zerknął na swoją współniczkę z cieniem uśmiechu na ustach. Ten cień, odbity w lustrze, wyraźnie mu się spodobał, więc próbował go powtórzyć. Niestety, znów bezskutecznie.

– A co w tym śmiesznego?

– Nic. Nie myślałem tylko, że obchodzi cię to, czy odnajdzie się była dziewczyna Jacka.

– Zapominasz, że Basia była moją przyjaciółką.

– Tak, tak – przytaknął nieuważnie Błażej, który właśnie odnalazł w lustrze odpowiednio pogardliwą minę i uznał, że ona jest najwłaściwsza do poczęstowania ojca na sali sądowej, gdy będzie zaczynał swoją mowę.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – zapytała zdenerwowana Marzena.

– Nie mam wyjścia. Stoisz obok i nawijasz o zupełnie nieważnych rzeczach od blisko kwadransa, zamiast skupić się na tym, co istotne. Skoro tak ci zależy na spotykaniu się z Jackiem, to zostań jego obrońcą, bo podobno prokurator Sapkowska szykuje przeciwko niemu akt oskarżenia.

– Nie zależy mi na spotkaniach z Jackiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego uważasz, że wizyta Jacka u manikiurzystki to nie jest nic ważnego.

– Boże drogi, dzisiaj niejeden facet bywa u manikiurzystki.

– Nie facet, tylko homo albo metro! A Jacek w życiu nie był ani jednym, ani drugim!! – Złość Marzeny rosła z każdym słowem. – To prawdziwy facet, czasem spocony, czasem nieogolony, rzadko uczesany, nieopuszczający kłapy od kibla, rozrzucający skarpetki i nieubierający się jak każe moda, tylko jak mu się chce!!!

Błażej przestał spoglądać w lustro, albowiem w życiu nie widział mecenasa Kolskiej w takim stanie. A znał ją od bardzo dawna, na początku z widzenia, potem przez długi czas jako udawaną narzeczoną swojego przyjaciela. Od niedawna widywał ją niemal codziennie we wspólnej kancelarii. Nie przypominał sobie jednak, żeby na kogoś podniosła głos lub w ogóle była mocniej zdenerwowana. Teraz jednak wyraźnie nie panowała nad sobą.

– Marzena, ja rozumiem, że Jacek cię rusza, bo wiele was łączyło...

– Nic nas nie łączyło, przecież wiesz!

– No tak, nic was nie łączyło, dlatego się o niego martwisz. – Pani mecenas chciała mu wejść w słowo, ale Błażej był szybszy. – Ja jednak znam go od piaskownicy i wiem, że nie dzieje się z nim teraz nic szczególnego. W dodatku mam na głowie najważniejszą w życiu sprawę w sądzie, moja narieczona jest w ciąży i coraz gorzej to znosi, a za niecałe dwa miesiące biorę ślub. Dlatego byłoby super, gdybyś na razie zwracała mi głowę sprawami zawodowymi i niczym innym. Dobrze?

Bogdańska słyszała już z nim nieraz. W kręgach, w których się obracała, od prawie dwóch lat był przedmiotem nieustannej nienawiści. Zarozumiały, podstępny, wredny, a co gorsza z uporem maniaka dążący do odkrycia prawdy, jakby ta prawda była komuś rzeczywiście potrzebna. Najwięcej pomył na jego głowę wylała jej nieżyjąca już szefowa. Indza, gdy tylko słyszała o kolejnej sprawie rozwiązanej przez Przypadka oraz cierpieniach osób znanych, lubianych i powszechnie uznanych za autorytety, krzywiła się niemilosiernie i przeklinała to „maczystowsko-patriarchalne monstrum”. Dlatego Ola, widząc teraz przed sobą sympatycznie uśmiechającego się mężczyznę w stroju do biegania, nie dała się zwieść jego wyglądowi.

– Nie będę o niczym z panem rozmawiać. Czy to jasne?!

– W porządku – zgodził się Jacek. – Zatem porozmawiajmy o niczym.

– Czyli o czym? – zapytała zdezorientowana.

– Na przykład o pani przyszłości. Zdecydowała się już pani, co chce robić?

– Robię to, co kocham. I nadal mam zamiar!

– Czyli ma już pani załatwioną jakąś inną pracę? Bo chyba sama pani rozumie, że FuRiA to już nie jest miejsce dla pani?

– FuRiA zawsze była, jest i będzie moim domem! – wrzasnęła Bogdańska, zwracając powszechną uwagę osób na ulicy.

– Już nie bardzo. Rozmawiałem ostatnio z dwiema najpoważniejszymi kandydatkami na nową panią prezes i obie chcą się pani pozbyć. Nie wiem, czy dobrowolnie, czy dopiero po doniesieniu do prokuratury. Podejrzewają, że przywłaszczyla sobie pani trochę pieniędzy...

– To bzdura! To niemożliwe! One dobrze wiedzą, że ja bym sama nie mogła, musiałam zrobić to, co kazała mi Indźa! – krzyczała Bogdańska. – To pewnie ten wariat Barszczyk pana nastłał. Pan wie, że on przyszedł do fundacji i przeszukiwał mój pokój, jakby szukał dowodów? A gdy go nakryłam, to dał mi tydzień na przyznanie się do winy, bo inaczej sam udowodni, że to ja zabiłam Indżę? Jakby był w stanie coś takiego zrobić. Wie pan, że Indźa najbardziej narzekała u niego na logikę. Nieraz się śmiała, że powinien się zająć pisaniem gejowskich romansów, ponieważ w tym, co wymyślał, nic nie trzymało się kupy. Raz bohater był niski, potem nagle okazywał się wysoki, w dodatku z blond włosami i włosami, chociaż w pierwszych zdaniach książki przedstawiał go jako ognistego bruneta! I ktoś taki uważa, że wydedukował, iż to ja zabiłam Indżę! Ja!

Krzyczała tak głośno, że pół ulicy niemal słyszało jej przyznanie się do winy, a przysłuchujący się temu podkomisarz Łoś żałował, że nie ma przy sobie odpowiedniego sprzętu do nagrywania. Taka gratka mogła się już nie powtórzyć. Przecież ta Bogdańska jest właściwie nikim, mógłby ją bezkarnie zamknąć i nikt nie zadzwoniłby, żeby jej bronić!

– On się uparł, że osobiście musi komuś udowodnić winę, a ja jestem najłatwiejszym celem. Poza tym mnie nie cierpi i dlatego oskarża o zabicie Indży...

– A pani ją zabiła? – zapytał z głupia frant Jacek.

– Pewnie już sporo pan o mnie wie. Proszę pomyśleć logicznie. Wszyscy mówią, że to Barszczyk jest najbardziej poszkodowany, gdy zabrakło Indży, tak? A ja? On ma chociaż te wszystkie swoje ciotki, które się w razie czego za nim wstawiają. A ja miałam tylko ją. Ona mi we wszystkim pomagała, dała świetną pracę, załatwiła lokal komunalny, w którym mieszkam z synem za grosze. Była dla mnie jak matka, zawsze mogłam na nią liczyć. I ja bym ją miała zabijać? Tak, mam nadzieję, że mimo jej śmierci nadal będę mogła pracować w fundacji, chociaż jestem pewna, że stanę się bardziej popychadłem, bo wiceprezeski będą mnie uważały za człowieka Indży, który nic nie potrafi. A ja jestem lepsza od nich wszystkich i to ja powinienam zarządzać tą fundacją, bo znam ją najlepiej.

– Ambitna z pani dziewczyna. – Jacek się uśmiechnął, a Bogdańska, widząc jego ironiczno-dobrotliwo-pobłaźliwy wyraz twarzy, nie miała wątpliwości, że z niej kpi. Dlatego Przypadek musiał zrobić unik, żeby nie zostać trafiony w głowę jej torebką.

– Żeby pan wiedział! Bo co, bo jak nie mam studiów, to te socjolożki i filozofki są ode mnie lepsze?!

– Chętnie bym się dowiedziała, dlaczego podejrzewa pani Edytę Staniec. Bo w samą intuicję, jak twierdziła pani w rozmowie z panią Bieńkowską, nie uwierzę.

– Nigdy nikogo nie oskarżałam o morderstwo. Proszę mi dać spokój! A Barszczykowi niech pan powie, że jak go dorwę, to mu nogi powyrywam z tej jego tłustej dupy! – Po chwili stukot jej niewysokich obcasów było już słychać na podwórku kamienicy.

Jacek nie miał zamiaru za nią gonić. Wprawdzie był ubrany w dres, ale w ogóle nie miał zamiaru biec. Ruszył niemal spacerowym krokiem i zatrzymał się przy aucie zaparkowanym naprzeciwko Studia Modelingu Paznokci Andżeliki Paneczko. W aucie, mimo niewysokich temperatur, okno było uchylone, choć trudno było w nim dostrzec kogokolwiek. To jednak nie przeszkadzało Jackowi, żeby zacząć rozmowę.

– I co pan o niej sądzi, panie podkomisarzu? Chyba rzeczywiście nadaje się na prezeskę. Wtedy na czele fundacji FuRiA stałaby prawdziwa FURIA. Tylko motyw ma w sumie słaby. Śmierć Indży nie uchroniłaby jej przed odpowiedzialnością za defraudację, prawda? – zapytał Jacek, a brak odpowiedzi nie przeszkadzał mu w kontynuowaniu wywodu. – Następczyni Indży wykryłaby manko. Chyba że Bogdańska myślała, że sama zasiądzie na jej miejscu. Tak, jest ambitna, ale jest też realistką. Zdaje sobie sprawę, że na razie jest na to za słaba, może

kiedyś, w przyszłości. To jaki mógłby być motyw, panie podkomisarzu? Dlaczego najczęściej ludzie zabijają?

– Z miłości – wyrwało się nagle z samochodu, choć nie pokazała się tam żadna postać.

– Ma pan rację, panie aspirancie. – Jacek pokiwał głową z uznaniem. – Indźa była dla niej wszystkim. Spokojnie mogła się w niej zakochać i cierpieć, widząc tych wszystkich mężczyzn przewijających się przez łóżko jej idolki. Niech pan się nie unosi ze zdziwienia, panie podkomisarzu. I niech pan się lepiej przyjrzy tej Bogdańskiej. Trochę się boję, że może uciec. Jeśli jest winna, to może czuć, że grunt jej się pali pod nogami. Pewnie straci pracę, a do tego oskarża ją znany literat. Kto wie, może będzie chciała go nawet zabić. I niech pan da spokój manikiurzystce. Absolutnie jej nie podejrzewam. To będę leciał. – Przypadek zrobił kilka kroków, ale nagle się zatrzymał. – Aha, byłbym zapomniiał. Bardzo się cieszę, że pan podkomisarz wrócił. Świetnie mi się z panem współpracowało.

Tym razem, nic już więcej nie mówiąc, Jacek pobiegł w swoją stronę. Samochód zaparkowany naprzeciwko Studia Modelingu Paznokci wydawał się rzeczywiście nie mieć pasażerów jeszcze przez pewien czas. Dopiero po jakichś pięciu minutach znad krawędzi drzewi ostrożnie wyjrzały oczy starszego aspiranta Smańki.

– Nie widać go, panie podkomisarzu.

– Musieliście wyskoczyć z tą miłością, Smańko? – narzekał łoś, gramoląc się na fotel.

– Przecież i tak by nas zobaczył. Wystarczyłoby, żeby zajrzał przez szybę. Chyba nas wcześniej widział.

– No pewnie, że tak! Zamiast zaparkować gdzieś dalej, musieliście się zatrzymać dokładnie przed samym wejściem.

– Pan podkomisarz kazał.

– Mówiłem tylko, żebyście dobrze zaparkowali. I bez dyskusji! Idziemy przesłuchać tę manikiurzystkę.

– Ale przecież Przypadek... – próbował protestować starszy aspirant, lecz niemal od razu zamilkł, widząc potępiający wzrok przełożonego. – No tak, rozumiem, że chciał nas zmylić.

– Otóż to – powiedział łoś, otwierając auto. – Nawet podwójnie, Smańko. On myśli, że ja teraz pójdę przesłuchać manikiurzystkę...

– Przecież właśnie idziemy to zrobić. – Starszy aspirant wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

– Idziemy, żeby go zmylić. Po waszej minie widzę, że nic nie rozumiecie, ale wcale mnie to nie dziwi. W trakcie urlopu dokładnie przeanalizowałem jego metody i rozumiałem, że on się opiera głównie na prowokacji. Jeśli pójdę do manikiurzystki i ją przesłucham, Przypadek pomyśli, że uległem jego prowokacji i ją podejrzewam.

– Przecież pan ją podejrzewa. – Starszemu aspirantowi zakręciło się w głowie od wywodu zwierzchnika.

– Już nie. Ale ją przesłucham, żeby go zmylić. A potem przyjrzymy się tej Bogdańskiej.

– Czyli tak, jak chciał Przypadek?

– Nie, Smańko, naprawdę nie rozumiecie, że on tego nie chciał? Jego celem było, żebyśmy się zajęli tą manikiurzystką! Rozumiecie?!

Starszy aspirant kiwnął tylko twierdząco głową, gdyż uznał, że jakakolwiek dyskusja z podkomisarzem nie prowadzi do niczego. Jak już bowiem wcześniej stwierdził, jego przełożony bez cienia wątpliwości zwariował i jedyne, co można w takich wypadkach zrobić, to potakiwać.

„Nikt, kto widział jej niewinne oczy, kosmyki włosów łagodnie okalające twarz, delikatne dłonie, przyzwyczajone co najwyżej do pieszczenia ciał innych kobiet, a nie do okrutnego mordowania, nie mógł uwierzyć, że są w stanie trzymać w ręku narzędzie zbrodni. Lecz przecież to narzędzie również było z pozoru niegroźne, służące zwykle do pielęgnowania paznokci, ale z pewnością nie do przecinania aorty. Pewnie nawet gdy widziała strumienie krwi bryzające wokoło, patrzyła na Indżę zdumiona. Jak na zabawkę, którą popsuło kapryśne dziecko, a nie jak na kobietę umierającą w konwulsjach...”

– Capote niech się schowa, ja to mam talent! – zamruczał zadowolony Bonifacy Barszczyk, wpatrując się w słowa, które przed momentem wystukał na klawiaturze laptopa. – Teraz tylko niech ten babsztyl przyjdzie tu do mnie i przyzna się do wszystkiego. To będzie arcydzieło! *Z zimną krwią* pójdzie do lamusa!

Tylko czy się przyzna? Dał jej tydzień, a minęły już cztery dni. Ciągłe na nią czekał, był w każdej chwili gotów włączyć kamerę i rozpocząć nagrywanie. Oczywiście kamera była schowana między książkami, nie chciał od razu płoszyć Bogdańskiej, inaczej by mu się nie przyznała, mała krętaczka. Indża już dawno chciała ją wywalić, gdy się zorientowała, że jej asystentka ma zwyczaj traktowania pieniędzy fundacji jak swoich. Ale miała te idiotyczne wyrzuty sumienia związane z bękartem Bogdańskiej. Jakby tamta nie zafundowała sobie dzieciaka na własne życzenie. Teraz to było nawet modne wśród postępowych pań zostać surogatką dla gejów. Można się tym było potem chwalić i korzystać z kontaktów tatusiów własnego bachora.

Bonifacy Barszczyk zdawał sobie sprawę, że niełatwo będzie zmusić Bogdańską do przyznania się. A kiedy nawet była asystentka Indży zjawi się u niego, sytuacja może się wymknąć spod kontroli, gdyż jego przeciwniczka jest absolutnie nieobliczalna. Lecz przecież on był biologicznie mężczyzną, dużo wyższym, silniejszym! I nawet jeśli wzruszał się oraz płakał w trakcie oglądania musicali, to przecież da sobie z nią radę!

Tylko co, jeśli nie przyzna się tak wprost? Nie powie: „Tak, zrobiłam to, musiałam, nie miałam wyjścia?” Czy mu uwierzą? Nie miał przecież niepodważalnych dowodów, jedynie takie pośrednie, motywy, poszlaki, domniemania. Mógł tylko wierzyć, że w razie czego pomogą mu Staniec i Bienkowska, one też za nią nie przepadają. Gorzej, że jego, Barszczyka, także niespecjalnie lubią...

Dzwonek domofonu poderwał go na równe nogi. Niemal dofrunął do słuchawki, podniósł ją i zapytał z nadzieją w głosie:

– Kto tam?

Zamiast odpowiedzi usłyszał niezrozumiały chrobot. No tak, domofon zawsze to szwankował. Ale nic dziwnego, skoro pamiętał jeszcze wczesnego Gierka i zamiast wymiany przechodził tylko drobne naprawy wykonywane przez jednego z sąsiadów w kamienicy, na której poddaszu Bonifacy wynajmował swoją pracownię.

Gdyby nie czekał na Bogdańską, literat Barszczyk być może zignorowałby dzwoniącą domofonem osobę. W pracowni raczej nikt go nie odwiedzał, a jedyna osoba, która robiła to regularnie, miała klucz do drzwi na dole. Domofonu najczęściej używali roznosiciele ulotek. Albo kurierzy lub też szemrane towarzystwo, które chciało się dostać do środka i zwinąć coś nieopatrznie zostawionego na klatce schodowej przez sąsiadów. Teraz jednak musiał zaryzykować i otworzyć. To może być ona. Nacisnął przycisk domofonu, sprawdził, czy działa kamera. Pospiesznie wyjął z lodówki przygotowaną na tę okazję butelkę wina i nalał do jednego z kieliszków. A potem wyjrzał przez okno na ulicę i przeszedł go dreszcz. Nie miał wprawdzie zbyt dobrego wzroku, ale granatowego golfa z naklejką misia na tylnej szybie rozpoznał od razu, ponieważ widywał go nieraz zaparkowanego pod siedzibą fundacji FuRiA.

– Jest! – ucieszył się.

Podszedł do drzwi, odsunął zasuwę. Usiadł na krzeselku w oczekiwaniu na gościa, który wyjątkowo długo pokonywał pięć pięter kamienicy. W końcu usłyszał pukanie i starając się opanować drżenie głosu, powiedział:

– Proszę, otwarte! – Drzwi skrzypnęły i w wejściu ukazał się jeden z sąsiadów Jacka spod trzynastki. – Roman? Co ty tu robisz?

– Przyнося ci dobrą nowinę.

– Co się stało?

– Pamiętasz tego mojego sąsiada? Detektywa Przypadka?

– Tego drania, co to zawsze musi dojść do prawdy?

– Tak. Ale nie taki znowu z niego drań. Zgodził się za darmo znaleźć mordercę Indży... To znaczy musiałem go bardzo poprosić. Ale czego się nie robi dla przyjaciół. – Uśmiechnął się i skromnie spuścił wzrok w oczekiwaniu na grad pochwał i podziękowań. Zamiast tego usłyszał okrzyk rozpaczliwej literata.

– Co?! Jak mogłeś?! Ja muszę sam znaleźć mordercę, bo inaczej wszystko będzie bez sensu!

– Zdruzgotany Barszczyk ukrył twarz w dłoniach. – Chyba muszę się napić...

– Proszę. – Roman podał mu kieliszek wina stojący na stoliku, lecz literat odsunął go od siebie.

– Nie, tego nie. Potrzebuję czegoś mocniejszego.

– Możesz wpaść do mnie – zaproponował uradowany Roman. – Gabrysia akurat wyjechała na jeden dzień...

– Nie mam czasu na przyjemności. Muszę ją dorwać!

– Zawsze, jak się napijesz, możesz zapukać do tego detektywa, czy już czasem nie wpadł na trop.

Pan Jędrzej Sakowicz wracał dziś do domu nadzwyczaj zadowolony. Nawet coś czasem mruzczał melodyjnie pod nosem, co było o tyle niezwykłe, że jako dżentelmen w typie angielskim nadzwyczaj rzadko okazywał swoje uczucia. Tego dnia jednak nie potrafił się powstrzymać, bo i powód do świętowania wydawał się wyjątkowo dobry. Dlatego też w kwaciarni na rogu obok Willi, w której mieszkał, kupił piękny bukiet kwiatów. Wręczył go swojej żonie od razu po wejściu do domu i nucąc pod nosem bliżej niezidentyfikowaną arię operową, ruszył do pokoju, gdzie miał zamiar oddać się lekturze. Ledwie jednak zasiadł w fotelu i wzięął do ręki książkę, napotkał pytający wzrok małżonki.

– Wszystko w porządku? – upewniała się pani Sakowicz.

– Ależ naturalnie, kochanie. – Pan Jędrzej uśmiechnął się zadowolony.

– Gdyby coś nie było jednak w porządku i chciałbyś o tym porozmawiać...

– Dobrze, kochanie, ale nie będzie takiej potrzeby. Wszystko jest w absolutnym porządku.

Chciałem tylko chwilę poczytać.

– Gdyby jednak nie było w porządku... – upierała się mecenasowa.

– Zapewniam cię, że jest w porządku – powiedział z naciskiem pan Jędrzej, lekko już poirytowany dociekliwością żony.

– Rozumiem. Pamiętaj jednak...

– Tak, będę pamiętał. – Jędrzej Sakowicz wbił wzrok w kartki książki z nadzieją, że to definitywnie zakończy rozmowę.

Ten nie do końca grzeczny gest, z pewnością nieliczący ze zwykłym zachowaniem dżentelmena w typie angielskim, przyniósł efekt, tyle że krótkotrwały. Pan Jędrzej zdążył

przeczytać ledwie jedną stronę, gdy w pokoju z powrotem pojawiła się jego żona.

– Masz mi natychmiast wszystko opowiedzieć! – zażądała pani Sakowicz.

– Ale o czym, duszko?

– Dobrze wiesz, o czym. – Żona spojrzała groźnie na pana Jędrzeja.

– No dobrze, skoro ci tak zależy... Chciałem ci tego oszczędzić, jeśli jednak sobie życzysz...

– Życzę sobie!

– Młokos poległ całkowicie. – Pan Jędrzej odłożył książkę na stoliczek. – Próbowала go ratować ta jego współpracowniczka, ale cóż ona mogła? To pierwsze pokolenie adwokackie, nie ma we krwi sali sądowej. Co innego Błażej... Przyznam ci się, że nieco mnie rozczarował. Próbował stroić minki jak nowicjusz, ale w merytorycznej rozmowie oczywiście ze mną przegrywał na całej linii. Powiem szczerze, że zrobiło mi się go nieco żal i pod koniec lekko mu odpuszczałem, chociaż to nieprofesjonalne. Lecz wybac, sama rozumiesz, że nie mogę przegrać tej sprawy, więc będę go musiał pogrążyć i ośmieszyć na kolejnych rozprawach. Gdybyś chciała go przed tym uchronić, musiałabyś do niego zadzwonić i zaproponować mu kapitulację. Oczywiście, postaram się o honorowe warunki ze względu na nasze pokrewieństwo, jednak zbyt wiele obiecać nie mogę...

– Błażej już do mnie dzwonił po rozprawie.

– Ach, więc rozumiał swoją klęskę i prosił cię o wstawiennictwo. – Mecenas uśmiechnął się pobłaźliwie. – Jakż on jest do mnie niepodobny, ja walczyłybym o zwycięstwo aż do końca. Nie poddawałbym się, próbowałbym różnych forteli, przynajmniej na jakiś czas odwołując chwilę klęski. Gdzieś musiałem popełnić błąd przy jego wychowaniu. Tylko w którym momencie? I czy da się go naprawić? Szczerze mówiąc, wątpię, choć...

– Błażej powiedział, że kompletnie poległeś i nie miałeś z nim żadnych szans. – Helena Sakowicz weszła w słowo mężowi. – Dlatego postanowił uprzedzić mnie, że wrócisz dziś w złym humorze.

– Co proszę?! – Pan Jędrzej patrzył na żonę z niedowierzaniem. – Żartujesz?!

– Nic a nic. Powiedział jeszcze, że jeśli chcesz, to może ci zaproponować honorowe warunki kapitulacji.

– On chyba kpi. – Sakowicz podniósł się z fotela i wzburzony zaczął krążyć po pokoju.

– Mówił zupełnie serio.

– Zatem musiało mu się pomieszać w głowie. To pewnie przez tę klęskę, jaką poniósł na sali. Tak, na pewno zwariował. Nie ma innego wytłumaczenia!

Tym razem Jacek był absolutnie pewien, że śpi. Przecież zgodnie z tym, co pokazywały cyfry na wyświetlaczu komórki i zegarek, była piąta rano! Domofon został naprawiony, a poza tym o tej godzinie żadna z sąsiadek nie wyprowadzała jeszcze psa, więc nawet niechętny nie mogli wpuścić nikogo do środka. A jednak ktoś dobijał się do jego drzwi, bardzo natrętnie i nieustępliwie, choć z pewnymi przerwami. W trakcie tych przerw słychać było na korytarzu jakąś przytłumioną kłótnię, którą o każdej innej porze dnia zagłuszyłyby różne hałasy i nie docierałaby do wnętrza mieszkania detektywa.

Przypadek, nie otwierając oczu, doszedł aż do drzwi i zanim jeszcze spojrzał przez wizjer, chwycił za wciąż nieuprany płaszcz i włożył go na siebie. Na korytarzu ujrzał brodatą twarz wpatrującą się intensywnie w drzwi. Twarz musiała się oganiać od rąk, które próbowały ją wciągnąć do lokalu numer trzystaście. Ale Jacek wiedział, że daremny jest ich trud, bo twarz była zacięta i zdesperowana. Dlatego otworzył drzwi.

– Bardzo przepraszam, ale on się uparł. Mówiłem mu, że trzeba było przed dziesiątą wieczorem albo po ósmej rano, ale on nie chciał czekać. – Roman tłumaczył się Jackowi, próbując jeszcze siłą wciągnąć literata Barszczyka do własnego mieszkania. Ten jednak się nie

poddawał, odganiając znajomego. Poza tym sąsiad Przypadka na chwilę zaprzestał swych starań, gdyż jego uwagę przykuł strój detektywa. – Pan jest nagi?

– Ależ skąd! Właśnie wychodziłem na spacer. Często spaceruję o piątej rano. I zapewniam, że nie robię tego nago.

– No widzisz – ucieszył się Barszczyk, który bez zastrzeżeń uwierzył w wersję Jacka. – Ja muszę z nim pogadać. – Literat chciał minąć detektywa, żeby znaleźć się w jego mieszkaniu.

– Bonifacy, daj spokój. Za dużo dzisiaj wypiteś. I pewnie u pana Jacka jest jakiś gość...

– A widział pan u mnie kiedykolwiek jakiegoś gościa? – Jacek cofnął się o krok do mieszkania i zdjął z wieszaka pęk swoich kluczy.

– No nie... – przyznał szczerze Roman. – Ale wszyscy mówią, że pan zmienia dziewczyny jak rękawiczki.

– Proszę zatem wszystkim powiedzieć, że się mylą i być może przenoszą na mnie swoje kompleksy dotyczące kobiet.

– Baby... Jak ja ich nie cierpię – wybełkotał Barszczyk. – Myślą cały czas o jednym...

– Daj spokój, Bonifacy, wracajmy do mieszkania...

– Ja muszę z nim pogadać. – Literat złapał Jacka za połę płaszcza. – On mi nie może tego zrobić! Ja to muszę rozwiązać sam. Ja sam znajdę mordercę!

– Panie Romanie, skoro i tak wychodziłem, przejdę się z pańskim przyjacielem na najbliższy przystanek tramwajowy, bo zaraz powinien nadjechać pierwszy skład. – Aby nie tracić czasu, Jacek szybko sięgnął po czapkę i szalik. – Gdyby jednak chciał potem wrócić, byłbym wdzięczny za jego niewypuszczenie.

– Ależ oczywiście – potwierdził Roman ochoczo, odetchnąwszy z ulgą, że pozbędzie się kłopotu. Szybko zniknął za drzwiami swojego mieszkania, choć nie omieszkął przykleić oka do wizjera. Nie z ciekawości, absolutnie nie. Po prostu wszyscy wiedzieli, że Przypadek nie lubi przedstawicieli mniejszości, więc chciał się upewnić, że detektyw nie zepchnie jego znajomego literata ze schodów, zrzucając potem ten nieszczęśliwy wypadek na napoje wysokowe.

– A zatem, o czym pan chciał ze mną porozmawiać, panie Bonifacy? – zapytał Jacek, zamykając drzwi na klucz.

– O mojej książce. Z *zimniejszą krwią*, taki będzie tytuł. Żeby od razu było jasne, że przebijam Trumana Capote'a. To będzie megaarcydzieło!

– Bardzo się cieszę. Ostatnio mało jest dobrych książek...

– Mało? Teraz to wszystko szmira i tandeta jest! – Dla potwierdzenia ważności swoich słów literat Barszczyk czknął. Miało to ten zgubny skutek, że zachwiał się na schodach i gdyby nie pomocna dłoń Jacka, mógłby się zatrzymać dopiero na półpiętrze głową do dołu. – Absolutna tandeta. Ale ja jestem geniuszem!

– Wierzę panu, jest jednak tak wcześnie, że prosiłbym ciszej...

– Ciszej?! Precz z mieszczanami, którzy nienawidzą prawdziwej sztuki i śpią w nocy! I o piątej rano! – wykrzyknął bojowo i rewolucyjnie Barszczyk.

– Jeśli krzyknie pan ponownie, to obiecuję panu, że jeszcze dziś znajdę zabójcę Indzy, a tego pan się pewnie boi?

– Nikogo pan nie złapie. Pan myśli, że to ta Staniec? Czytałem, myli się pan...

– Zatem nie ma się pan czego obawiać.

– Ale pan zawsze dochodzi do prawdy. Taki ma pan feler.

– Rzeczywiście. Czyli boi się pan, że wskażę Bogdańską?

– Podejrzewa ją pan?! – krzyknął przestraszony Barszczyk, a Jacek zamiast odpowiedzi uchylił przed nim tylko drzwi wyjściowe z klatki na ulicę. – Ma pan już jakieś dowody?

– Na razie wiem tylko, że pan ją podejrzewa. – Jacek szczerzej okrył się płaszczem. Na szczęście dla niego, mimo drugiej połowy stycznia, temperatura o poranku wynosiła prawie pięć stopni na plusie. Biorąc jednak pod uwagę, że nie miał na sobie nic oprócz wierzchniego okrycia, uznał, że musi dość szybko zakończyć rozmowę. – I zakładam, że ma pan już jakieś dowody.

– Mam książkę. Mówiłem, to arcydzieło. Już prawie ją skończyłem.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Przypadek. – Szybko panu poszło.

– Półtora miesiąca! – oświadczył z dumą literat. – Mam już wszystko. Brakuje mi tylko szczegółu, drobiazgu. Ona musi mi się przyznać!

– Obawiam się, że to nie będzie łatwe.

– Dam sobie radę. Mam już nawet plan. Tylko pan nie może tego rozwiązać przede mną! To musi być moja zasługa, bo mi się inaczej książka dobrze nie sprzedaje.

– W porządku. – Jacek kiwnął głową i mocniej naciągnął na głowę wełnianą czapkę. – Pięćdziesiąt tysięcy.

– Słucham?! – Jeszcze przed chwilą literat Barszczyk wypowiadał się dość bełkotliwie, teraz jednak nagle wytrzeźwiał.

– Powiedziałem: pięćdziesiąt tysięcy.

– Przecież zgodził się pan rozwiązać tę sprawę za darmo.

– Za to nie rozwiązywać jej zgodzę się za pięćdziesiąt tysięcy. Jesteśmy umówieni?

– Pan to jest jednak świnia! – krzyknął Barszczyk, ale tym razem Jacek nie uciszał go już, bo ulica, mimo wciąż panującego na niej zimowego mroku, powoli i tak napętniała się porannym hałasem. – Moje arcydzieło... Mówiłem, to będzie lepsze niż *Z zimną krwią Capote'a!*

– Jeśli będzie się sprzedawać równie dobrze, odbije sobie pan tę kwotę z nawiązką. Zgadza się pan?

Literat Barszczyk patrzył na Jacka, walcząc wciąż z samym sobą, czyli z osobą nieskłoną do jakichkolwiek zbędnych wydatków. Jednocześnie rozejrzał się wkoło i całkiem już trzeźwo pomyślał, że nie widać tu żadnych świadków jego rozmowy z detektywem.

– Dobrze. Zapłacę panu później.

– Dopiero gdy zobaczę pieniądze na moim koncie, przerwę działania śledcze. Muszę lecieć, nie ubrałem się najlepiej na ten spacer...

– Niech pan da mi chociaż dwa, trzy dni!

Na biurku podkomisarza Łosia – podkręcającego w tej chwili wąsa, co zawsze było u niego oznaką dużego wysiłku intelektualnego – leżały dwie gazety. „Nowe Życie”, ze stonowaną pierwszą stroną, jednym zdjęciem, głównie w czerni i bieli, a obok znacznie bardziej kolorowy „Głos Warszawy”, tytuł z pozoru poważny, choć niektórzy zarzucali mu pewną tabloidowość. W obydwu popularnych dziennikach jedną z głównych wiadomości była ta o śledztwie prowadzonym przez detektywa Przypadka i o tym, kogo podejrzewa o zabójstwo Indzy Wasowicz. Kiedy indziej podkomisarz Łoś ucieszyłby się z tej wiedzy uzyskanej bez konieczności rozmowy z detektywem. Teraz jednak spoglądał na płachty gazet z wrogością.

– I co pan na to, panie podkomisarzu? – zapytał starszy aspirant Smańko. – Kogo on w końcu podejrzewa? Staniec? Bieńkowską? Bogdańską? A może jednak tę manikiurzystkę?

– A skąd ja mam to wiedzieć?! – zirytował się podkomisarz.

Przez chwilę czytał obie gazety przytaczające różne argumenty. „Nowe Życie” twierdziło, że na winę Edyty Staniec wskazuje według Przypadka fakt, że przyszła do restauracji, gdzie

jadła lancz z Bieńkowską, dziesięć minut po swojej koleżance. Ponadto pracowała kiedyś w IPN i ma trójkę dzieci wciąż z tym samym mężem, poślubionym na dodatek w kościele, co dość jednoznacznie skreśla ją jako prawdziwą feministkę. Z kolei „Głos Warszawy” wskazywał na Katarzynę Bieńkowską, która zniknęła na pięć minut w trakcie lanczu, ponadto miała pretensje do denatki o romans z jej mężem. To mogło tłumaczyć zabójstwo w afekcie, powodowane osobistą nienawiścią. Należy dodać, że obydwie gazety twierdziły zgodnie, że informacje te uzyskały wprost od detektywa.

– On mi to robi specjalnie! – ze złością się podkomisarz Łoś, ciskając dwoma tytułami o blat biurka.

– Ale co?

– Jak to co? Stara się mnie zmylić. Mnoży tropy, żebym nie mógł wpaść na właściwy. Żebym nie wiedział, kogo on podejrzewa.

– To może się nim nie przejmować, tylko prowadzić własne śledztwo? – zaproponował nieśmiało Smańko.

– A co ja robię?! – zareagował oburzeniem podkomisarz.

– Przecież prowadzę. Ale dobrze wiecie, że naszą rolą jest przede wszystkim patrzeć mu na ręce, żeby znów nie oskarżył kogoś niewłaściwego. I jak ja mam robić te dwie rzeczy naraz?! Możecie mi to wyjaśnić? A może sam mam do niego zadzwonić?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie na biurku podkomisarza zaterkotał telefon. Łoś drgnął nerwowo, potem zerknął na niego niechętnie, by w końcu spojrzeć wymownie na starszego aspiranta, choć było to właściwie niepotrzebne. Smańko wiedział, że odbieranie telefonów należało do niego, a gdyby dzwoniącym okazała się żona jego przełożonego, to podkomisarza chwilowo nie było.

– Smańko, słucham... Kto? Jasne, wpuście go. – Starszy aspirant odłożył słuchawkę.

– Co tam znowu?

– Pan Przypadek postanowił nas odwiedzić.

– I co, tak po prostu go do nas zaprosiliście? – zirytował się podkomisarz, nie dowierzając własnym uszom.

– No przecież chciał pan z nim porozmawiać. Sam pan mówił...

– Wy, Smańko, będziecie musieli trochę popracować nad rozumieniem słowa sarkazm! Gdybym wam kazał wezwać na przesłuchanie Staniec i Bieńkowską, to pewnie byście nawet to zrobili?! Co?!

– Skoro są podejrzane.

– Smańko, czy wyście kiedykolwiek przesłuchiwali jakąś feministkę?! Przecież taka nawrzeszczy na was od razu, powie, że jesteście przedstawicielem samczego faszyzmu i dlatego w ogóle ośmielacie się jej zadawać jakieś pytania. A potem jeszcze napuści na was media, żeby napisały, jakimi rasistami i mizoginami jesteście, a wasze wąsy to wyraz przesądów i patriarchalizmu...

Podkomisarz Łoś prawdopodobnie jeszcze długo mógłby mówić o niedogodnościach przesłuchiwanie feministek, gdyby nie fakt, że w jego gabinecie pojawił się Jacek. Jak zwykle w swoim stroju do biegania, uśmiechnięty i zadowolony z życia, czym jeszcze bardziej zirytował stróża prawa.

– Jeszcze raz bardzo się cieszę, że będziemy mogli współpracować przy kolejnych śledztwach.

– Panu się coś chyba pomyliło. Wyłącznie ja prowadzę sprawę, która akurat pana interesuje.

– I na kogo pan stawia?

- To tajemnica śledztwa.

- Oczywiście, rozumiem. Ja nie pytam, kogo pan podejrzewa, tylko jak pan sądzi, kogo ja podejrzewam. Bo to chyba najbardziej pana teraz nurtuje.

- Pańskie domysły nic a nic mnie nie obchodzą – prychnął zirytowany Łoś. – Mnie interesują tylko fakty.

- To może jednak połączymy formalnie nasze siły? – zaproponował pojednawczo detektyw.

- Po co? – Podkomisarz spojrzał podejrzliwie na Jacka.

- Bo ja chwilowo nie mogę już prowadzić tego śledztwa. Zobowiązałem się wobec kogoś, że nie będę się zajmował tą sprawą. Dlatego chętnie podzielę się z panem swoją wiedzą, a pan samodzielnie wyciągnie wnioski i zdecyduje, kogo aresztować. Co pan na to?

- Zastanowię się.

- Rozumiem. Tylko nie możemy zwlekać, ponieważ mam wrażenie, że sprawa zbliża się do finału i trupów może być więcej.

- A kogo pan tak naprawdę podejrzewa? – wyrwało się nieopatrznie Smańce. – Staniec, Bieńkowską, Bogdańską?

- Zapominają panowie, że wtedy w fundacji była jeszcze co najmniej jedna kobieta...

Pani Aldona Luzyńczyk nie była zbyt częstym gościem Studia Modelingu Paznokci, ale lubiła sobie czasem pozwolić na odrobinę luksusu. Kończyła wtedy pracę nieco wcześniej i oddawała swe dłonie w ręce popularnej manikiurzystki. Wykorzystywała również ten czas, aby podzielić się ostatnimi wrażeniami z pracy w fundacji, gdyż Andżelika Paneczko nadawała się do tego jak nikt inny.

- Powiem pani, że po prostu strach je teraz zostawiać same w trójkę – powiedziała sekretarka, gdy tylko pani Andżelika zajęła się jej pierwszym paznokciem.

- Bogdańską też? – zdziwiła się uprzejmie manikiurzystka.

- No tak. Chociaż nie, ją już nie. Proszę sobie wyobrazić, że dziś zadzwonił do niej ten detektyw, Przypadek. Wie pani, ten co teraz śledztwo prowadzi w sprawie morderstwa pani Indzy.

- Tak, kojarzę go – odparła enigmatycznie pani Andżelika, która wprawdzie nigdy nie zabraniała swoim klientkom wymieniania najnowszych ploteczek, jednak nastawiała się raczej na słuchanie niż na przekazywanie informacji.

- Myślałam, że będzie chciał porozmawiać z panią Edytą albo Kasią. A on poprosił Olę. Gdy wzięła słuchawkę, to od razu na niego naknęła, ale zaraz potem zbladła jak ściana. Prawie w ogóle się nie odzywała, chociaż on mówił do niej z pięć minut. A potem wbiegła do swojego gabinetu i czegoś tam szukała, prawie wywracając wszystko do góry nogami. Krzyczała przy tym strasznie i przeklinała, aż pani Edyta poszła do niej. Ale Ola ryknęła, żeby się wynosiła. To dobra dziewczyna, ale nerwy ma na wierzchu, wystarczy lekko dotknąć i już wybucha.

- A co pani Staniec na to?

- Oczywiście trochę ją obsztorcowała. Ale wtedy wyjrzała od siebie pani Kasia i usiadła na nią, żeby nie pouczała pracowników, bo jeszcze nie jest prezeską. I tak w koło Macieju. W zasadzie trzeba by było ustawić pośrodku korytarza fundacji płot, a jeszcze lepiej mur, bo płot by od razu przewróciły. Dziś też nawrzeszczały na siebie i nie wiem, czy znowu nie rzuciłyby się sobie do oczu, gdyby nie Ola.

- A co ona znowu zrobiła?

– Wyszła nagle z pokoju z kartonowym pudłem i oświadczyła, że nie ma ochoty widzieć ich nigdy więcej w życiu i że odchodzi z fundacji. Gdy poszła, zaczęły się nawzajem oskarżać, że to вина tej drugiej, iż odeszła taka dobra pracowniczka. Potem znów zaczęły mówić, że to ta druga na pewno zabiła panią Indzę. Wie pani, pani Andżeliko, że jak tak patrzę na nie i widzę w tym ich wzroku żądzę mordu, to sama zaczynam się zastanawiać, czy to nie któraś z nich.

– Całkiem możliwe – przyznała skwapliwie pani Andżelika. – I jak się ta ich kłótnia skończyła?

– Zagroziłam im, że jak nie przestaną, to ja też odejdę.

– Naprawdę by to pani zrobiła?

– To już nigdy nie będzie ta sama FuRiA co za czasów pani Indzy – odpowiedziała wymijająco pani Aldona.

– Pewnie tak.

– Chociaż powiem pani, że żal mi było czasem tych młodych chłopców, co to nam chcieli pomagać. Pani wie, że nawet swojemu siostrzeńcowi zabroniłam do mnie do pracy przyjeżdżać?

– I słusznie – przytaknęła grzecznościowo Andżelika Paneczko zajęta kolejnym paznokciem.

– A pamięta pani, jak kiedyś pani przyszła, aby jej zrobić manikiur w gabinecie, a ja powiedziałam, że jest zajęta?

– Naprawdę? – zdziwiła się właścicielka Studia Modelingu Paznokci.

– No tak, spóźniła się pani wtedy trochę. Ona lubiła mieć dobrze zrobione paznokcie, zanim odwiedził ją jakiś chłopak. Biegła przedtem do pani. Zawsze wtedy starała się, żeby uszyscy wyszli z fundacji. Naprawdę pani nie pamięta?

– Naprawdę. – Wpatrzona w paznokcie rozmówczyni Andżelika Paneczko sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej pracą. – Zresztą od tego mam studio, nie latam po klientkach.

– A wydawało mi się, że tego dnia, gdy panią Indżę zabito, też pani miała przyjść.

– A po co? Pani Indża wpadła do mnie tego dnia z samego rana. Zresztą chyba pani by mnie zauważyła, gdybym przyszła – powiedziała nieco opryskliwie właścicielka Studia Modelingu Paznokci, lekko już poirytowana dociekliwością pani Aldony.

– Wyszłam godzinę wcześniej.

– Ale potem pani wróciła. Pamiętam nawet, że przez chwilę rozmawiała pani z panią Kasią, która gadała przez telefon.

Ola Bogdańska zamknęła granatowego golfa wypełnionego po brzegi bagażami. Był w nim cały jej dorobek ostatnich kilku lat, wszystkie ważne i nieważne rzeczy, które nagromadziła przez okres pobytu w Warszawie. Powinna była wyjechać stąd wcześniej, ale miała dobrą pracę za niezłe pieniądze. Pracę, którą zawsze chciała wykonywać. Tak się jej przynajmniej do niedawna wydawało.

Powinna była wyjechać stąd dużo wcześniej, zanim zdarzyło się to wszystko z Indzą. Ale cóż, trudno, stało się. Lepiej wyjechać późno niż wcale. Załatwi jeszcze tylko to, co ma do załatwienia, pojedzie do przedszkola po Bartusia i wróci do swojego Piza.

Sięgnęła do kieszeni i uważnie przyjrzała się pilnikowi do paznokci. Różnił się trochę od tego, który utknął w szyi Indzy, ale rękojeść miał identyczną. Trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro pochodził z tego samego kompletu.

Nacisnęła przycisk domofonu. Po chwili usłyszała skrzypiący niemiłosiernie i przerywany trzaskami głos literata Barszczyka.

– Kto tam?

– Ola Bogdańska.

– Kto tam?

– Bogdańska! – wrzasnęła do domofonu.

Nie wiedziała, czy literat tym razem ją usłyszał, gdyż nic już nie odpowiedział, ale po chwili w drzwiach zadźwięczał brzęczek. Weszła do środka i powoli wspinała się po schodach. Szła jak na ścięcie i najchętniej nie przychodziłaby tutaj. Ale nie miała wyjścia. Musiała dokończyć wszystko, zanim wyjedzie.

Nim zdążyła zapukać do drzwi, usłyszała:

– Otwarte!

Literat Barszczyk siedział w swym fotelu, w rękę trzymając lampkę wina. Uśmiechnął się z wyrazem tryumfu i zadowolenia.

– Napij się. – Wskazał na drugą lampkę stojącą na stoliku. – Chyba czeka nas dłuższa spowiedź.

– Nie przyszedłam się tu spowiadać – warknęła Bogdańska, ale chwyciła lampkę wina i wychyliła ją niemal duszkiem, jakby zapominając, że przyjechała tu samochodem.

– Powoli, nie pij tak szybko. – Barszczyk się przestraszył. – I nie kłam, nie psuj mi radości. Wiem, że przyszedłaś się tu wreszcie przyznać.

– Nie zabiłam Indży.

– Tak, wiem, to na pewno był nieszczęśliwy wypadek. To chcesz mi wmówić?

– Niczego ci nie chcę wmawiać.

– Pewnie Indża znalazła te wszystkie lewe faktury, dzięki którym miałaś mnóstwo kasy?

– Jasne, mnóstwo kasy i kilkunastoletniego golfa, tak? Dobrze wiesz, że robiłam wszystko na jej polecenie.

– Jeszcze zaraz powiesz, że zrobiłaś to, bo musiałaś, nie miałaś wyjścia? – zapytał, unosząc patetycznie głos. – No, powiesz tak?

– Niczego nie ukradłam!

– I może jeszcze powiesz, że to Indża kazała ci zapłacić za prywatne przedszkole twojego bachora?

– Teraz ty zapłacisz za wszystko! – Bogdańska wyjęła z kieszeni pilnik i chciała doskoczyć do Barszczyka, ale wtedy drzwi do mieszkania otworzyły się niespodziewanie i do środka upadł podkomisarz Łoś ze starszym aspirantem Smańką, a przez uchylone okienko wskoczyło do środka jeszcze dwóch starannie zamaskowanych funkcjonariuszy.

– Proszę się nie ruszać! – zażądał Łoś trochę niepotrzebnie, gdyż i tak Bogdańska stała jak sparaliżowana. – Jest pani aresztowana za zabójstwo Indży Wasowicz i próbę kolejnego morderstwa!

Literat Barszczyk był nie mniej zaskoczony od Bogdańskiej. Tym bardziej, że zaraz za policjantami do jego pracowni wkroczył uśmiechnięty detektyw Przypadek.

– Gratuluję, panie podkomisarzu. Ma pan mordercę...

– Ale zaraz... To nie tak miało być! – zdenerwował się literat. – Przecież obiecałem panu zapłacić pięćdziesiąt tysięcy, żeby pan nie rozwiązywał tej sprawy!

– I liczę, że dotrzyma pan obietnicy, zwłaszcza że mam na to świadków. A sprawy nie rozwiązywałem. Sprawy rozwiązał pan podkomisarz, z którym jedynie podzieliłem się swoją wiedzą, spełniając obywatelski obowiązek współpracy z policją.

– Co pan najlepszego zrobił?! – Barszczyk wściekle patrzył to na Przypadka, to na Łosia.

– Mówiłem, to nie ja, to pan podkomisarz. Dzięki niemu nie skończył pan jak pańska przyjaciółka Indża z pilnikiem w szyi... – Jacek wskazał na narzędzie zbrodni trzymane przez starszego aspiranta Smańkę.

– Ta gówniara nic by mi nie zrobiła!

– Tak pan sądzi? – zapytał niemal z wyrzutem podkomisarz Łoś, który oczekiwał nieco więcej wdzięczności od człowieka, któremu ocalił życie. Zanim jednak doczekał się uznania, musiał podtrzymać osuwającą się na podłogę Bogdańską. – Co pani jest, proszę pani...

– Pewnie usnęła – stwierdził spokojnie Przypadek.

– Ale jak to usnęła? – zdziwił się Łoś. – Cierpi na narkolepsję?!

– Nie. Ale zakładam, że w winie, które podał jej pan Barszczyk, był jakiś mocny środek usypiający. – Jacek chwycił pusty kieliszek i powąchał go. – Nie jestem wprawdzie kiperem, ale pachnie nie najlepiej.

– Czy to prawda? – Podkomisarz spojrział surowo na Barszczyka.

– No... wiedziałem, że to wariatka. Sam pan widział, rzuciła się na mnie...

– Teraz na szczęście już nic panu z jej strony nie grozi. – Smańko ze zrozumieniem pokiwiał głową.

– Ale to nie tak miało być... Ja już mam książkę napisaną, jak się ta gówniara przyznaje do winy...

– Skończył ją pan? – zapytał zachwycony Jacek. – Ma pan ją na laptopie?! Mogę przeczytać?

– Momencik. – Łoś zmarszczył brwi i podkreślił wąsa. – Jak to ma pan napisaną książkę o tym, jak się przyznała, skoro dopiero przed chwilą próbował ją pan do tego przekonać?

– Właśnie! – Jacek zrobił wielkie oczy, udając zaskoczonego. – Świetne pytanie...

– No bo... Jestem pisarzem... Mam dużą wyobraźnię...

– Ale z tego, co pan mi wspominał, to nie ma być książka fikcyjna, tylko coś w rodzaju *Z zimną krwią* Trumana Capote'a – zauważył detektyw.

– No bo... ja w zasadzie wiedziałem, co ona mi powie.

– A skąd pan wiedział? – naciskał Łoś.

– Myślę, panie podkomisarzu, że warto zabezpieczyć tego laptopa, aby potem skonfrontować zeznania pani Bogdańskiej z tym, co tu zostało napisane... – Jacek chciał podać laptop Łosiowi, ale literat Barszczyk wyrwał mu go z rąk.

– To moje!

– W tej chwili to dowód w sprawie – oświadczył podkomisarz. – Proszę oddać albo wyjaśnić, skąd pan niby wiedział, co powie panu podejrzana.

– No bo... no bo... – Literat rozpaczliwie szukał wyjaśnienia. – Nie powiem nic bez adwokata.

– Nie ma sensu ukrywać, pan podkomisarz i tak to wie – stwierdził z przekonaniem Jacek Przypadek, a Łoś posłał mu tylko nieco zdumione spojrzenie, ale nie zaprzeczył. – Wiedział pan, bo to pan zabił Indżę! – Podkomisarz poruszył się niespokojnie, jakby przeczuwając, że znów będzie musiał aresztować kogoś znanego. – A ta książka miała panu zapewnić fortunę. Zakładam, że jest wyjątkowo dobra. Jak wielu innym pisarzom nie brak panu dobrego pióra, ale brak fabularnej wyobraźni. To jednak jest zapis dokumentalny, więc życie samo napisało panu fabułę. Potrzebna była jednak ofiara, ktoś, kogo mógłby pan zrobić w to morderstwo. Pani Bogdańska była idealna. Zwyczajna asystentka w fundacji, bez znajomości. Trzeba było tylko stworzyć pozór tego, że postanowiła się panu wypowiadać ze swoich grzechów. Widzę kamerę pomiędzy książkami na półce, pewnie nagrał pan, jak tu

wchodziła. Chciał pan, żeby się przyznała do jakichś malwersacji, a potem tak by pan to zmontował, aby wyglądało, że przyznaje się do morderstwa.

– Ale przecież ona mogła potem wszystkiemu zaprzeczyć! – zauważył policjant.

– I znów ma pan absolutną rację, panie podkomisarzu. Dlatego pan Bonifacy postanowił ją zabić. Pozornie w samoobronie. Na pewno się pan domyśla, panie podkomisarzu, jak by się tłumaczył pan Barszczyk. Że się rozmyśliła, że chciała wycofać z książki swoje zeznania, a on jak lew bronił swojego laptopa. A tymczasem od razu podał jej w winie środki usypiające. Na dodatek podrzucił do skrytki w jej biurze pilnik z taką samą rękojeścią, jak ten znaleziony w sztycy denatki. To ten, który pani Bogdańska wciąż trzyma w dłoni.

– To bzdura! Same wierutne kłamstwa! Po co miałbym zabijać Indżę? Wszyscy wiedzą, ile jej zawdzięczam. To dzięki jej poparciu stałem się znanym pisarzem. To tak, jakbym podcinał gałąź, na której siedzę!

– Ta gałąź zaczęła panu po prostu wystawiać rachunek. Indża lubiła mężczyzn, ale nie lubiła, gdy jakikolwiek jej odmawiał. Nawet jej. Zresztą jak większość kobiet była przekonana, że każdego faceta da się nawrócić, trzeba tylko odpowiedniej pokusy. A sama się za takową uważała – wyjaśnił detektyw. Barszczyk spuścił głowę, a Łoś i pozostali policjanci spojrzeli na niego niemal współczująco. – Pewnie tamtego dnia była szczególnie natarczywa i nie pozwalała panu nawet na spłówanie paznokci. Zakładam, że to wszystko jest dobrze opisane w pańskiej książce.

Przed oczami literata znów stanął tamten dzień. I ręce, które nie dawały się odgonić, sięgając coraz głębiej za jego koszulę. I dalej, coraz dalej i niżej.

– Wredny babsztyl! – wybuchnął wreszcie. – Nie rozumiała, gdy jej odmawiałem. Mówiła, że chce się tylko przytulić, a potem wsuwała mi rękę w spodnie. I musiałem to znosić przez kilka lat. Ale od pół roku jestem w szczęśliwym związku. Mówiłem jej to, miałem nadzieję, że zrozumie. Nic z tego! Jak każdej babie było jej mało, wierzy mi pan?! – Barszczyk spojrział błagalnie na podkomisarza.

– Wierzę. – Łoś westchnął ciężko, zakładając kajdanki na ręce literata, który na koniec miauknął płacziwie:

– Jak ja nienawidzę tych bab

ROZDZIAŁ II

Śmierć nadejdzie w urodziny

Śmierć jest tak naprawdę gościem, którego się nigdy nie spodziewamy. Owszem, wiemy, że musimy umrzeć. Czasem zdajemy sobie sprawę, że śmierć nadchodzi, że jest coraz bliżej. Jednak nawet gdy jesteśmy coraz starsi albo nieuleczalnie chorzy, nigdy nie wiemy, kiedy nas odwiedzi. Lekarze mówią przecież: „Ma pan przed sobą pół roku życia”, a my pytamy „Dokładnie pół?”. Oni się uśmiechają i odpowiadają, że to mogą być tylko trzy miesiące, a może też zdarzyć się siedem miesięcy. A my wciąż nie wiemy, kiedy się jej spodziewać.

Nie sposób się więc umówić ze śmiercią na konkretną godzinę. Zaprosić ją na herbatkę, wypić ją spokojnie, a potem umrzeć. Trudno załatwić wszystkie swoje sprawy, uporządkować życie przed śmiercią. Zawsze możemy się bowiem łudzić, że przecież jeszcze mamy trochę czasu. Że nie nadejdzie jutro ani za tydzień. Może dopiero za miesiąc? I wtedy przyszykujemy dla niej coś miłego, może nawet do herbaty upieczemy ciasto?

Gdyby jednak ktoś dał nam szansę, żeby się minąć ze śmiercią w drzwiach, wyjść chwilę wcześniej, zanim przyjdzie, pewnie zdecydowana większość z nas skorzystałaby z tej okazji. Może nawet skorzystałby prawie wszyscy. Lecz nie Kalina Bilka.

Zawsze kochała ryzyko. Gdyby go nie kochała, z pewnością nie byłaby tu, gdzie teraz. Czyli w przepięknej, ogromnej willi w podwarszawskim Konstancynie, otoczonej przeszło stuletnimi sosnami, w posiadłości wartej, lekko licząc, jakieś dwadzieścia pięć milionów złotych. Ona chętnie zajałaby śmierci prosto w oczy i dowiedziała się, kim ona jest i dlaczego postanowiła właśnie ją odwiedzić.

Nie była przecież śmiertelnie chora. Ani nawet stara. Wprawdzie kiedyś sama tak by nazwała każdą czterdziestodwuletnią, ale gdy osiągnęła ten wiek, była raczej zdumiona określeniem „kobieta dojrzała”. Czuła się przecież tak młodo, a liczne operacje plastyczne, które przeszła, sprawiły, że nawet patrząc w lustro, miała prawo tak myśleć...

– Pani Kalino, przepraszam, ale chciałem się upewnić, czy nie rezygnujemy z tych urodzin? – zapytał stojący w drzwiach kamerdyner Jerzy. – Muszę już zacząć potwierdzać obecność.

Bilka nie słyszała, jak pukał, ale musiał pukać na pewno. Był służącym idealnym, najlepszym, jakiego miała. Darzyła go specjalnymi względami i nawet zapisała mu jakiś czas temu specjalną premię w chwili odejścia na emeryturę. Premię, która powiększała się z każdym przepracowanym rokiem. Dlatego wiedziała, że nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na wejście do jej gabinetu bez pukania. Bez cienia wątpliwości pukał bardzo długo, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, zaniepokojony, pozwolił sobie zajrzeć do środka. Wiedział,

że w innym razie dostałby solidną burę. Jak każdy mężczyzna, który ośmieliłby się zrobić coś wbrew jej woli. Dlatego nawet zdobyła się na coś w rodzaju przeproszającego uśmiechu, gdyż wiedziała doskonale, że musiał się mimo wszystko bać, decydując się otworzyć drzwi jej gabinetu.

– Oczywiście, że nie rezygnujemy. Niech Jerzy potwierdzi obecność wszystkich. Zaczynamy jak zwykle o siedemnastej. I proszę jeszcze dziś wystać Karola – tak miał na imię kierowca – i zaprosić do mnie tego specjalnego gościa.

Jerzy skłonił się lekko i wyszedł, nie pytając o nic więcej. Kalina Bilka zerknęła na zegarek. Już czas. Trzynasta czterdzieści dziewięć. O tej właśnie godzinie urodziła się blisko czterdzieści dziewięć lat temu. I punktualnie o tej porze przychodził codziennie ten mail. Prawie od trzech miesięcy.

Początkowo myślała, że to tylko czyjś głupi żart. Usiłowała znaleźć nadawcę, zatrudniła świetnych informatyków, żeby odkryli adres IP, z którego był wysyłany. Na próżno. Informatycy coś jej mętnie tłumaczyli, że nadawca jest bardzo sprytny, gdyż ustawił coś niesłychanie mądrego, co uniemożliwiałoby wykrycie go. Nic z tych tłumaczeń nie rozumiała poza tym, że jak to faceci – potrafią się tylko mądrzyć i do niczego nie są przydatni. Za mało jest kobiet informatyków. Gdyby mogła znaleźć kilka sensownych babek, które się znają dobrze na tych rzeczach, toby jej na pewno wszystko wytłumaczyły i może nawet znalazłyby nadawcę. Musi pomyśleć, żeby jej fundacja Jesteś Lepsza! zaczęła sponsorować stypendia informatyczne dla kobiet. Może wreszcie wtedy wyniknęłoby z tej całej informatyki coś dobrego dla ludzkości. Koniecznie powinna nadać stypendiom imię Jolki Kasperec, najlepszej informatyczki, jaką знаła. Może zresztą, gdyby żyła, pomogłaby jej zidentyfikować autora maili...

Problemy z odkryciem, kto do niej regularnie pisze, uświadomiły jej, że te groźby są jednak na serio. Skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, to raczej nie po to, żeby żartować. Może chce ją tylko solidnie nastraszyć? Tylko chyba nie wie, na kogo trafił! Kalina Bilka nie bała się nikogo ani niczego. Nawet śmierci.

Treść maili, które do niej przychodziły, była w zasadzie zawsze taka sama – zmieniała się tylko jedna rzecz: każdego dnia, który przybliżał ją do urodzin, tykał też zegar odmierzający czas do jej śmierci.

Na dole ekranu jej laptopa pokazała się charakterystyczna żółta kopertka. Otworzyła pocztę i przeczytała po raz kolejny:

„Jeśli nie odwołałaś swoich urodzin, bądź gotowa na moje odwiedziny. Zastanów się, masz jeszcze czas. Zostało dwadzieścia jeden dni. Jeśli tego nie zrobisz, skorzystam z Twojego zaproszenia. Przyjdę, wypiję lampkę szampana za Twoje zdrowie i spotkam się z Tobą.

Pozdrawiam serdecznie

Twoja na zawsze

Śmierć”

Pani Irmina Bamber wprawdzie serdecznie nie znosiła hałasów ani kłótni, które regularnie urządzała sąsiedzi spod trzynastki, lecz nigdy do tej pory nie odczuwała strachu wobec nich samych. Teraz jednak, choć szła obok Jacka Przypadka, przypatrywała się z niepokojem Romanowi i Gabrysi, którzy wyprowadzili na spacer swojego pupila. Wzrok, którym ich taksowali, nie wróżył, eufemistycznie mówiąc, nic dobrego. Gdyby zaś nie bawić się w eufemizmy: obaj panowali chcieli ich tym wzrokiem przeszyć na wylot i to nie jeden raz, a najchętniej stukrotnie, aby ich ciała prześwitywały jak cienka ściana przedziurawiona

kulami. Dlatego pani Irmina przystanąła na moment z nadzieją, że lokatorzy spod trzynastki odejdą sprzed drzwi kamienicy przy Koneckiej 40.

– Naprawdę wierzysz, że uda ci się wyciągnąć pieniądze od tego Barszczyka za to, że go posłałeś do więzienia? – zapytała pani Irmina, zwracając się do Jacka, a jednocześnie zerkając niepewnie na sąsiadów wyprowadzających psa, którzy jak na razie ani myśleli się ruszyć spod drzwi.

– Pieniądze wezmę za to, że sprawy dalej nie rozwiązywałem. Bo wtedy już wiedziałem, kto jest mordercą. Śledztwo prowadził przecież podkomisarz Łoś, który na dodatek będzie świadkiem w sprawie o zapłatę.

– Jemu się naprawdę wydaje, że tę sprawę rozwiązał? – Pani Irmina cofnęła się o krok, myśląc, że Gabrysia i Roman ruszają w ich stronę, ale to tylko ich pupil pociągnął za smycz. Zaraz zresztą został przywołany do porządku energicznym szarpnięciem.

– No przecież ją rozwiązał. Może go nieco naprowadziłem, ale sam skojarzył potrzebne fakty. Tak jak ja wcześniej. Od początku czułem, że Barszczyk nie szuka winnego zabójstwa, aby go ukarać, ale po to, żeby zdobyć rozgłos. Kiedy przyszedł do mnie o piątę rano i powiedział, że ma już prawie gotową książkę o morderstwie i czeka tylko na przyznanie się zabójcy do winy, byłem prawie pewien, że to on.

– A wcześniej mówiłeś, że to na pewno kobieta...

– No bo Barszczyk jest kobietą. W pewnym sensie oczywiście. – Przypadek wskazał głową na Gabrysia, jak najdyskretniej się dało. – A że jest kobietą nienawidzącą kobiet, to już co innego. Nie on pierwszy i nie ostatni. A gdy już wiedziałem, że to on, pozostało tylko jakoś go zmusić do przyznania się.

– Gdyby nie przedstawienie z Bogdańską, nie udało by ci się to. Jak ją namówiłeś?

– Powiedziała mi, że Barszczyk myszkował po jej gabinecie, szukając dowodów jej winy. A ponieważ przypuszczałem, że to on jest mordercą, domyśliłem się, że nie szukał ich, tylko je podrzucał. Zadzwoniłem do niej i powiedziałem o tym, podkreślając, iż Barszczyk nie spocznie, dopóki nie udowodni, że to ona jest sprawczynią, i zapewne postarał się jeszcze o kilka innych dowodów. A ja jestem jej jedyną szansą na oczyszczenie się z zarzutów, co zresztą było prawdą. Pan podkomisarz dał się tylko namówić do przyłapania sprawcy na gorącym uczynku. A że sam wyciągnął inne wnioski na miejscu. Cóż, nic na to nie poradzę.

– Przecież ten Barszczyk mógł ją otruć na dobre! – powiedziała nieco głośniejszą pani Irmina i zaraz tego pożałowała. Na dźwięk nazwiska zaprzyjaźnionego literata sąsiedzi spod trzynastki nastroszyli się i spojrzeli na panią Bamber jeszcze groźniej, aż ta skuliła się ze strachu.

– Bałby się – wyjaśnił Jacek. – Wprawdzie z logiką bywa często na bakier, ale zdawał sobie sprawę, że mało kto by uwierzył w to, iż Bogdańska przyszła do niego, aby się otruć na jego oczach. A poza tym potrzebował czegoś takiego jak samo morderstwo Indży. Czyli działania impulsywnego. W wypadku pani Oli mógł na to liczyć. Jak mi powiedziała, Barszczyk ukrył pilnik głęboko w skrytce jej biurka, więc gdyby nie wiedziała, że chciał jej go podrzucić, w ogóle by go nie zauważyła. A on miał w swojej pracowni jeszcze jeden pilnik, który zapewne zacisnąłby w jej martwej dłoni na dowód tego, że chciała go zabić.

– Po co jednak wrócił do gabinetu Wasowicz po morderstwie?

– Po pierwsze, wszyscy wiedzieli, że był z nią umówiony. Gdyby się tam nie pojawił, stałby się podejrzanym. Po drugie, działał impulsywnie, uciekł, zostawiając pilnik w jej szuflce. Pewnie zrozumiał, że są tam odciski jego palców. Być może liczył, że nikogo jeszcze nie zastanie i zabierze narzędzie zbrodni. Albo chociaż na oczach wszystkich wyciągnie pilnik z jej

szy i będzie jasne, skąd te odciski. Miał dodatkowo szczęście, że wszystkie panie próbowały to zrobić.

– Ale po co pisał od razu tę książkę? – dziwiła się pani Irmina.

– Na pewno chciał jak najszybciej wyrzucić z siebie te wszystkie emocje, żeby książka wyszła autentycznie. Poza tym wiedział, że zamieszanie wokół odkrycia mordercy potrwa miesiąc, może dwa. W tym czasie książka powinna się już ukazać, bo inaczej sprzedałaby się dużo słabiej. Musiał być gotowy jak najszybciej. Potem mógł mówić, że Bogdańska zwierzała mu się przez dwa, trzy tygodnie, a gdy on postanowił to opisać, zabroniła mu tego. A ponieważ się nie zgodził, postanowiła go zabić. I może by się udało, gdyby nie to, że na miejscu pojawił się dzielny podkomisarz Łoś.

– On chyba nie był zachwycony rozwiązaniem. Znowu musiał aresztować powszechnie znaną i szanowaną osobę.

– Nie on jeden z tego powodu jest nieszczęśliwy. – Jacek ponownie spojrzął w stronę pary gejów, tym razem już otwarcie i ze swoim ulubionym ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwym wyrazem twarzy, ukłonił im się, co oni zbyli dumnym odwróceniem swoich głów.

– Teraz znieawidzą nie tylko mnie, lecz także ciebie. I będą się kłócić dwa razy częściej niż kiedyś.

– Spokojnie, mam na nich sposób.

– Doprawdy? Jaki?

– Zdradzę go pani, gdy podejda do nas za chwilę wyrazić swoje oburzenie. A wracając do podkomisarza Łosia, to wprawdzie jest na niego oburzonych wielu przyjaciół naszych sąsiadów, ale za to przyjaciółki Indzy są na nich tak wściekłe, szczególnie z powodu wywiadów udzielnych przez Barszczyka opowiadającego o traumie molestowania przez feministkę, że z całego serca popierają policjanta, który go aresztował. – Jacek kątem oka dostrzegł, że sąsiedzi spod trzynastki zrozumieli w końcu, iż nie mają co liczyć na to, że Przypadek i pani Bamber podejda do nich, więc sami ruszyli w ich stronę. – Wprawdzie to tylko kłótnie w rodzinie i za jakiś czas się pogodzą, ale podkomisarz powinien być bezpieczny...

– Jak pan mógł to zrobić?! – wykrzyknął melodramatycznie Roman.

– Roman, daj spokój, nie rób scen. I tak nie ma z kim rozmawiać. – Gabrysia spojrział na Jacka i panią Irminę najbardziej pogardliwym spojrzeniem, na jakie było go stać.

– A pewnie, że nie ma. Gdyby nie pan sąsiad, mogła powstać wspaniała literatura. Ale on tego nie doceni. Pewnie woli czytać głupie kryminałki dla plebsu zamiast prawdziwych artystycznych dzieł!

– Dobrym kryminałem nie pogardzę, chociaż najbardziej lubię książki historyczne z epickim oddechem – odpowiedział z uśmiechem Jacek.

– Mogłem się domyślić. Jedno wielkie babranie się w przeszłości i tyle!

– Ale jeśli chodzi o literaturę artystyczną, to jestem pewien, że aresztowanie pana Barszczyka bardzo się jej przysłużyło. Teraz nie będzie musiał się kryć za kobietą w opowiadaniu tej historii. To wypadnie nawet autentyczniej i będzie mieć większą siłę wyrazu.

– Roman, on może mieć rację – zapalił się Gabrysia. – Może w końcu Barszczyk wyda coś porządnego?

– Jak możesz? To wspaniały pisarz, którego ty po prostu nie doceniasz.

– A ty przeceniasz. Pewnie dlatego, że zawsze ci się podobał.

– Podobał mi się jego styl pisania...

– Tak, szczególnie jego piórko! – Gabrysia się nastroszyła.

– Panowie, jeśli tak mogę powiedzieć, spokój! – Jacka bardziej bawiły, niż złościły kłótnie sąsiadów, ale wiedział, jak bardzo alergicznie reaguje na nie pani Irmina, dlatego postanowił przerwać kolejny spór.

– Proszę na nas nie krzyczeć, możemy się kłócić, kiedy chcemy! – zdenerwował się Roman.

– Już nie.

– Jak to nie? Pan nam zabroni?! – Gabrysia spojrzał na detektywa z niedowierzaniem i oświadczył z pełną wiarą w to, co mówi: – Żyjemy w wolnym kraju.

– A chcecie nadal mieszkać w tej kamienicy? – zapytał Przypadek, czym przykuł ciekawskie spojrzenia nie tylko sąsiadów spod trzynastki, lecz także pani Bamber.

– A co, wyrzuci nas pan?

– Nie, ale jak znam życie i naszą wspólnotę mieszkaniową, to już dotarło do was wezwanie do zapłaty zaległego czynszu.

– No tak... – przyznał Roman. – Ale to chyba jakiś żart, my mamy to mieszkanie za darmo. Dostaliśmy je dzięki Fundacji Tolerancja, która wspiera związki nieheteronormatywne.

– Dostaliście je od Klempucha, który chciał, żebyście wystąpili w programie Niepotrzebna prawda i opowiedzieli, jakim jestem strasznym sąsiadem, który nie może znieść waszego szczęśliwego związku i czepia się was. Zakładam, że pomógł was wybrać jakiś wasz znajomy, który wiedział, że nieustannie się kłócicie, dlatego świętego doprowadzilibyście do pasji...

– To nieprawda, my się nie kłócimy! – obruszył się Gabrysia. – Powiedz mu, Roman.

– No, może czasem – przyznał Roman, który myślami był już gdzie indziej. – Ale z Fiki to świnia, to on nam nadał to mieszkanie.

– Przecież on wie, że żyjemy w szczęśliwym związku i się nie kłócimy...

– Czasem się kłócimy...

– Nie kłócimy się! – stwierdził zdecydowanie Gabrysia. – Jak możesz mu przyznawać rację?!

– No bo czasem się kłócimy...

– Absolutnie nigdy się nie kłócimy! – upierał się Gabrysia.

– Błagam, panowie, wyjaśnicie to później. – W tej chwili nawet Jacek miał już serdecznie dość sporu sąsiadów spod trzynastki. – Teraz jest ważne, że Klempuchowi nie jesteście potrzebni i nie będzie za was płacił. Wprawdzie stać was bez problemu na płacenie czynszu i pozostałych opłat, ale zakładam, że wolelibyście tego nie robić. Dlatego mam dla was propozycję: ja zapłacę ten czynsz. I będę to robił do chwili, w której pokłócicie się głośno po dziewiętnastej albo w sobotę lub niedzielę. Dodatkowo wolno wam się głośno kłócić w dni powszednie tylko jeden raz dziennie nie wcześniej niż o dziesiątej rano. Pasuje?

Gabrysia i Roman zerkali na siebie niepewnie. Z jednej strony propozycja była kusząca, a z drugiej bardzo mocno ingerowała w swobodę wyrażania ich osobowości. Tak, musieli ją dobrze przemyśleć. Dlatego porozumieli się spojrzeniem i ustalili, co należy, oświadczyli wyjątkowo zgodnie:

– Musimy się zastanowić.

– Pospacerujemy z psem i się zastanowimy.

Nie tylko Roman i Gabrysia musieli się zastanowić, bo również pani Irmina patrzyła na Przypadka, jakby go widziała pierwszy raz w życiu. Ale w jej spojrzeniu zdziwienie mieszało się z wyrzutem.

– Dlaczego się ich po prostu nie pozbyłeś? Mielibyśmy spokój, a ty nie musiałbyś wydawać pieniędzy...

– Nie sędzę, żebym zapłacił za nich więcej niż trzy czynsze. Nie dadzą rady wytrzymać dłużej bez kłótni. – Jakby na potwierdzenie Jackowych słów z rogu ulicy, dokąd dochodzili sąsiedzi spod trzynastki, dobiegały już pierwsze słowa kolejnego sporu sąsiadów spod trzynastki. – A gdyby się wyprowadzili, a na ich miejsce wprowadziłyby się kto inny, musiałbym się zastanawiać, czy to Klempuch kogoś nie nashał. A po nich wiem, czego się spodziewać, wielkiej krzywdy mi nie zrobią, bo nie po to zostali tu sprowadzeni. – Jacek ze zdziwieniem zauważył długą czarną limuzynę, która z trudem usiłowała skrócić z Rakowieckiej w Konecką. A ponieważ ulica, na której mieszkał Jacek, była wąska i zastawiona autami, limuzyna musiała łamać się na kilka razy. – Ciekawe. Albo kierowca pomylił drogę, albo na Konecką wprowadził się jakiś ekscentryczny milioner, który kupił zwykłe mieszkanie, ale nie może się rozstać ze swoim samochodem.

– W tym apartamentowcu po drugiej stronie ulicy podobno są bardzo drogie mieszkania. Pewnie to tam jedzie.

Czarna limuzyna w końcu wjechała w ulicę Konecką i sunęła wzdłuż starych kamienic. Zgodnie z przypuszczeniem pani Irminy zatrzymała się naprzeciwko apartamentowca. Jednak kierowca, który wysiadł, ruszył w stronę ich kamienicy. Zanim jednak doszedł do drzwi, zatrzymał się przy Jacku, dokładnie obejrzał jego sportowy strój i zapytał:

– Czy mam przyjemność z panem Jackiem Przypadkiem?

– A kto pyta?

– Na imię mam Karol, jestem kierowcą pani Kaliny Bilskiej, która chciałaby zaprosić pana do siebie.

– Ta Kalina Bilska? – zdziwiła się pani Irmina.

– Myślę, że tak, pani Irmino – potwierdził Jacek. – Innej Kaliny Bilskiej nie byłoby stać na taką limuzynę z kierowcą.

Trudno powiedzieć, żeby Marzena się spodziewała tej wizyty, lecz jakoś podświadomie oczekiwała, że ona nastąpi. Gdyby się jednak tak zdarzyło, że pani Felicja Przypadek nie przysłały do jej kancelarii, to niewątpliwie mecenas Kolska sama by ją wkrótce odwiedziła. Nie miała też wątpliwości, że celem przyjazdu do niej był niepokój o Jacka. Dlatego nie zdziwiło jej, że pani Felicja zaczęła ich rozmowę nieco asekuracyjnie.

– Przychodzę do ciebie w delikatnej sprawie.

– Rozumiem.

– Tak? A czy może już wiesz, o co mi chodzi?

– Powiedzmy, że się domyślam – odparła dyplomatycznie pani mecenas.

– Naprawdę? Czyli kim ona jest?

– Kto? – zapytała zdezorientowana Marzena.

– Ta nowa aplikantka mojego męża.

– Z tego, co słyszałam, zatrudnił jakąś byłą policjantkę... Ale ja myślałam, że pani się martwi o Jacka – odpowiedziała rozczarowana Marzena.

– Co z nim nie tak? – zapytała zaniepokojona pani Felicja. Wprawdzie cel jej wizyty był zupełnie inny, ale jeśli z jej ukochanym synem działo się coś niedobrego, to cała reszta schodziła na dalszy plan.

– Zmienił się ostatnio. Robi sobie manikiur, schował zdjęcie Basi, a zamiast niego postawił zdjęcie tej modelki.

- Coś jeszcze? - dopytywała się pani Przypadek, nie widząc w tej wyliczance nic niepokojącego.
- No... Z takich widocznych rzeczy te dwie. Ale ja po prostu czuję, że dzieje się z nim coś dziwnego. Że nie jest taki jak dawniej.
- Może po prostu dorósł. Sama wiesz, jak to bywa z chłopcami, rzadko stają się prawdziwymi mężczyznami przed trzydziestką. Pewnie przyszła na niego pora.
- I nie zauważyła pani nic niepokojącego?
- Lubiłam Basię, ale ciągłe trzymanie jej zdjęcia uważałam za niezbyt fortunne i za taki nieco dziwny bunt przeciwko brutalnej rzeczywistości.
- Ja też. Tylko dlaczego zmienił je na fotografię kogoś takiego?
- Nie gniewaj się, Marzenko, bardzo cię lubię. - Pani Felicja chrząknęła nieco zakłopotana. - Ale mam wrażenie, że od czasu Basi Jacek nie był w nikim tak zakochany, jak w tej Małgosi. Mało mi o niej mówił, ale dało się wyczuć.
- To tym bardziej powinniśmy się martwić. Basia tylko zaginęła, a ta druga umarła. I co, teraz będzie wzdychał do niej do pięćdziesiątki? - powiedziała niemal z pretensją Marzena, a pani Przypadek taktownie przemilczała to, że w zasadzie jak na kobietę pozostającą w szczęśliwym związku z przystojnym Włochem nie powinna tak bardzo martwić się uczuciami byłego narzeczonego.
- Też bym wolała, aby tak nie było, ale nie mogę trzydziestodwuletniemu mężczyźnie mówić, czyje fotografie ma trzymać na półce w kuchni.
- I naprawdę to pani nie niepokoi? Nic a nic? - zapytała rozczarowana Marzena.
- To akurat nie - stwierdziła zdecydowanie mama Jacka, lecz chwilę potem zawahała się.
- Chociaż...
- Tak? - zapytała z nadzieją Marzena.
- Fotografia ani manikiur nie budzą moich obaw. Gdy jednak chodzi o tę aplikantkę mojego męża... Jest w tym coś niepokojącego i związanego z Jackiem.
- Co?! - zapytała nieco zbyt gwałtownie Marzena.
- Otóż widzisz... Wpadłam do Fryderyka niezapowiedziana, chciałam tylko zanieść mu pewną rzecz, o którą mnie prosił. Wolałam, żeby nie facytował się do mnie do domu. - Mówiąc to lekko się zaczerwieniła, co nie uszło uwadze Marzeny. - I w drzwiach zderzyłam się z tą nową, ona nazywa się Agnieszka Storczyk czy jakoś tak. I ona patrzyła na mnie tak, jakby chciała mnie zamordować. A w jej spojrzeniu było coś dziwnego. Nie umiem tego nazwać. Coś przerażającego i znajomego zarazem. - Pani Felicja wzdygnęła się na samo wspomnienie spotkania z aplikantką.
- Rozumiem... Tylko co to ma wspólnego z Jackiem? - niecierpliwiła się Marzena.
- Fryderyk był bardzo niezadowolony, że ją widziałam. Sam z siebie zaczął mi się tłumaczyć, że nic go z nią nie łączy, jakby mnie to w tej chwili obchodziło. I na koniec zapewnił, że wziął ją na aplikantkę wbrew sobie, nic więcej nie może mi jednak powiedzieć.
- To rzeczywiście dziwne, ale gdzie tu Jacek? - dopytywała się już nieco niegrzecznie Marzena, ale pani Felicja wybaczyła jej to, gdyż doskonale wyczuła, jakie prawdziwe intencje ma była naręczona Jacka. A raczej tak jej się wydawało, ponieważ była prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która wciąż wierzyła, że owo narzeczeństwo było prawdziwe. Dlatego spokojnie opowiadała dalej.
- Gdy wychodziłam, pani Lidia powiedziała mi w tajemnicy, że ona też nie wie, dlaczego ta Agnieszka tu pracuje, ale Fryderyk utyskuje, że to przez Jacka. Chyba pani Lidia nie lubi tej aplikantki, gdyż tamta jest niemiła. Na szczęście rzadko się pokazuje w kancelarii. Wiesz coś może o niej?

- Nic a nic – odpowiedziała zupełnie szczerze i z niekłamany żalem Marzena. – Myśli pani, że jest związana z Jackiem?
- Nie, nie jest zupełnie w jego typie, wiem to. Ale coś ich niewątpliwie łączy.
- Ciekawe co?
- Nie mam pojęcia. Nie jestem detektywem. Choć to u nas w sumie rodzinne. Dlatego do ciebie przyszedłem. Widzisz, napisałem książkę i sama nie wiem, czy jest dobra. Jacek poradził, żebyśmy dała ją do przeczytania kilku zaufanym osobom. – Wręczyła Marzenie plik kartek i spuściła wzrok, jakby się czuła winna. – To wprawdzie tylko kryminał, a właściwie bardziej komedia kryminalna retro, ale ty zawsze dużo czytałaś.

Kalina Bilaska doskonale wiedziała, w jakim stroju Przypadek zwykły odwiedzać swoich klientów. Wprawdzie wysłała po niego samochód z Karolem, który zapewnił, że może poczekać, aż detektyw się ubierze, ale ten odparł, że gdyby włożył na siebie coś innego, mogłoby to niekorzystnie wpłynąć na jego sprawność intelektualną. Oczywiście, zdawała sobie sprawę z tego, że detektyw kpi, ponieważ całe jego życie, o którym trochę słyszała, wydawało jej się kpina. Dlatego postanowiła od razu pokazać mu, kto tu jest górą, przerywając mu lekturę maila, którego otrzymywała regularnie o trzynastej czterdzieści dziewięć, i stwierdzając obcesowo:

- Spodziewałam się, że jest pan trochę przystojniejszy.
- A ja myślałem, że pani jest młodsza – odpalił Jacek, wciąż miło się do niej uśmiechając.
- Na wszystkich zdjęciach w gazetach wygląda pani, jakby dopiero co skończyła liceum. Ale cóż, najlepsza operacja plastyczna nie da pani tyle, ile Photoshop. Choć trzeba przyznać, że pani chirurdzy też radzą sobie nieźle.

Kalina najchętniej od razu wyrzuciłaby go za drzwi. Nikt do tej pory nie śmiał się do niej tak odzywać. Żaden facet! Nawet mężczyźni, którzy dorównywali jej majątkiem, starali się być dla niej mili, gdyż wiedzieli, że inne jej traktowanie po prostu im się nie opłaci. A ten detektyw zachowywał się tak, jakby miał dwa razy więcej pieniędzy niż ona. Widać czuł, że jest jej potrzebny. A nawet więcej, że jest jej niezbędny.

- Zawsze pan obraża tych, którzy chcą pana zatrudnić?
- A pani zawsze obraża tych, których zatrudnia? Jeśli tak, to nic dziwnego, że ktoś postanowił panią zabić.
- Wątpię, żeby chciał mnie zabić ktoś, kogo zatrudniam.
- A kogo pani podejrzewa?
- Koleżanki z mojej klasy w Liceum Królowej Marysieńki. Do nich wysyłałem zaproszenia trzy miesiące przed imprezą, do innych najwyżej miesiąc wcześniej.
- No tak, nikt przecież nie może być pewny zaproszenia na urodziny do słynnej Kaliny Bilskiej. Jak się domyślam, w tym roku, kilka dni po wysłaniu zaproszeń do koleżanek, przyszedł pierwszy anonim. Ale to ciekawe, że wciąż utrzymuje pani z nimi kontakt. Od matury musiało minąć chyba ponad trzydzieści lat. – Jacek uśmiechnął się uroczco, a Kalina Bilaska po raz pierwszy pomyślała, że chyba powinna odwołać swoje urodziny, gdyż towarzystwo tego typu może ją jeszcze wcześniej przyprawić o zawał. Zaciśnęła jednak zęby i siląc się na uśmiech, odpowiedziała.

– Nie ponad, a dokładnie trzydzieści, Panie Złośliwy. I w zasadzie z większością już nie utrzymuję kontaktu, ale zawsze wszystkie zapraszam na urodziny. Obiecałam im to na mojej osiemnastej i konsekwentnie się tego trzymam.

– Tylko koleżanki? Wydawało mi się, że Liceum Królowej Marysienki już od dawna jest koedukacyjne. Żaden facet nie chodził z wami do klasy?

– Chodzili. Ale żadnym z nich nie warto było sobie zawracać głowy. Ani wtedy, ani teraz. Tylko proszę bez głupich skojarzeń, dobrze? Nigdy nie pociągała mnie żadna babka, ale zawsze było mi ich żal, że tak dają facetom sobą kręcić. I starałam się je dowartościować...

– Tak, wiem, pani fundacja Jesteś Lepsza! znana jest z różnych ciekawych działań. – Te słowa w ustach Jacka nie brzmiały jak komplement, ale Kalina postanowiła tego nie komentować. Wiedziała, że jakiegokolwiek żartu na temat swojego ukochanego dziecka nie zniesie i już bez cienia wątpliwości wyrzuci detektywa za drzwi. – W liceum była pani zapewne prymuską? Może nawet przewodniczącą klasy? Tak, na pewno była pani przewodniczącą. Pewnie było was ciut więcej niż facetów i dlatego wygrywała pani wybory. A teraz chce je pani widzieć przy sobie, aby mieć pewność, że zobaczą, jak bardzo się pani powodzi i jaki osiągnęła pani sukces.

– Tego mogłyby się dowiedzieć z gazet...

– Ale wtedy nie mogłaby pani obserwować z bliska, jak bardzo pani zazdroścą. Poza tym, gdyby któraś wyjechała z Polski, mogłaby o pani regularnie nie słyszeć. A tak przychodzi zaproszenie i wszystkie wiedzą, że królowa armatury sanitarnej wciąż jest wielka. Zakładam jednak, że nie wszystkie przychodzą.

– Przez pierwszych kilkanaście lat były wszystkie. Dopiero piętnaście lat temu, po śmierci Jolki Kasperec...

– Ta śmierć miała jakiś związek z pani urodzinami?

– Skąd to panu przyszło do głowy?

– Skoro przez to niektóre koleżanki przestały wpadać na urodziny...

– To nie miało żadnego związku z tą śmiercią. Jolka to była bardzo zdolna dziewczyna. Prawie by się zmarnowała, bo jakiś głupek chciał jej zmajstrować bachora i utopić w pieluchach zaraz po maturze. Na szczęście ją uratowałam, namówiłam na studia informatyczne, które skończyła z wyróżnieniem. Mogła naprawdę zrobić karierę, pomagałam jej, jak umiałam. Ale ona się wciąż zakochiwała w jakichś palantach. No i przez jednego z nich popełniła samobójstwo. – Jacek zauważył, że gdyby teraz ten palant dostał się w ręce Kaliny Bilskiej, to ona sama chętnie zostałaby morderczynią. – To stało się dwa miesiące przed moimi trzydziestymi czwartymi urodzinami. Niektóre dziewczyny mówiły, że nie mogą przyjąć, bo właściwie żałoba i tak dalej. Jakoś je rozumiem. Potem czasem się pojawiały, czasem nie. Ale po śmierci Jolki to już nie było to samo. Niekiedy przychodzi pięć, sześć dziewczyn. Różnie. Chociaż zaproszenia wysyłam do wszystkich. Do Jolki zresztą też, na jej ostatni adres. – Uśmiechnęła się smutno i ze zdziwieniem, że tak się odkryła przed tym śmiesznym detektywem. Dlatego teraz zebrała się w sobie i stwierdziła zdecydowanie: – A koleżanek nie sadzam gdzieś na dole, żeby mogły mnie podziwiać, ale siedzę razem z nimi przy specjalnym stoliku. Tam mogą sobie z góry popatrzeć na różne znane osoby, które przychodzą złożyć mi życzenia.

– Ano tak, pokazuje im pani swoje królestwo. Czy przy stoliku siada ktoś jeszcze?

– Tak. Mój aktualny partner.

– I w tym roku to mam być ja? Ciekawa propozycja.

– Zastanawiam się, czy jest pan bardziej beczelny, czy przenikliwy.

– Proszę założyć jedno i drugie. A skoro mam zapobiec pani śmierci i wykryć mordercę, muszę być jak najbliższej pani. I to w sposób niewzbudzający podejrzeń większości. Ponieważ miewa pani coraz młodszych partnerów, pani znajome z klasy nie powinny się zdziwić. Oczywiście z wyjątkiem morderczynie, bo ona może się domyślić, po co tam jestem.

- Do urodzin zostały jeszcze dwa tygodnie. Jeśli pan przyjmie moją propozycję, już od jutra moja agencja PR postara się, by prasa kolorowa i plotkarskie portale były pełne tekstów o naszej niezwykłej miłości. To powinno nieco uspić podejrzenia mordercy.

- Lub ewentualnie wzbudzić jego strach i zniechęcić go do zabicia pani. Sprytne.

- Wreszcie usłyszałam od pana coś miłego. Jeśli chce pan zostać zatrudniony, musi pan się nauczyć prawić mi publicznie komplementy, bo będziemy musieli w najbliższym czasie pokazać się w kilku miejscach.

- Zanim się zdecyduję, muszę znać cenę. Przy czym uprzedzam, że nie może być ona zbyt niska, gdyż zyskam przy okazji reputację żigolaka. Szczególnie dotknie to moją byłą udawaną narzeczoną.

- To miłe, że wciąż dba pan o byłą udawaną narzeczoną, ale pańskiej reputacji chyba niewiele już zaszkodzi. Ale oczywiście zapłacę dobre pieniądze. Za samą fatygę otrzyma pan pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli uda się panu odkryć mordercę, lecz dopiero po mojej śmierci, mój adwokat wypłaci panu jeszcze sto tysięcy. Gdyby jednak udało się panu przy okazji utrzymać mnie przy życiu, z przyjemnością wręczę panu czek na kolejne dwieście pięćdziesiąt tysięcy. - Bilaska rzuciła sumami niedbale, będąc jednak pewną, że choć detektywu tego nie okazuje, już ślini się na myśl o zarobku. O to jej zresztą chodziło.

- To całkiem interesujące kwoty. Mam jeszcze jeden warunek. Potrzebuję dwóch zaproszeń dla mężczyzn będących w partnerskim związku. Będą mi potrzebni przy aresztowaniu potencjalnej morderczynie.

- Pewnie się pan czuje.

- To powinno poprawić pani humor i dać poczucie bezpieczeństwa.

- Zapewne poprawiłoby, gdybym nie zdawała sobie sprawy, że nikt tak bardzo nie może zawiść kobiety jak mężczyzna.

- Ja zawsze dotrzymuję obietnic. Tylko rzadko je składam. - Jacek ruszył do drzwi. - Proszę wezwać kierowcę, żeby mnie odwiózł.

- Nie za dużo pan sobie pozwala? - Przygryzając wargi, zastanawiała się, czy świadomie wystawił ją na tak ciężką próbę. Jeśli rzeczywiście jest takim znawcą ludzkich charakterów, za jakiego uchodził, musiał wiedzieć, że nic tak bardzo nie jest w stanie rozwścieczyć Kaliny, jak dysponowanie jej własnym kierowcą.

- Poranny trening mam już za sobą i nie mam ochoty biec aż tyle kilometrów do domu. - Jacek chwycił za klamkę u drzwi do gabinetu.

- A nie interesuje pana, dlaczego po prostu nie odwołam tych urodzin?

- Pani uważa, że dla każdej ze swoich koleżanek jest wprost zrządzeniem losu, i za nic może pojąć, czemu któraś z nich chce panią zabić. Dlatego chce się pani dowiedzieć, kto to jest, i liczy na to, że jeśli nawet potencjalna morderczynie wystraszy się mojej obecności, to ja i tak powiem pani, kim ona jest.

Kalina Bilaska uważnie przyjrzała się detektywowi, a następnie wskazała mu drzwi, ciesząc się, że choć tak czysto symbolicznie może to zrobić, i powiedziała:

- Jutro na portalach plotkarskich ukażą się pierwsze informacje o nas. Pojutrze idziemy na premierę do teatru. Jutro przyjedzie po pana mój kierowca...

- Nie za wcześnie?

- Nie. Musi pan najpierw odwiedzić dobrego krawca. Bo chyba pan rozumie, że dopóki pan pracuje dla mnie i widuje się ze mną, musi pan wyglądać jak dorosły mężczyzna, a nie chłopczyk w krótkich spodenkach.

Pan Fryderyk Przypadek nie miał za sobą łatwego dnia. Od dłuższego czasu starał się znaleźć wspólnika, dzięki któremu mógłby rozwinąć swoją kancelarię, ale wciąż brakowało mu odpowiedniego kandydata. Dziś też spotkał się z dwoma młodymi, energicznymi prawnikami po trzydziestce. Niestety, nie zrobili na nim najlepszego wrażenia, wydawało mu się, że wręcz robią mu łaskę i że to on, Fryderyk Przypadek, potomek starego adwokackiego rodu, powinien się cieszyć z tego, iż młode wilki zgodziłyby się zostać jego wspólnikami!

Najchętniej wygarnąłby tym impertynentom, jednak zdawał sobie sprawę, że takie bezczelne szczeniaki mogłyby mu narobić kłopotu, opowiadając Bóg wie co o jego zarozumiałości. Dlatego tylko podziękował im za rozmowę i powiedział, że się zastanowi, bo ma kilka ofert. Gdy odparli, że oni też mają oferty, dodał, że nie chce im wiązać rąk i powinni z nich skorzystać. Na taką drobną złośliwość mógł sobie pozwolić, gdyż nie robili na nim wrażenia nadmiernie bystrych i chyba nawet nie pojęli jego ironii.

Po tych spotkaniach czuł się tak zmęczony psychicznie, że najchętniej położyłby się spać. Jego mieszkanie było nieduże i przytulne, ale ostatnio wracał do niego z ociąganiem i nawet w myślach nie nazywał go swoim domem. Dawniej, jeszcze za czasów małżeństwa z Felicją, cieszyłaby go taka garsoniera, do której mógłby wyskakiwać w każdej chwili i korzystać z uroków życia razem z jakąś sympatyczną panią w wieku jego syna. Teraz jednak wolał siedzieć wieczorem w kancelarii, choć nigdy przedtem mu się to nie zdarzało. Bywał nawet do tego zmuszony, gdyż od czasu odejścia Marzeny miał dużo więcej obowiązków, których nie miał na kogo zrzucić. Szczerze mówiąc, może i nawet miałby ochotę zaprosić do swojej garsoniery jakąś kobietę, ale ostatnio praca pochłaniała tyle czasu, że na żadne romanse nie miał sił.

Ponad wszystko lubił w tych wieczornych posiedzeniach w kancelarii ciszę i spokój. Nikt już nie dzwonił, nikt niczego od niego nie chciał. Mógł sobie zrobić dobrą, mocną herbatę, trochę pomyśleć, trochę popracować. Dlatego gdy dziś wrócił do kancelarii, w której wprawdzie zewnętrzne drzwi były zamknięte, ale te do jego gabinetu uchylone, fuknął niezadowolony, myśląc, że to jego nadgorliwy aplikant Wojtek zasiedział się w pracy. Kiedy jednak wszedł do siebie, zobaczył na swoim biurku zniecierpliwione nogi i dłonie trzymające jakieś dokumenty.

– Co ty tu robisz? – zapytał chłodno.

– Robię przegląd spraw, które prowadzisz, ojczulku.

– Nie masz prawa! Chyba będę musiał zwolnić panią Lidę...

– Myślisz, że inna sekretarka nie pozwoliłaby mi tu zajrzeć? Widzę, że cały czas nie wierzysz w moje możliwości.

– Owszem, wierzę aż nadto. Jesteś co najmniej tak samo bezczelna i arogancka jak twój brat! Szkoda tylko, że nie masz ani odrobiny jego uroku. No ale to może kwestia wychowania.

– Masz na myśli, ojczulku, ten pewien wspólny wam rodzaj łajdackiego uroku, o którym wspominała mi mama? Fakt, czegoś takiego z pewnością mi brak. Za to w przeciwieństwie do Jacusia interesuję się prawem i potrafię się nim dobrze posługiwać...

– Drogie dziecko – prychnął pogardliwie pan Fryderyk, nie mając na myśli, że zwraca się do swej progenitury, lecz do osoby bardzo niedoświadczonej życiowo. – Dopiero co obroniłaś pracę magisterską i naprawdę wydaje ci się, że potrafiłabyś coś zrobić? Nawet jeszcze się na aplikację nie dostałaś.

– Ale się dostanę, załatwisz mi to. I nie truj mi, jakie to jest trudne, bo zawsze było trudne, a jak się postarasz, to wszystko dobrze pójdzie i przy najbliższej okazji będę już

formalnie tą aplikantką. Do tej pory szkoda jednak, żeby marnował się mój potencjał i żebyś za darmo płacił mi pieniądze.

– Mogę zaproponować ci parzenie kawy. – Pan Fryderyk zrzucił nogi Agnieszki z biurka i stanął przed nią w oczekiwaniu, że wstanie i zwolni jego fotel. Jednak Storczyk, zajęta wciąż lekturą materiałów, nie miała zamiaru tego robić. – Ja i twój bardziej doświadczony kolega lubimy rano napić się dobrego espresso, a pani Lidia ma dużo ważnej pracy.

– A papcio jak zwykle uroczy. Tylko niepraktyczny. – Agnieszka pokazała jeden z dokumentów. – Zastanawiałeś się na przykład, co zrobić z kwestią własności ziemi dla tej włoskiej firmy Super Tobacco?

– Zajmuję się tym – odpowiedział enigmatycznie pan Fryderyk, gdyż córka trafiła w jego czuły punkt.

– Czyli wszystko jasne, jesteś w kropce. To trochę wina tej Marzeny, nabałaganiła w tej sprawie. Ale zajęta była pewnie głównie bzykaniem się z tym Włochem i praca nie była jej w głowie.

Pan Fryderyk pomyślał, że może niepotrzebnie się boi tego, iż Felicja dowie się o jego nieślubnym dziecku. Może niech lepiej się dowie, bardziej niż dotychczas nie może się z nim przecież rozwieść. Przynajmniej będzie się mógł od razu pozbyć tej impertynentki i zapomnieć o niej jak najszybciej. Tak, musi to poważnie przemyśleć. Może tylko najpierw jeszcze raz upewni się u Felicji, że nie ma najmniejszych szans na ponowne sklejenie tego, co się rozpadło.

– Marzena Kolska była najlepszym aplikantem w całej mojej adwokackiej karierze. – Mecenas Przypadek powoli cedił każde słowo. – To jej zawdzięczam i zdobycie, i utrzymanie tego klienta...

– Nie dziwię się, Włosi myślą chyba wyłącznie rozporkiem.

– Jeśli to jedyna mądrość prawnicza, jaką chcesz mi przekazać, to najwyższa pora, żebyś wyszła z kancelarii. – Pan Fryderyk zdecydowanym gestem pokazał Agnieszce drzwi. Dziewczyna skrzywiła się zła, lecz posłusznie wstała. – Byłbym ci też wdzięczny, gdybyś w ogóle się tu nie pokazywała, bo nie mam zamiaru utrzymywać z tobą żadnych kontaktów, a na dodatek może to prowadzić do nieporozumień z moją żoną. Nie po to zgodziłem się na to wszystko, żeby stracić przez twoją nieostrożność.

– „Agata Sekuła, najbardziej niezdecydowana osoba, jaką znam. Zawsze uwielbiała dzieci i chciała mieć gromadkę jak najszybciej po maturze. Na szczęście poradziłam jej, że najlepsze dla niej są po prostu studia pedagogiczne, a potem praca w przedszkolu, gdzie będzie miała dzieciaków pod dostatkiem. Po magisterce pomagałam jej cały czas się dokształcać i dzięki temu została dyrektorką przedszkola. Parę razy miała wprawdzie chwile załamania, głównie przez to, że nie mogła mieć własnych dzieci, ale pomogłam jej przez to przejść i nie pozwoliłam, aby wyszła za mąż tylko dlatego, że chce być matką. Jako jedyna jest na moich urodzinach co roku”.

– Naprawdę musisz to teraz czytać? – spytał, krzywiąc się, Błażej siedzący naprzeciwko Jacka w Zakrapialni, wciąż modnym, choć niezbyt zatłoczonym lokalu. Lecz taki to już los modnych miejsc, że przejadają się najwyżej w ciągu kilku lat.

– Ostatnio coraz rzadziej się widzujemy, cieszymy się wieczorem. I tym, że nas tu znów wypuszczają.

– Ciebie wypuszczali tu zawsze. To ja byłem *persona non grata*.

– Ale przychodzenie tu bez ciebie nie miało sensu. Z tobą najlepiej wyrywało się tu laski... – Sakowicz junior spojrział tęsknie na parkiet, chcąc się choć przez chwilę poczuć tak jak dawniej. W czasach, które słusznie uznał za dawno minione, kiedy był obiektem pożądania co najmniej połowy płci przeciwnej i cieszył się sławą Młodego Boga Seksu. Wprawdzie teraz wciąż wyczuwał, że większość pań na sali miałyby ochotę nawiązać z nim bliższą znajomość, lecz on w tej chwili był przecieź zajęty i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby się zainteresować którąkolwiek z nich. – Zamiast czytać te życiorysy potencjalnych morderczyń, wyrwałbyś coś jak dawniej. Najlepiej na chiromantę. Żebym miał chociaż na co popatrzeć.

– Nie mogę, stary. Nie czytasz gazet? Od dziesięciu dni jestem partnerem najbogatszej Polki.

– Daj spokój. Takim kolorowym szmatławcom to może wierzyć Marzena, ale nie ja...

– Czyżby się przejmowała moim romansem?

– Od jakiegoś czasu przejmuję się wyłącznie tobą. Chociaż nie chciała cię reprezentować przy przesłuchaniach w prokuraturze. A tak w ogóle to Sapkowska przysłała ci już zaproszenie?

– Tak, ale do imprezy jeszcze ponad miesiąc. A czym tak bardzo przejmuję się Marzena?

– Na przykład tym, że zrobiłeś sobie manikiur i że już nie masz zdjęcia Baśki... Właśnie, dlaczego je zmieniłeś?

– Usta mu się nie zamykały. A ja się już wystarczająco z nim nagadałem przez dziesięć lat.

– Jasne. – Błażej ze zrozumieniem pokiwał głową. – To co, wyrwiesz coś?

– Naprawdę nie mogę. Na sali jest co najmniej trzech paparazzich, którzy tylko czekają, aż zamienię słowo z jakąś dziewczyną, a oni pstrykną mi fotkę i ogłoszą światu, że zdradzam Kalinę...

– Słuchaj, a czy ty ją... znaczy... wiesz... – Młody Bóg Seksu w związku z ciężką narzeczoną czuł się wprawdzie trochę jak na praktycznej emeryturze, ale przez to problem od strony teoretycznej interesował go bardziej.

– Wiem. Nie, nie spiałm z nią. Chodzimy wszędzie, przytulamy się, a nawet ze dwa razy musieliśmy odegrać romantyczny pocałunek, ale to wszystko. Wprawdzie spędzamy noce w jednym domu, lecz w różnych pokojach. Za to dziś mam wolne, dlatego muszę przestudiować życiorys potencjalnych morderczyń. Posłuchaj o tej: „Iwona Zawisza. Właścicielka firmy kosmetycznej. Ma rewelacyjne produkty i coraz lepiej na nich zarabia. Z nią widuję się częściej niż z innymi, bo bywamy na różnych większych spotkaniach biznesowych. Bardzo zdolna dziewczyna, skończyła chemię z wyróżnieniem. W szkole trochę rywalizowałyśmy, ale po studiach namówiłam ją, żeby nie osiadała na laurach, tylko zrobiła użytek z wiedzy i kapitału ojca (miał w latach osiemdziesiątych firmę polonijną). Na urodzinach bywa co dwa, trzy lata”

– Fascynująca historia – zauważył Błażej i ziewnął, po czym stwierdził, że chyba zaczyna się starzeć, bo dawniej w Zakrapialni bywał świeży aż do rana. – Zasnę chyba wcześniej niż przy mowach mojego papy.

– A właśnie, słyszałem, że proces jest coraz ciekawszy. Podobno sala pęka w szwach w trakcie twoich pojedynków z ojcem.

– Nic dziwnego – używił się Sakowicz junior. – Każdy chce usłyszeć na własne uszy, jak rozkładam go na łopatki. Nie sprawia mi to przyjemności, nawet proponowałem przez mamę jakąś formę ugody, ale wiesz, jaki on jest uparty. Dobrze, że tak się różnimy i nie odziedziczyłem tego po nim... – Błażej przez kolejne dwie minuty rozwodził się nad

przepaścią dzielącą go od jego ojca, po którym odziedziczył jedynie zawód adwokata. Jacek wiedział doskonale, co usłyszysz, dlatego zatopił się w lekturze.

„Kasia Grzeszczyk. Nie zdała matury. Zresztą zastanawialiśmy się, jak w ogóle dostała się do liceum i przechodziła z klasy do klasy. Niektórzy podejrzewali, że sypiała z dyrektorem, bo zawsze jej bronił. Uważali, że źle skończy, ale z moją pomocą dorobiła się zakładu fryzjerskiego i na szczęście wciąż jest jego jedyną właścicielką, choć było już paru chętnych do wzięcia się w ten interes. Może nie jest zbyt inteligentna, za to ma sporo życiowego sprytu. W szkole była najlepszą koleżanką Jolki, potem też trzymały się razem. Jako jedyna z klasy zjawiła się na jej pogrzebie, bo Kaspercowie tylko do niej mieli kontakt i zawiadomili ją w ostatniej chwili. Później przez dłuższy czas nie przyjeżdżała na moje urodziny, ale od dziesięciu lat bywa regularnie. Lubi trochę wypić, szczególnie od śmierci Jolki, ale alkoholizką nie jest. Dwa, trzy razy w roku się u niej cieszę”

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytał z wyrzutem Błażej.

– No oczywiście – potwierdził Jacek. – Mówiłeś o tym, że ojciec jak zwykle chce udowodnić, że jest od ciebie lepszy, bo chyba cierpi na jakiś kompleks. Dziwię się jednak, że twoja mama nie zdołała go przekonać. To chyba pierwszy raz, kiedy się odważył tak jej sprzeciwić.

– No właśnie. – Błażej pokiwał głową. – Przecież to straszny pantoflarz, jak dobrze, że tego po nim nie odziedziczyłem. A mimo to uparcie brnie w ten proces, chociaż szanse na zwycięstwo ma coraz mniejsze. – Sakowicz junior rozejrzał się po sali, na której wprost kłębiło się od interesujących kobiet z zaciekawieniem zerkających w jego stronę. Młody mecenas dzielnie znosił ich pożądliwe spojrzenia, gdyż od lat był przyzwyczajony do tego stanu. W końcu jednak nie wytrzymał.

– No proszę cię, poderwij jakąś laskę. Żeby było jak dawniej. Wiesz, jak długo musiałem prosić Anię, żeby mi pozwoliła z tobą wyjść? Ostatnio zrobiła się okropna, już nie mogę z nią wytrzymać. W życiu bym nie przypuszczał, że będzie miała takie humorki...

– Widzisz tę korpuldkę w żółtym kostiumie? – przerwał mu Jacek.

– Tę, której perfumy czuję aż tutaj? Daj spokój, ona jest poniżej twoich możliwości.

– Zatańcz z nią jednego wolnego. – Jacek uśmiechnął się do kobiety w żółtym kostiumie, a ona zerknęła uważnie na boki, żeby sprawdzić, czy ten uśmiech był na pewno przeznaczony dla niej.

– Co?! – Sakowicz spytał tak głośno, zerkając wyraźnie na korpuldkę, że kobieta nie mogła mieć wątpliwości, iż Jacek uśmiechał się do niej, choć teraz wyraźnie skinął głową w stronę swojego towarzysza.

– Zatańcz z nią, a twoje kłopoty z Anią miną. Chociaż następnym razem spotkamy się w knajpie najwcześniej za rok.

– Stary, co ty bredzisz?

– Nie bredzę, tylko dobrze ci radzę. Ale pamiętaj: tylko jeden taniec i ani słowa więcej, bo inaczej ta w żółtym zdejmie but, ogłuszy cię i zaciągnie za nogi do wyjścia, a żaden ochroniarz nie odważy się stanąć jej na drodze. Dlatego zrób to, ja doczytam do końca swoje papiery i pójdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce.

– Wiesz co, lepiej skończmy razem czytać i wyjdźmy jak najszybciej. – Błażej zerknął dyskretnie na korpuldkę w żółtym. Ona jednak dostrzegła jego spojrzenie i pomachała w ich stronę smukłą szklaneczką z kolorowym drinkiem. – Kogo tam jeszcze masz?

– Ostatnią panią. – Jacek przewrócił kartkę i zaczął czytać: – „Ula Łajkowska. W szkole byłyśmy w zasadzie najlepszymi przyjaciółkami. Potem też, aż do chwili gdy zaczęła uważać, że sypiam z jej mężem, którego poznała dzięki mnie. Fakt, facet mi się nawet podobał, ja

jemu też, ale trzymałam go na dystans. Mają dwoje dzieci. Przenieśli się na Wybrzeże i prowadzą jakąś małą stocznię produkującą motorówki, podobno nie idzie im rewelacyjnie, dlatego parę lat temu chciałam nawet kupić kilka sztuk, żeby jej pomóc. Ale dostałam odpowiedź, że takich wielkich, które mogłyby pomieścić moje ego, nie mają. Na moich urodzinach będzie pierwszy raz od śmierci Jolki Kasperec?

– No, to chyba masz już podejrzaną.

– Być może. – Jacek złożył kartki z charakterystykami koleżanek swojej pracodawcy. – Muszę jeszcze poznać życiorysy pozostałych koleżanek.

– Zaraz, mówiłeś, że ta jest ostatnia?

– Z tych, które będą.

– Te, których nie będzie, trudno podejrzewać o wysyłanie maili z groźbą zabicia na urodzinach.

– Po pierwsze, może ich celem jest tylko nastraszenie Bilskiej. A po drugie, z faktu, że nie przychodzą na urodziny, także można wysnuć ciekawe wnioski. Zresztą gdy czytam te ich życiorysy, to coraz mniej się dziwię, że ktoś chce Bilską zabić. Szczerze mówiąc, im dłużej z nią przebywam, tym sam mam na to coraz większą ochotę. – Jacek uśmiechnął się do swoich myśli. – To mogłoby być nawet ciekawe.

– Co?

– Takie morderstwo doskonałe. Nikt by mnie przecież nie podejrzewał...

– Cześć wam! – Obok stolika Przypadka i Sakowicza pojawiła się niespodziewanie korpulduka w żółtym kostiumie. – Tak strzelacie oczkami, ale nie podchodźcie, więc pomyślałam, że się przysiądę. – Nie czekając na zaproszenie, usiadła nadzwyczaj blisko Błazeja.

Podkomisarz Łoś, spacerujący w tej chwili w kółko po swoim pokoju w komisariacie, miał od jakiegoś czasu spory problem. Po ostatnim sukcesie, jakim było rozwiązanie zagadki śmierci Indzy Wasowicz, zebrał sporo pochwał. Niestety, usłyszał też kilka kąśliwych uwag, że przypisuje sobie nie swój sukces. To nie było jeszcze najgorsze, wszak zawistnych ludzi można spotkać zawsze i wszędzie. Najgorsze nie było również to, że jedną z tych uwag usłyszał z ust podinspektora Zasady, który wprawdzie ogólnie go pochwalił, ale też pozwolił sobie na pewną uszczypliwość.

– Mam tylko nadzieję, panie podkomisarzu, że ten sukces nie był całkiem przypadkowy. – Przełożony dobitnie podkreślił ostatnie słowo, wyraźnie zdając sobie sprawę z jego wieloznaczności.

Najgorsze było to, że Łoś, zamiast uśmiechnąć się głupio i zrobić dobrą minę do złej gry, natychmiast wypalił:

– Jakoś nie widzę zbyt wielu chętnych do takich przypadkowych sukcesów.

I choć zaraz jęknął z bólu, gdyż mocno ugryzł się w język, to niestety zrobił to o kilka sekund za późno i przełożony znakomicie zrozumiał, co miał na myśli podkomisarz. W tej sytuacji nie pozostawało mu jednak nic innego, jak obrócić sprawę w żart i poklepać podwładnego po plecach, gratulując mu poczucia humoru. Podinspektor Zasada uważał bowiem, że ta odpowiedź podkomisarza to tylko wypadek przy pracy.

Sam Łoś również najchętniej uznałby tak samo. Wiedział jednak, że tak nie jest, gdyż przy dwóch innych okazjach wprawdzie zdążył się ugryźć w język, ale miał już na jego końcu wyjątkowo złośliwe komentarze. Takie, które dawniej nie przyszłyby mu nawet do głowy, gdyby rozmawiał z wyższymi szarżą. Teraz jednakowoż mu przyszły i Łoś był tym faktem

poważnie zaniepokojony. Zwłaszcza że nie wiedział, czemu to przypisać. Nie był aż tak stary, by stać się już zgryźliwym tetrykiem, a ponadto do tej pory był zawsze sumiennym funkcjonariuszem, który nie pozwalał sobie na zbyt wiele wobec przełożonych.

Podkomisarz zerknął na zegarek i mruknął zły:

– Gdzie się ten Smańko podziewa?!

Łoś wyjrzał przez okno na dziedziniec przed komendą. Minęła właśnie siedemnasta, lutowe słońce schowało się już za okolicznymi budynkami, ale w świetle dopiero co rozbłyśniętych latarni nie zdumieniem zobaczył, że podjeżdża tam wielka czarna limuzyna z trudem mieszcząca się na rondzie przed wejściem do budynku. Kiedy samochód stanął, wysiadł z niego elegancki kierowca. Podkomisarz pomyślał, że zaraz ktoś powinien mu wręczyć mandat, gdyż swoim autem zatarasował przejazd, i nawet miał zamiar krzyknąć, że tak nie wolno parkować, ale w tym momencie drzwi do jego pokoju się otworzyły i stanął w nich starszy aspirant.

– No wreszcie, Smańko. Myślałem, że się was nie doczekam. Co tam nowego u naszego znajomego?

– W zasadzie nic.

– Nic? Prasa o nim trąbi dzień w dzień, wszędzie widzę go razem z tą Bilską, a wy mi mówicie, że nic?

– No nic poza tym, że biega i spotyka się z Bilską. Przy czym na spotkania z nią ubiera się lepiej, bo mu zafundowała swojego krawca. Ale nie odwiedza go żaden klient, nigdzie nie chodzi, z nikim nie rozmawia, nie wypytuje o nikogo. Jakby nie prowadził żadnego śledztwa.

– Czyli co, rzucił karierę, żeby zostać żigolakiem?

– Nie najgorsza fucha. Ona wprawdzie sporo starsza, ale całkiem niczego sobie.

– Skoro tak się wam podoba to zajęcie, to może powinniście poszukać kogoś takiego dla siebie? – zaproponował złośliwie Łoś.

– Nie... ja tylko tak ogólnie mówiłem, że w sumie znalazł sobie spokojniejszy sposób zarabiania na życie niż bycie detektywem. – Starszy aspirant spojrzał dyskretnie na zegarek. Minęła właśnie siedemnasta, jego zdaniem nie było się czym zajmować, więc najchętniej wróciłby do domu, do żony i córki.

– A ja wam mówię, Smańko, że on coś kombinuje. To nie jest typ, który zadowolony się jakąś forsiastą babeczką, która go będzie utrzymywać. On coś kombinuje i to coś wyjątkowo podstępne. A my musimy się dowiedzieć, co to jest!

– Dzisiaj podobno są te jej urodziny. To wielkie wydarzenie...

Ktoś zapukał do ich drzwi. Łoś spojrzał zdziwiony na Smańkę. Koledzy wchodzili do nich bez pukania. Wezwani musieli najpierw dostać przepustkę, więc zanim dostąpili zaszczytu stanięcia przed ich drzwiami, policjanci już wiedzieli, że do nich idą. Poza tym to pukanie zdecydowanie różniło się od nieśmiałego „puk, puk” przesłuchiwanym. Ono było pełne jakiejś niezwykłej godności i wprawdzie zdecydowane, ale nie natarczywe.

– Proszę – odezwał się w końcu Łoś.

Do pokoju policjantów wszedł kierowca limuzyny, która wcześniej zaparkowała przed komendą. Skłonił się lekko policjantom i zapytał:

– Czy mam przyjemność z podkomisarzem Łosiem i ze starszym aspirantem Smańką?

– Tak, to my. – Podkomisarz kiwnął głową. – A o co chodzi?

– Jestem kierowcą pani Kaliny Bilskiej, która chciałaby obu panów zaprosić na swoje urodziny.

– Nas? A dlaczego?

– Pan Jacek Przypadek zasugerował, że obaj panowie powinni się tam znaleźć, ponieważ zanoszi się na morderstwo.

Kalina Bilaska nie miała w zwyczaju witać swoich gości, bo gdyby z każdym z nich chciała zamienić choć parę słów, to cała ceremonia powitalna musiałaby trwać kilka godzin. Przy wejściu czekała na przybyłych ochrona, która sprawnie sprawdzała w czytnikach spersonalizowane karty zaproszeń. Potem wszyscy szli przez specjalny hol między wejściem a salą bankietową i zajmowali miejsca przy stolikach, które nie były przypisane do konkretnych osób.

Sama sala, gdzie odbywały się urodziny Kaliny Bilskiej, wyglądała naprawdę niezwykle. Była wprawdzie swego rodzaju prowizorką, gdyż została skonstruowana z części tarasu i ogromnego namiotu przykrywającego fragment ogrodu w konstancińskiej posiadłości multimilionerki, lecz nad jej adaptacją pracowała najlepsza i najdroższa firma eventowa z Warszawy. Miejsce, które latem zajmował trawnik, zamieniło się we wspaniałą taneczny parkiet, a eleganckie stoliki i krzesła ustawiono wokół na lekkim podwyższeniu. Ściany namiotu ozdobiono niczym w pałacu, a specjalne dmuchawy z ciepłym powietrzem dbały o to, by letni chłód panujący na zewnątrz nie miał tu dostępu.

Jeszcze efektowniej niż scenografia tego widowiska przedstawiała się lista gości na nie zaproszonych. Tak naprawdę nie było na niej nikomu nic niemówiących nazwisk. Część gości przysłała tutaj wyłącznie po to, żeby poprzebywać w towarzystwie innych znanych i lubianych twarzy. Kolejni chcieli się porządnie najeść, gdyż jedzenie przygotowała bardzo znana warszawska restauracja. A jeszcze inni planowali uśmiechnąć się do jubilatki, ponieważ potrzebowali drobnego wsparcia na swoje następne projekty artystyczne, a Kalina Bilaska była znana jako szczodry mecenas sztuki.

Jeśli zdarzyło się, że czyjaś twarz była mniej znana, oznaczało to, że należy ona do zamożnego biznesmena, który na co dzień nie lubi rzucać się w oczy. Ktoś taki nie mógł jednak odmówić udziału w imprezie stanowiącej corocznie ukoronowanie karnawału.

To jednak nie oni siedzieli przy stoliku wraz z gospodynią dzisiejszego wieczoru. Jak zwykle miejsce to zostało zarezerwowane dla koleżanek z liceum: Iwony, Agaty, Kaśki i Uli. Zanim Jacek został przedstawiony owym paniom jako partner Kaliny Bilskiej, bawił się obserwowaniem ich powitania. Pisk nastolatek, jaki z siebie wydawały na swój widok, uroczo kontrastował z ich prawdziwym wiekiem. Absolwentki słynnego Liceum Królowej Marysieńki przyglądały się sobie nawzajem, zauważały wszystkie kilogramy, jakie ubyły z ich ciał od ostatniego razu, komentowały fryzury i komplementowały sukienki.

Przypadka, ubranego w elegancki smoking zamówiony u najlepszego krawca w stolicy, przywitały z uśmiechem, lecz już bez cienia emocji. Były przyzwyczajone do kolejnych partnerów swojej szkolnej koleżanki. Od pewnego czasu wszyscy oni byli młodszy i dosyć znani. Rzadko pojawiali się na dwóch przyjęciach urodzinowych z rzędu. Ten też pewnie nie będzie już aktualny za kilka miesięcy. Od innych różnił się tym, że tamci byli wobec nich grzeczni i nadskakujący, a ten patrzył na nie tak jakoś dziwnie. Tak ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwie. Dobrze przynajmniej, że nie przeszkadzał w ich rozmowie. Wprawdzie nie dotyczyła ona niczego ważnego, ale detektyw jakoś podświadomie denerwował je wszystkie, więc lepiej dla niego samego było, że się nie odzywał. On też to chyba czuł, gdyż tylko przysłuchiwał się uważnie, a jedynym komentarzem z jego strony był irytujący uśmiešek, który czasem błąkał się po jego ustach.

Rozmowę, dość bez troską i radosną, przerwało nadejście kelnera z butelką wina. Jej widok sprawił, że wszystkie panie spoważniały. I nie była to kwestia wieku trunku, który liczył sobie już trzydzieści jeden lat i powstał dokładnie w roku ich osiemnastych urodzin. Panie uważnie obserwowały ruchy kelnera, który nalewał wino do kieliszków, a następnie dyskretnie się wycofał. Dopiero wtedy Kalina Bilka wzięła kieliszek i grobowym niemal głosem wzniósł toast.

– Za Jolkę.

– Za Jolkę – odpowiedziały jej równie cmentarnym tonem pozostałe koleżanki.

Po toastie zapadła chwila ciszy. Jacek przyglądał się, jak wszystkie panie wpatrują się w kieliszki, w których zwykle była połowa nalanej przez kelnera zawartości. Najkrócej robiła to Kaśka Grzeszczyk, która po niecałej minucie uśmiechnęła się gorzko i wlała w siebie resztę wina. Pozostałe panie odstawiły swoje kieliszki.

Do Kaliny Bilskiej podszedł jeden z jej pracowników, nachylił się i przez moment coś szeptał jej do ucha. Multimilionerka tylko kiwnęła głową i podniosła się od stołu.

– Bardzo was przepraszam. To mi nie powinno długo zająć.

– Jasne, idź – powiedziała Luona Zawisza.

Bilka podeszła jeszcze do konferansjera. Gdy tylko wzięła od niego mikrofon, wszystkie głosy na sali ucichły.

– Dziękuję, że jak co roku jesteście ze mną. Kelnerzy zaraz podadzą szampana, mam nadzieję, że wypijecie za moje zdrowie. – Uśmiechnęła się, gdy wszyscy pokiwali potakująco głowami. – Niedługo do was wrócę, a wy nie zapomnijcie, że są tu takie specjalne skrzyneczki. – Pokazała na cztery przezroczyste urny stojące w rogach sali, oklejone czerwonym logo fundacji Jesteś Lepsza! – Wierzę, że jak zwykle będziecie hojni. Może być gotówką, mogą być czekci. – Goście uśmiechali się grzecznościowo, więc Bilka dodała: – Aha, tym razem gdy będziecie wrzucać swoje złote karty kredytowe, nie zapomnijcie dołączyć do nich PIN-u. – Zebrani wybuchnęli śmiechem. – Bawcie się dobrze – powiedziała na zakończenie i odeszła w głąb domu.

Gdy zniknęła w drzwiach tarasu, Przypadek mógłby przysiąc, że jej koleżanki odetchnęły z ulgą. Trochę jak dzieci w klasie, z której właśnie wyszedł nauczyciel, dzięki czemu one same mogą się poczuć dużo swobodniej. Rozluźniły się, wygodniej usiadły na krzesłach, uśmiechnęły się do siebie.

– Taaa... Jak się robi interesy, to nie można sobie pozwolić na przerwę nawet w trakcie urodzin. – Zawisza pokiwała ze zrozumieniem głową, choć na jej ustach błąkał się ironiczny uśmiešek.

– Często robi interesy w trakcie urodzin? – zapytał Jacek.

Odezwanie się Przypadka ponownie uświadomiło koleżankom, że nie są tu same. Sekuła, Zawisza i Łajkowska jakby znów się usztywniły i spojrzały po sobie niepewnie, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Tylko Grzeszczyk uśmiechnęła się wciąż rozluźniona i odpowiedziała swobodnie:

– Właściwie zawsze znika na początku na pół godziny. – Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej paczkę papierosów. – Zaraz po niej ja wychodzę zająrać, bo od dziesięciu lat, jak Kalina rzuciła, nie wolno tego robić na sali. – Podniosła się od stolika.

– Chyba zapomniałam wziąć telefon z samochodu – stwierdziła Zawisza, nie próbując nawet sprawdzić, czy jednak nie ma przy sobie aparatu. Kiedy wstawała, zauważyła, że podnosi się również Sekuła. – A ty czegoś zapomniałaś? Bo przecież nie palisz?

– Ale chcę wyjść do toalety. Albo nie... – Zawahała się i usiadła. – Mogę później. Chociaż nie. – Wstała ponownie. – Chyba jednak muszę. Zaraz wracam.

Jacek widział, że Łajkowska też najchętniej skorzystałaby z byle pretekstu i ruszyłaby za koleżankami. Być może jednak chciała zachować pozory, a może nie potrafiła wymyślić naprędce powodu, który pozwoliłby jej opuścić towarzystwo detektywa. Jeśli zaś chciała być jedynie grzeczna i nie zostawiać Jacka samego, to już kilka sekund po odejściu koleżanek musiała łałowac swojej decyzji.

- Dlaczego pani tym razem przyszła na urodziny? – zapytał obcesowo.
- Bo miałam ochotę. – Wzruszyła ramionami.
- Przez ostatnich piętnaście lat pani jej nie miała.
- No i co z tego?
- Tak tylko pytam. Podobno nawet nie utrzymywała pani z Kaliną bliższych kontaktów?
- Jackowi dziwnie w uszach zabrzmiało to, że nazwał gospodynię po imieniu. Inaczej jednak nie mógł mówić, skoro odgrywał jej partnera.
- Żadna z nas w zasadzie nie ma z nią bliższych kontaktów. Zaprasza nas tylko raz w roku na urodziny. Nie zauważył pan? – Spojrzała na Jacka poirytowana.
- Spotykamy się od niedawna.
- Wiem. Poprzednio był pan z tą modelką, która umarła przez krwiaka. A przedtem z wieloma innymi kobietami, które wykorzystuje pan i zostawia.
- Jacek nie miał już wątpliwości, że Łajkowska zaraz ustanie, dlatego chciał wykorzystać moment sam na sam z nią do granic możliwości.
- Widzę, że trochę się pani mną interesowała.
- Co chwila gdzieś o panu pisać.
- Ale gdyby nie to, że zaczęto mnie łączyć z pani szkolną koleżanką, nie prześledziłaby pani tak uważnie mojej przeszłości.
- Niczego nie śledziłam. I w ogóle co to jest, przesłuchanie?
- Staram się tylko podtrzymać rozmowę.
- To musi się pan lepiej postarać. – Wstała od stołu. – Idę się przewietrzyć.

Podkomisarz Łoś w pierwszej chwili nie miał absolutnie zamiaru korzystać z zaproszenia na imprezę urodzinową. Nawet z tak pięknie wyglądającego, jak to dostarczone przez kierowcę. Przypominało większą kartę kredytową, zaprojektowaną jednak ze smakiem, zawierającą trójwymiarowy obrazek, na którym pod pewnym kątem widać było konstancińską willę pani Bilskiej, a pod innym – twarz samego podkomisarza. Nie umieszczono wprawdzie jego imienia ani nazwiska, lecz to nie było potrzebne. Zaproszenie wyprodukowała Mennica Państwowa, dodając zabezpieczenia dużo lepsze niż w najbardziej wartościowych banknotach, dlatego podrobienie go było absolutnie niemożliwe. Nie zmieniło to faktu, że podkomisarz uważał, iż to jakiś kolejny żart Przypadka, który postanowił się zabawić ich kosztem. Przysłał tego śmiesznego kierowcę, który na dodatek miał przygotowane dwa smokingi, dla niego i dla Smańki.

Starszy aspirant podzielał wprawdzie te obawy, ale w przeciwieństwie do przełożonego nie miał nic przeciwko temu, żeby wybrać się na wystawne przyjęcie, na którym można było spotkać znanych i lubianych, a do tego jeszcze solidnie się najeść. Dlatego usilnie namawiał podkomisarza, żeby skorzystać z zaproszenia, traktując serio kartki z mailami, które również przyniósł kierowca.

- Smańko, czyście zwariowali? – Łoś pogardliwie cisnął plik kartek na biurko. – Przecież takie coś to ona mogła sobie sama do siebie napisać. Albo on to mógł podrobić.
- Ale po co?

– Choćby po to, żeby się z nas pośmiać, że daliśmy się nabrać. No pomyślcie sami, gdyby ktoś jej groził, już dawno powinniśmy się o tym dowiedzieć. Po co by miała brać jego zamiast nas zawiadamiać?

– Ten kierowca mówił, że też ją do tego namawiał, ale ona nie chciała, by wyszło na jaw, że grozi jej jakaś szkolna koleżanka. Pan wie, że od nas są non stop przecieki do prasy.

– Zdarzają się, Smańko, jedynie się zdarzają. A jeśli dojdzie do morderstwa, to na pewno ktoś tam od nas pojedzie. I będzie się użerał z tą bandą celebrytów. A ja akurat dzisiaj idę z żoną do kina.

– Na co?

– Jeszcze nie wiem, dochodzi dopiero osiemnasta, zdążę coś wybrać. Ale to musi być komedia. Widzieliście ostatnio coś zabawnego?

– Panie komisarzy... To nic nie da. Ja wiem, z tymi celebrytami bywa trudno. Ale przecież z Przypadkiem nie da się inaczej. On zawsze musi rozwiązywać sprawy z kimś ważnym w tle.

– Właśnie, Smańko, właśnie! – Podkomisarz uniósł się z oburzenia. – W tle! A tu na pierwszym planie będzie ze stu ważniaków, którym można się narazić.

– To fakt. Ale jak ją naprawdę zamordują, a na miejscu będzie Przypadek, to inspektor Zasada i tak nas wykopie spod ziemi, żebyśmy się tym zajęli. W kinie też pana znajdą, choćby pan zostawił telefon w domu.

Podkomisarz jeszcze przez chwilę starał się nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że nie ma wyjścia, choć czuł, że starszy aspirant ma rację. Zasada nie odpuści i zrobi wszystko, żeby w razie morderstwa jednej z najbogatszych Polek u boku detektywa Przypadka znalazł się Łoś. Może lepiej będzie pojechać na miejsce i zapobiec temu morderstwu, żeby nie męczyć się później z tymi wszystkimi bogaczami i celebrytami?

– Mam zwołać kierowcę, żeby przyniósł smokingi? – zapytał nieśmiało Smańko, widząc wahanie na twarzy przełożonego.

– Jeszcze tego brakowało. Po prostu jedziemy tam i już. Nie będę się przebierał za żadnego pingwina!

– Szkoda. W życiu nie miałem na sobie smokingu – mruknął pod nosem Smańko, ale posłusznie podreptał za podkomisarzem w kierunku limuzyny. Przez całą drogę na przyjęcie patrzył jednak tęsknie na piękne czarne smokingi i białe koszule, które wisiąły na wieszaku przed nimi. Podkomisarz Łoś zauważył to w końcu i fuknął na podwładnego:

– Smańko, uspokójcie się! Jedziemy do pracy, a nie na przyjęcie.

– Ale... tak by nam było się łatwiej wmieścić w tłum. I wykryć mordercę. Tam pewnie wszyscy będą w smokingach. Albo przynajmniej w eleganckich garniturach. A my w tych naszych tweedowych marynareczkach i dżinsach będziemy się rzucać w oczy.

– W sumie... – zastanowił się podkomisarz. – Chyba macie rację. Może się przebierzemy na miejscu. Już dojeżdżamy.

Limuzyna zajęła na podjazd przed konstancińską posiadłość Kaliny Bilskiej. Smańko i Łoś chwycili wieszaki ze smokingami i wysiedli. Podkomisarz chciał jeszcze o coś zapytać kierowcę, ale auto odjechało, a oni stanęli, odrobinę bezradnie się rozglądając. Po chwili jednak z eleganckiego budynku wyszedł Jacek, podszedł do nich i oświadczył z kamienną twarzą:

– Przybywa pan w samą porę, panie podkomisarzu. Właśnie zamordowano panią Bilską.

Redaktor Anna Sobania chyba po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie nauczyła się robić klusek do rosółu, choć jej mama wielokrotnie usiłowała ją do tego zachęcić. Jej żal nie brał

się jednak z tego, że miała typowo ciężową zachciewajkę, ale stąd, że wśród przyborów kuchennych nie miała w domu wałka do ciasta. Teraz właśnie myślała o nim, najlepiej zresztą nie staromodnym drewnianym, ale bardziej współczesnym metalowym, którego uderzenia zabolaloby szczególnie mocno tego drania, tego łajdaka, który w tej chwili wchodził do jej mieszkania!

– Cześć, żabko – rzucił w jej stronę niczego niepodejrzewający Błażej. – To już chyba koniec...

– Koniec? – zapytała Ania, której usta w jednej chwili z zaciśniętej kreseczki wygięły się w rozpaczliwą podkówkę.

– Na to wygląda – potwierdził beztróska Sakowicz.

– No tak, mogłam się tego spodziewać. Faceci to świnie i gdy się pojawiają jakiegokolwiek obowiązki, od razu zostawiają kobiety same. Jak ty! – Oskarżycielsko wyciągnęła palec.

– Ależ żabko, wybacz, rozprawa się przeciągnęła.

– Pewnie, rozprawa. Od kiedy to się nazywa rozprawa?!

– Z tego, co wiem, od zawsze – odpowiedział zdezorientowany Sakowicz. – Poza tym nie powinnaś się denerwować, to może zaszkodzić dziecku...

– Ty mi śmiesz mówić, że mam się nie denerwować?! – Zaraz po wyrzuceniu słów usta Ani ponownie stały się zaciśniętą, wściekłą kreseczką. – Zostawiasz mnie i każesz mi się nie denerwować?!

– Ale jak cię zostawiam? Przecież dopiero wróciłem...

– Mówiąc, że to już koniec! – Usta ponownie wygięły się w podkówkę, a po policzkach kobiety popłynęły łzy.

– Mówiłem o procesie. Ojciec coraz bardziej przegrywa. Można rzec, że przegrywa z kretešem.

– Nie mydl mi oczu procesem! – Wprawdzie do redaktor Sobani dotarło, że błędnie zinterpretowała słowa narzeczonego, ale to wcale nie poprawiło jej humoru. Ponadto przecież za nic w świecie nie mogła się przyznać do omyłki, dlatego przeszła do zdecydowanego ataku. – Dobrze wiem, że kogoś masz!

– Skąd ci to przyszło do głowy, żabko? Zaraz po pracy wracam do domu, nie mam żadnych wieczornych spotkań ani wyjść...

– Ale parę dni temu spotkałeś się z Przypadkiem...

– No ale to tylko raz, a poza tym Jacek to mój przyjaciel, posiedzieliśmy, wypiliśmy parę drinków i tyle...

– Ja wprawdzie jestem w ciąży i odczuwam wszystko inaczej, ale węchu jeszcze nie straciłam. Wyraźnie czułam perfumy tej larwy...

– Ach, o to ci chodzi... – Błażej machnął lekceważąco ręką. – To taka w sumie śmieszna sytuacja.

– Ciebie to naprawdę śmieszny?

– No tak. Siedzieliśmy sobie spokojnie i nawet już mieliśmy wychodzić, kiedy się przysiadła taka korpulduka w żółtym kostiumie. Jacek ją już wcześniej rozgryzł, gdy na nas patrzyła. Powiedział, że gdybym z nią zamienił kilka słów, to na pewno ogłuszy mnie swoim pantoflem i wyciągnie za nogi przez drzwi.

– To po co się do niej odzywałeś?!

– Nie odzywałem się, daję słowo. Chcieliśmy się od razu pożegnać, ale gdzie tam. Jacek to nawet przewidział. Przykleiła się do nas, chciała nam koniecznie drinki stawiać i zapraszała do swojego nowego apartamentu.

– Zgodziłeś się?

– Absolutnie nie, żabko. Ale wiesz, ten mój zwierzęcy magnetyzm, co ja na to poradzę... – Błazej bezradnie rozłożył ręce. – Gdy wstałem, to się przytuliła i zaczęła mnie ciągnąć na densflor. Nawet Jacek jej nie mógł ode mnie oderwać. Mówił, że była tak nachalna przez to, że ostatnio trochę poszczę przez twoją ciążę i pewnie wydzielam jeszcze więcej feromonów...

– Czyli to moja wina?! Wiesz, jak ja się czuję!? Jakbyś nosił w sobie takie coś – klepnęła się po brzuchu – tobyś nie miał ochoty ani na figle, ani w ogóle na nic!

– Ależ ja wszystko rozumiem, żabko...

– Kłamiesz! Gdybyś rozumiał, tobyś nie pachniał perfumami jakiejś larwy!

– Mówiłem ci, to przypadek...

– Wiedziałam, że to jego wina!

– Nie chodzi o Jacka... Tak po prostu wyszło...

– To może już nie będziesz nigdzie chodził, żeby już tak nie wychodziło, co? – zmieniła nagle ton na niemal błagalny. – Ja wiem, pewnie trochę cię zaniedbywałam, ale ciąża, rozumiesz...

– Oczywiście, rozumiem.

– I co, już nie będziesz nigdy wychodził z Przypadkiem?

– Mam zerwać z nim znajomość?

– Nie. Po prostu co najwyżej w dzień krótkie spotkanie, a wieczorami w domu. A ja się bardzo postaram, żebyś był zadowolony. Dobrze?

Podkomisarz Łoś patrzył z coraz większym przerażeniem na tłum kłębiący się w sali. Znał tu wszystkich, choć oczywiście jego nikt nie kojarzył. No, może poza tym producentem telewizyjnym, Kokoszką, którego dwa lata temu podejrzewał o zabicie popularnego aktora. Producent zatrudnił wtedy Przypadka, który odkrył prawdziwego mordercę, a teraz pomachał mu radośnie. Lecz Kokoszka był tu chyba najmniej kłopotliwym dla policjanta gościem. Znani i lubiani, osoby z listy najbogatszych Polaków patrzyły w stronę podkomisarza ze zdziwieniem, tak bardzo nie pasował tu swoim strojem. Łoś nic a nic nie przejmowałby się ich spojrzem, gdyby nie fakt, że za chwilę prawdopodobnie będzie musiał przesłuchać ich wszystkich.

– Pan chyba zupełnie oszalał – syknął do Przypadka. – Wystarczy, że każda z tych osób zadzwoni do swojego adwokata, a zaraz będę miał na głowie bandę namolnych prawników! Trzeba ich stąd jak najszybciej wyrzucić.

– To się dopiero wściekną. Zabawa się dopiero zaczęła, a pan im każe wychodzić.

– To jest przecież miejsce zbrodni. Muszę tu zaraz sprowadzić techników, żeby wszystko dokładnie zbadali. Inaczej nie znajdę żadnych śladów.

– Morderstwo zostało dokonane w gabinecie pani Bilskiej. Sam pan widział jej trupa...

– Ale tylko przez chwilę...

– To chyba wystarczyło, żeby zauważył pan dziurę w jej głowie i krew na biurku. Morderca jest tu i prawdopodobnie ma przy sobie broń. Choć niewykluczone, że zdążył ją już komuś podrzucić, zwłaszcza że, sądząc po dziurze, kaliber nie był zbyt wielki. Pewnie jakaś damska zabaweczka. Goście mogą ją nawet niechcący wynieść w kieszeniach czy torebkach, a potem szukać wiatru w polu.

– Jak usłyszają o morderstwie...

– To wyrzucą broń jak najszybciej. Po co komu informacje o tym, że pomagał w zabójstwie pani Bilskiej? Już widzę te tytuły w tabloidach: „Znany biznesmen zamieszany

w morderstwo” albo „Stynny aktor zabił multimilionerkę”. A zanim się wytłumaczy, łatka się do nich przyklei. Lepiej nie ryzykować i wyrzucić broń gdziekolwiek.

– Czyli co, każdemu mam zrobić rewizję osobistą?!

– Może nie będzie takiej potrzeby, jeśli wcześniej odkryjemy mordercę.

– No właśnie, sam pan mówił, że to pewnie te jej koleżanki ze szkoły ją zabiły... To chyba żadne ważne osoby? – upewnił się Łoś.

– Najważniejsze były przez to, że były znajomymi pani Bilskiej. Po jej śmierci ich waga znika.

– No to zatrzymajmy je i po sprawie. – Łoś odetchnął z ulgą.

– Po pierwsze, nie mam tej pewności. A po drugie, jeśli to któraś z nich, to może mieć współniczkę lub współnika.

– I co, oczekuje pan teraz ode mnie, że każę tym ludziom tu siedzieć i czekać do jutra rana, aż ich wszystkich przesłuchamy i przeszukamy?! Nie ma mowy. Nie namówi mnie pan na to. Wolę już nie znaleźć mordercy. Zresztą nie mam nawet jak ich przypilnować, musiałbym tu sprowadzić oddział wojska.

– Ma pan rację. – Jacek zamyślił się na chwilę. – Ale chyba wiem, co z tym zrobić.

Zanim podkomisarz Łoś zdążył zapytać, co Przypadek ma zamiar uczynić, detektyw podszedł do stolika, gdzie siedział prowadzący imprezę konferansjer, i wziął do ręki jego mikrofon.

– Proszę państwa, proszę o chwilę uwagi! – Rozgadani goście, choć niezbyt chętnie, milkli. Co innego, gdy prosiła ich o ciszę gospodyni albo ten wodzirej w zielonym fraczku, wtedy warto było siedzieć cicho, żeby nie przegapić czegoś ważnego. Lecz ten chłystek, który od dawna wszystkich irytował i który na dodatek stoczył się obecnie do roli żigolaka, nie zasługiwał na uwagę. Jeśli zatem przerywali teraz rozmowy, byli pewni, że zaraz będą je kontynuować. – Dziękuję bardzo. Pragnę państwa poinformować, że Kalina Bilka została właśnie zamordowana! – Cisza, jaka zapadła po jego słowach, świadczyła o tym, że goście wstrzymali oddechy. Jednak tylko na kilka sekund, bo wszyscy zaczęli nagle do siebie mówić, chcąc się upewnić, czy na pewno dobrze usłyszeli. – Proszę się nie bać, to tylko taka zabawa. Kalina postanowiła przygotować coś specjalnego na swoje urodziny i stworzyła dla państwa grę, która wskaże tego, kto chce ją zabić...

– Znam kilku takich! – krzyknęła siedząca z tyłu pulchniutka blondynka, mniej więcej w wieku multimilionerki, wywołując powszechną wesołość. Wszyscy już zdążyli odetchnąć z ulgą, że nie będą zamieszani w sprawę morderstwa.

– Kalina też ich zna. – Jacek zażartował, wskazując palcem w kierunku pulchniutkiej blondynki, która zdążyła już usiąść. – Ale chciałaby sprawdzić, kto jest najbardziej zdeterminowany. Dlatego do końca zabawy pozostanie w swoim gabinecie, a ja z podkomisarzem Łosiem – wskazał na policjanta, który momentalnie zrobił się czerwony na twarzy – będziemy szukać wśród państwa potencjalnego mordercy. Czasem więc wezwiemy kogoś na przesłuchanie, żeby sprawdzić wasze alibi. Na pierwszy ogień pójdą jej koleżanki z liceum jako te najdłużej ją znające i mogące zdradzić najwięcej szczegółów. Czekajcie więc cierpliwie na swoją kolej. Nie obiecujemy, że przesłuchamy wszystkich, ale postaramy się, żebyście się dobrze bawili. Uprzedzamy jednak, że ochrona aż do końca trwania śledztwa ma zakaz wypuszczania stąd kogokolwiek.

Słowa Jacka skwitowano oklaskami i wszyscy wrócili do swoich rozmów. Tylko konferansjer był przerażony, gdyż w scenariuszu, który otrzymał przed imprezą, nie miał zaznaczonego morderstwa, więc nie do końca wiedział, co ma robić.

Przypadek oddał mu mikrofon i powiedział, żeby po prostu prowadził zabawę, a on postara się mu jej nie popsuć.

Podkomisarz Łoś patrzył z niedowierzaniem to na Jacka, to na tłum znanych ludzi gotowych w każdej chwili i bez najmniejszych oporów udzielić mu odpowiedzi.

- Naprawdę pan myśli, że zgodzą się tak odpowiadać bez adwokatów? - zapytał Jacka.
- Powiem więcej. Będą pana błagać o przesłuchanie.
- Naprawdę?! Dlaczego?

- Bo ludzie są banalnie przewidywalni, panie podkomisarzu. A oni boją się, że zostaną pominięci w zabawie gospodyni. To by oznaczało, że nie są tak ważni, aby ich zaprosić do gry. Żaden z nich by tego nie chciał, choć zapewne spotka to prawie każdego z nich. - Jacek pociągnął za łokcie podkomisarza wpatrującego się w tłum znanych osób, z których kilka teraz do niego przyjaźnie machało. - Biorą pana za wynajętego aktora. Chodźmy już, pewnie pański podwładny z trudem utrzymuje napór naszych furii.

Aspirant Smańko rzeczywiście nie miał łatwego zadania. Wszystkie cztery kobiety najchętniej rozszarpałyby go na strzępy, gdyż nie rozumiały, dlaczego zostały tu zamknięte. Nawet gdy usłyszały głos Jacka opowiadającego o zabawie w morderstwo wymyślonej przez Kalinę Bilską, nie uspokoiły się, tylko wymagały od policjanta wyjaśnienia, jaka rola im została przypisana. Tylko Kasia Grzeszczyk nalała sobie z karafki szklaneczkę ginu i wychyliła ją niemal jednym haustem. Ledwie to zrobiła, drzwi się otworzyły i stanął w nich detektyw wraz z podkomisarzem. Smańko odetchnął z ulgą, panie jednak nie umilkły, tylko natarły na Jacka.

- To pewnie pański pomysł! - fuknęła Agata Sekuła. - Kalina lubi spełniać zachcianki swoich kochasiów!

- Niech pan jej powie, że ja nie mam zamiaru uczestniczyć w jej zabawie! - oświadczyła zdecydowanie Iwona Zawisza. - Wystarczy, że przychodzę co roku na jej urodziny.

- A ja nie po to przyjechałam tu z Gdańska, żeby brać udział w jakiejś głupawej grze! - Urszula Łajkowska patrzyła na Jacka z nienawiścią.

- No właśnie, byłoby dobrze, gdyby pani mi w końcu wyjaśniła, dlaczego tu przyjechała.
- Nie pański interes!

- Jak najbardziej mój, pani Ulu. Pani Kalina wynajęła mnie przed dwoma tygodniami, abym wykrył osobę, która chce ją zabić i wysyła od trzech miesięcy maile zawiadamiające ją, że umrze we własne urodziny. Niestety, dwustu pięćdziesięciu tysięcy już nie zarobię, gdyż leży w tej chwili martwa w swoim gabinecie. Ale mam jeszcze szansę na sto, za wykrycie mordercy.

Wszystkie panie patrzyły to na siebie, to na detektywa, przez dłuższą chwilę z niedowierzaniem. Wprawdzie Jacek wciąż miał ten swój ironiczno-dobrotliwo-pobłaźliwy wyraz twarzy i trudno było poznać, czy żartuje, czy nie, ale tych dwóch smutasów obok niego sprawiało wrażenie prawdziwych policjantów.

- Za pamięć kolejnej z nas, która odeszła z grona żywych! - przerwała ciszę Kasia Grzeszczyk, wznosząc do góry kolejną szklaneczkę z ginem. Tym razem jednak nie wychyliła jej duszkiem, a jedynie trochę upiła.

- To ona... naprawdę nie żyje? - upewniła się Agata Sekuła.

- Tak - przytaknął podkomisarz Łoś. - Przyczyny śmierci nie znamy jeszcze na pewno, ale prawdopodobnie została zastrzelona.

- Przecież ktoś by coś słyszał - zdziwiła się Iwona Zawisza.

– Strzał został zagłuszony czy też raczej utonął w odgłosie otwieranych szampanów.
– No dobrze, ale dlaczego tylko my tu siedzimy, a reszta gości bawi się na sali? – zdenerwowała się Łajkowska.

– Bo to panie są głównymi podejrzanymi. Pierwsza pogróżka pojawiła się tydzień po tym, jak dostały panie zaproszenia. Zresztą wy jako jedyne mogłyście być tych zaproszeń pewne, bo inni zawsze się muszą o nie starać. – Jacek spojrzął na Łajkowską. – W związku z tym proszę powiedzieć, dlaczego nagle po dłuższej przerwie postanowiła się tu pani pojawić... No chyba że nie chce się pani przyznawać przed koleżankami, powie nam to pani za chwilę, gdy będziemy przesłuchiwać każdą z pań osobno.

– Mogę powiedzieć, bo to mi da idealne alibi. – Uła sięgnęła po karafkę z ginem i nalala sobie trochę na dno szklaneczki. – Jestem bankrutką. Paru klientów nie zapłaciło w terminie za nasze łódzie. Banki nas przycisnęły. I poszło. Jeśli nie oddam za miesiąc miliona złotych, stracę z mężem wszystko. Przyjechałam od niej pożyczyci. – Wypiła nalany do szklaneczki gin. – A teraz już i tak pójdę z torbami. Dlatego jestem niewinna, bo zapewne miałam największy interes w tym, żeby żyła. – Spojrzała na Agatę.

– Co się na mnie tak patrzysz?! – zdenerwowała się Sekuła.

– Chcesz powiedzieć, że to ja ją zabiłam?!

– Nic nie chcę powiedzieć.

– Za to my chętnie posłuchamy – wtrącił się do rozmowy podkomisarz Łoś, patrząc znacząco na Iwonę.

– To było dawno temu, w żartach. – Sekuła spojrzała wściekła na Łajkowską. – Przecież to wiesz!

– Co było w żartach, droga pani? – dopytywał się podkomisarz.

– No powiedz im – naciskała na koleżankę brunetka o fryzurze księgowej.

– To były ostatnie urodziny, na których była Jolka Kasperec – przypomniawszy Uła. – Powiedziałaś wtedy, że jeśli jeszcze raz Kalina zaprosi cię na urodziny, to ją chyba zamordujesz.

– Ale zaraz potem to odwołałam.

– Potem jednak stwierdziłaś tak jeszcze raz. I znów odwołałaś. I znów potwierdziłaś.

– I co z tego? Minęło już szesnaście lat i tego nie zrobiłam.

– Ale w zeszłym roku powiedziałaś mi to samo – odezwała się nagle Iwona Zawisza.

– Nigdy mnie nie lubiłyście! – wybuchła Sekuła. – A każda z was by ją tak samo chętnie zabiła! Myślicie, że nie wiem?!

– To już nam pani powie na przesłuchaniu w pokoju obok – zarządził podkomisarz Łoś, który uznał, że choć wzajemne oskarżenia pań brzmią nader interesująco, to wkrótce ich sprzeczka może się zamienić w bijatykę, której nie będzie w stanie opanować nawet doborowy oddział policji, którym w tej chwili i tak nie dysponował.

Pani Irmina nie nasłuchiwała zbyt uważnie odgłosów dochodzących zza ściany. Wylewanie na siebie ciągłych pretensji przez sąsiadów było więcej niż banalnie przewidywalne. Czasem nawet pani Bamber zabawiała się złośliwie, wypowiadając pod nosem kolejne oczekiwane kwestie i ciesząc się jak dziecko, gdy dziewięćdziesiąt procent przewidywanych przez nią słów pokrywało się z tym, co usłyszała. Radość ta jednak była chwilowa, stanowiła rodzaj oswojenia niezbyt przyjemnej rzeczywistości. Skoro bowiem już musiała wysłuchiwać ich kłótni, to niech chociaż ma z tego odrobinę przyjemności i poudaje, że ją to bawi. Pomyślała jednak, że gdyby sytuacja ta miała trwać dłużej, stanowczo zażąda od Jacka, aby nie płacił

za sąsiadów czynszu, a jeśli on nie posłucha, to sama wynajmie Romanowi i Gabrysi jakieś większe mieszkanie jak najdalej od siebie.

Zadzwoił domofon. Zdziwiona pani Irmina spojrzała na zegarek. Nie było późno, dopiero kwadrans przed siódmą wieczorem, ale nie spodziewała się nikogo o tej porze. Podniosła słuchawkę.

– Tak?

– Dobry wieczór, pani Irmino. Tu Felicja Przypadek...

– Jacka dziś nie ma. Jest na urodzinach swojej klientki.

– Tak, wiem. Ale ja specjalnie do pani.

Pani Irmina Bamber nie wypytywała o nic więcej, gdyż byłoby to dużą niegrzecznością. Wpuściła panią Felicję, a w oczekiwaniu, aż gość wejdzie na czwarte piętro, błyskawicznie nastawiła wodę na herbatę i postawiła na stole przepyszne ciasteczka. Kiedy jednak otworzyła drzwi, jej gość, trzymający pod pachą grubą kartonową teczkę, nie patrzył na nią, tylko w stronę mieszkania numer trzynaste.

– Co tam się dzieje? – zapytała zdumiona pani Przypadek, słysząc dźwięk tłuczonego szkła.

– Dzień jak co dzień. – Pani Irmina westchnęła i wciągnęła panią Felicję za rękę do mieszkania.

Po chwili obie panie usiadły przy herbacie i ciasteczkach, dzieląc się niezbyt istotnymi nowinkami. Jednak błaha wiadomości wyczerpały się już po pięciu minutach i zapadła krępująca cisza. Obie panie znały się wprawdzie od dawna, ale w ostatnich latach utrzymywały jedynie kontakt korespondencyjny, poprzez Jacka, brakowało im więc wspólnych tematów do rozmowy. Tym bardziej zresztą wizyta pani Felicji, trzymającej wciąż na kolanach grubą kartonową teczkę, wydawała się pani Irminie zagadkowa, lecz nie wypadało o to zapytać. Na szczęście jej gość rozumiał niezręczność całej sytuacji.

– Na pewno dziwi się pani, dlaczego tu przyszedłem i to pod nieobecność Jacka. – Pani Irmina uśmiechnęła się tylko wyrozumiale. – Otóż mam do pani dwie sprawy. Najpierw chciałam prosić panią o przeczytanie mojego kryminału. Kilku wydawców odmówiło mi już jego wydania, więc chciałabym, żeby przeczytało go jak najwięcej osób i być może wskazało jego braki.

– Bardzo chętnie, Jacek mówił mi o nim sporo, sama jestem go ciekawa. Ale jak rozumiem, nie to głównie panią do mnie sprowadza, bo kryminał mogła mi pani podać przez syna.

– To prawda. Otóż od jakiegoś czasu martwię się o Fryderyka...

– Pani byłego męża? – zdziwiła się pani Irmina.

– Tak, wiem, teraz nie powinien mi on w żaden sposób zaprzętać głowy. Lecz ta jego aplikantka... To znaczy ona nie jest jeszcze nawet aplikantką, tylko u niego pracuje... Otóż mam wrażenie, że ona chce mu zrobić krzywdę. Widziałam ją tylko raz, ale naprawdę... Nie umiem tego wytłumaczyć. Coś mnie w niej bardzo niepokoi.

– Rozumiem. Tylko co ja mam z tym wspólnego?

– Nie pani, lecz Jacek. Wydaje mi się... Wiem to na pewno, że ona ma coś wspólnego z Jackiem. Przyznam, że nie wiem co, bo nigdy mi o niej nie wspominał, a gdy ostatnio zapytałam go o nią, zbył mnie jak to on.

– A dlaczego pani uważa, że ona zagraża panu Fryderykowi?

– To jej spojrzenie. Patrzyła na mnie z nienawiścią, a jednocześnie w jej wzroku było coś piekielnie inteligentnego, co kazało mi się od razu bać. Marzena mówiła, że Fryderyk ma zamiar zatrudnić byłą policjantkę...

– Policjantkę?! – Pani Irmina podskoczyła jak oparzona.

– Tak. Coś to pani mówi?

– Widzi pani – zaczęła ostrożnie pani Bamber. – Jacek do tej pory odmawia opowiedzenia o tym, jaki dokładnie finał miała ta sprawa z Klempuchem. Ale przedtem, przez jakiś czas, obserwowała go pewna osoba, policjantka, i pani syn miał wobec niej jakieś dziwne przecucia. Ostatnio znów zaczął współpracować z podkomisarzem Łosiem. A ta policjantka...

– Myśli pani, że to ona?

– Nie wiem. Ale gdyby miała mieć coś wspólnego z pani synem, to chyba tak.

Pani Felicja Przypadek nabrała powietrza i chciała zapytać o coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się głośny dźwięk budzika. Pani Irmina jakby na to czekała, odetchnęła z ulgą i wyłączyła natarczywe terkotanie.

– Chyba pani w czymś nie przeszkodziłam? – zapytała pani Felicja. – Piecze pani ciasto?

– Nie, nie.

– Może obudziłam panią? Najmocniej przepraszam.

– Nic z tych rzeczy. – Pani Irmina się uśmiechnęła. – Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę.

Pani Bamber chwyciła budzik i wyszła z mieszkania. Nie zamykała jednak drzwi, tylko od razu nacisnęła dzwonek do sąsiadów. Gdy zobaczyła zapłakaną twarz Gabrysi, to chociaż przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, postanowiła nie mieć dla niego litości i podstawiła mu budzik pod nos.

– Dziewiętnasta zero jeden – powiedziała ze złośliwą satysfakcją. – Macie prawo milczeć albo sami płacić swój czynsz!

Wybór pierwszej kandydatki do przesłuchania sam się narzucał, bo gdyby Agata Sekuła pozostała z koleżankami z klasy w jednym pokoju jeszcze minutę dłużej, najpierw padłby trupem aspirant Smańko usiłujący przeszkodzić w bijatyce, a później grono absolwentek słynnego Liceum Królowej Marysieńki pomniejszyłoby się o następne osoby. Dlatego teraz to ona siedziała w bibliotece oddzielonej korytarzem od salonu, gdzie na swoją kolej czekały jej koleżanki.

Była tu pierwszy raz, chyba zresztą tak jak ten detektyw, w tej chwili najbardziej zainteresowany przeglądaniem książek, których wspólną cechą było to, że zostały napisane przez kobiety. Poza tym różniło je wszystko, gdyż na półkach stały romanse, kryminały, trudna literatura psychologiczna i ta prezentująca najnowsze dokonania światowego feminizmu.

– Daję słowo, to były żarty – powtarzała jak katarynka dyrektorka przedszkola. – To znaczy może niezupełnie żarty... ale żarty. – Sekuła wciąż nie mogła się zdecydować.

– Ale z jakiegoś powodu pani tak zażartowała – przerwał jej w końcu Przypadek.

– No tak. To prawda – stwierdziła ostrożnie. – Ale to był żart, naprawdę. Wierzyście mi?

– Może uwierzymy, jeśli nam pani powie, co było jego przyczyną – stwierdził cierpko podkomisarz Łoś.

– No bo ona co roku na tych urodzinach nas głównie pouczała. Wypytywała się co słychać, a potem mówiła, co zrobiliśmy źle, co dobrze, co powinniśmy zmienić, jak się zachowywać. To było strasznie irytujące. Część dziewczyn właśnie dlatego przestała tu przychodzić.

– Ale pani bywała regularnie, co rok – zauważył Przypadek.

– No tak. To jej pouczanie było irytujące, ale... – Zauważyła się przez moment, po czym przyznała niechętnie: – Ale miała rację. Do wszystkiego w życiu doszłam właśnie dzięki niej.

Tak, wkurzałam się, bo ona zwykle przy wszystkich nas pouczała. Tyle że potem, gdy się zastanowiłam, musiałam przyznać jej rację. Ona taka po prostu była. Miała ten swój irytujący styl już od liceum, gdy była przewodniczącą klasy.

– Czyli właściwie wszystkie z pań mogły być na nią wściekłe za te rady? – upewnił się podkomisarz Łoś.

– No tak... Jolka Kasperec to nawet powiedziała wtedy, że chyba się sama zabije, jeśli dostanie jeszcze jedno zaproszenie.

– I naprawdę to zrobiła – stwierdził Jacek.

– Ale nie wiadomo, czy przez to. Kaśka Grzeszczyk powiedziała mi, że to przez jakiegoś faceta. To od niej dowiedzieliśmy się o jej śmierci. One się w sumie najbardziej lubiły i to od liceum. Obie miały mocne głowy i mogły w sumie sporo wypić. W zasadzie jak Jolka się wyprowadziła na Suwalszczyznę, to tylko jedna Kaśka utrzymywała z nią kontakt. I jedynie ona była na pogrzebie. – W oku Sekuły zakręciła się łza.

– Tak, to na pewno wzruszające – powiedział podkomisarz Łoś – ale przyznam szczerze, że nie rozumiem, dlaczego panie nie przestały po prostu przychodzić na te urodziny. Przymusu żadnego nie było, nie trzeba było od razu zabijać siebie ani pani Bilskiej.

– Ja jej nie zabiłam, to był żart! – obruszyła się Sekuła.

– To już słyszeliśmy, pan podkomisarz pytał o co innego.

– Teraz to pan żartuje. – Oburzenie dyrektorki przedszkola minęło i teraz patrzyła na obu mężczyzn z bezgranicznym zdumieniem. – Przecież tu przychodzi tylu znanych ludzi. Jedyna okazja, żeby z nimi porozmawiać, strzelić sobie fotkę. Ula Łajkowska to tu nawet męża poznała.

– Więc przychodziła pani poznać tu ewentualnego męża?

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie Sekuła, reflektując się po chwili. – To znaczy... Poznałam tu paru fajnych facetów... to znaczy wydawali mi się fajni... Ale Kalina powiedziała mi, że to straszne dupki i żebym nie zwracała sobie nimi głowy. Chociaż jeden... – Uśmiechnęła się smutno do swoich wspomnień.

– Nieważne. W każdym razie lubiłam tu przychodzić. Wszystkie lubiłyśmy, bo mogłyśmy się spotkać znowu w starym składzie.

– Ale od jakiegoś czasu ten skład się rozsypywał – zauważył Jacek.

– No tak, po śmierci Jolki już nic nie było takie samo. Niektóre były pewne, że się zabiła przez Kalinę. Ona zawsze powtarzała, że jak nie będzie jej słuchać, to niczego w życiu nie osiągnie. Bo Jolka co rusz się zakochiwała w jakimś facecie i chciała wychodzić za niego za mąż, chociaż Kalina jej mówiła, że to bez sensu. Raz z jednym się nawet zaręczyła i miała już wyznaczony termin ślubu, chociaż od razu było widać, że to bawidamek i łajdus. Ale Jolka była zakochana i nie chciała tego zrozumieć. Dopiero Kalina wynajęła jakiegoś detektywa, a on sfotografował tego narzeczonego, jak się z kilkoma panienkami zabawia. Jolka się załamała, nawet wylądowała u psychiatry. Kalina jej potem pomogła, bo wynajęła najlepszych specjalistów, którzy ją postawili na nogi. Zawsze nam zresztą pomagała w razie potrzeby. Świetna z niej była babka.

– Sekuła otarła łzę.

– Bardzo wzruszające – westchnął podkomisarz Łoś. – Ale może pani wie, kto mógł chcieć zabić tę świetną babkę?

– Nie wiem. Naprawdę. Mogę sobie wyobrazić, że któraś z nas chciałyby jej nawrzucać, ale zabić...

– No dobrze, to która chciałyby najwięcej nawrzucać i dlaczego akurat Łajkowska? – zapytał podkomisarz Łoś i mrugnął do Jacka, lecz ten pozostał niewzruszony.

- Dlaczego uważa pan, że wskażę Ulkę?
- Nie wiem, czy pani wie, ale mój kolega detektyw – policjant wskazał na Przypadka – uważa, że ludzie są banalnie przewidywalni.
- Może i są. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ulka rzeczywiście coś tam miała do Kaliny, poszło im chyba o tego męża, co go tu poznała.
- Czyli miałem rację? – Podkomisarz znów się uśmiechnął, zerkając tryumfalnie na wciąż niewzruszonego Jacka.
- Nie – zaprzeczyła Sekuła. – Najbardziej to jej nie lubiła Iwona Zawisza. Od czasu jak przegrała wybory na przewodniczącą klasy. Wszyscy chłopcy na nią głosowali, ale nas było więcej. A ona wtedy była najbogatsza, bo jej ojciec był w PRL prywaciarzem i miał firmę polonijną, co robiła kosmetyki. I potem Kalina zawsze była krok przed Iwoną, a teraz to nawet sporo kroków jest przed nią – zauważyła nie bez satysfakcji. – Niby się z nią trochę przyjaźniła, ale zawsze uważałyśmy, że gdyby tylko mogła, toby jej przegryzła gardło. A idąc do toalety, widziałam, że gdy niby poszła po ten swój telefon do samochodu, to wcale nie skierowała się do wyjścia, tylko do gabinetu Kaliny.

Iwona Zawisza patrzyła przez wielkie przeszklone okno na pierwszym piętrze willi na ogromny namiot, w którym w tej chwili bawili się goście zaproszeni na ostatnie z urodzin Kaliny. Wiedziała, że nigdy jej nie będzie stać na coś podobnego, ponieważ taka impreza musiała kosztować około miliona. Dla Bilskiej wydanie takiej kwoty było w zasadzie niezauważalne. Dla Zawiszy byłyby to już spory uszczerbek w majątku.

Zresztą nie o same pieniądze chodziło. Przynajmniej nie bezpośrednio. Kalina dzięki swojej fortunie i sponsorowaniu różnych przedsięwzięć znała się z tyloma ważnymi osobami, że było jasne, iż żadna z nich nie odmówi wzięcia udziału w jej imprezie. Zawisza wprawdzie też znała kilku aktorów i biznesmenów, ale i tak w żaden sposób nie mogła się równać z Bilską. Dlatego szefowa firmy kosmetycznej nawet nie próbowała urządzać hucznych urodzin, bo i tak wyglądałaby przy multimilionerze jak uboga krewna.

Była jednak pewna, że w przyszłym roku wszystkie koleżanki przyjdą do niej. Nie, nie będzie się ścigała z Bilską. Nie ma sensu wydawać pieniędzy na tę całą otoczkę ze znanych ludzi. Od dawna wiedziała, że zrobi to inaczej. Wynajmie jakieś luksusowe spa, zaprosi tam wszystkie dawne koleżanki, a do ich obsługi zatrudni półnagich, fantastycznie zbudowanych kelnerów. Tak żeby to one były królowymi na tej imprezie, a nie dodatkiem do tych sławnych i znanych imbecyli, którzy krążyli po sali.

Sama najchętniej też by nie przychodziła na urodziny Kaliny. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, co by powiedziały inne. Że to z zazdrości, że Bilską stać na wszystko, a jej, Zawiszy, nie. A przecież kiedyś było inaczej. Rodzice Kaliny to byli skromni ludzie, wykładowcy na SGPiS, czyli późniejszej SGH. Ale za czasów PRL to nie była żadna synekura, co najwyżej trochę lepiej płatna niż pozostałe posady na uniwersytecie. Dopiero po przełomie okazało się, że jej rodzice mają tyle świetnych kontaktów z nowymi biznesmenami, że Bilską błyskawicznie zaczęła zbijać majątek.

Jednak w liceum tylko chrząniła, w ślad za rodzicami, jakieś socjalistyczne bzdury o ekonomii, która się wkrótce będzie opierać wyłącznie na kobietach. Nawet ojciec Iwony, słysząc to, mówił, że przypomina mu się jego młodość, kiedy z powagą wykrzykiwał hasła „Kobiety na traktory”. Niestety, Kalina imponowała koleżankom, które były wpatrzony w nią jak w obrazek. I dopiero śmierć Jolki Kasperec je otrzeźwiła...

Z imprezowego namiotu stojącego naprzeciwko okna ktoś wyszedł. Nie było w tym nic dziwnego. Sporo osób opuszczało na chwilę miejsce zabawy, żeby zapalić albo porozmawiać w spokoju. Nagrzany namiot obok i ostonięcie od wiatru sprawiały, że temperatura sięgała tu nawet kilkunastu stopni i nie czuło się letniego chłodu. Dlatego również w wieczorowym stroju można było wytrzymać spokojnie kilkanaście minut, z czego goście skwapliwie korzystali. Lecz zwykle była to grupka kilku z nich lub co najmniej dwie.

Ta osoba była jednak sama. Stała obok drzewa i oparła się o nie. Zawisza otworzyła usta ze zdziwienia i wpatrywała się w nią, nie bardzo wierząc własnym oczom. Wprawdzie już dawno zapadł zmrok, ale ogród oświetlało mnóstwo lampionów, więc mogła się przypatrywać samotnej osobie bez problemu. W końcu zamknęła na moment powieki, a gdy je otworzyła, pod drzewem nie było już nikogo. Za to jej ręka, którą oparła się o szybę, cała drżała, niemal wprawiając szkło w wibracje. Iwona odetchnęła głęboko, żeby się opanować.

„Spokojnie, duchów nie ma, wiesz to przecież dobrze. Duchy po prostu nie istnieją, koniec. Możesz mieć tylko jakieś głupie wyrzuty sumienia, ale to niepotrzebne, to przecież nie twoja wina. Nie mogłaś nic zrobić, to się po prostu stało” – przekonywała swoją kończyńę, która jednak uparcie drżała. Zupełnie tak jak pół godziny wcześniej, kiedy Zawisza wyszła z gabinetu Bilskiej, trzymając w dłoni mały damski pistolecik...

Kobieta wzięła jeszcze jeden głębszy oddech i odwróciła się w stronę pokoju. Przy drzwiach stał wciąż starszy aspirant Smańko, pilnujący, żeby ze sobą nie rozmawiała. Łąjkowska siedziała na fotelu i najwyraźniej się nudziła, patrząc tylko czasem na Grzeszczyk, która wciąż piła.

Do pokoju weszła Sekuła. Nie spojrzała nawet na pozostałe, tylko podeszła do Zawiszy i patrząc na nią ze złośliwym uśmiechem, powiedziała:

– Teraz twoja kolej.

Pan Jędrzej Sakowicz uprzedził dziś żonę, że wróci nieco później, jednak godzina dwudziesta nie mieściła się w tym pojęciu, bo dla pani Heleny była niczym środek nocy. Przynajmniej jeśli chodziło o jej męża, który przez wszystkie lata ich pożycia nie wrócił nigdy po godzinie dziewiętnastej. A dziś otworzył furtkę ich domu o dwudziestej minut trzy!

Na dodatek było widać, że jest poważnie zmartwiony i zamyślony, jakby miał do rozwiązania nie lada problem. Nawet swój płaszcz umieścił na wieszaku, którego zwykle był używać do kapelusza, a gustowne borsalino powiesił na miejscu jesionki. Gdy zaś pani Helena zapytała go, czy się dobrze czuje, odparł:

– Można tak powiedzieć.

– Co można powiedzieć?

– Że się dobrze czuję – odrzekł pan Jędrzej i podreptał do swojego gabinetu.

Tam zajął się pracowitym nabijaniem fajki, przy czym robił to bardzo mechanicznie i nieopatrznie razem z tytoniem ugniół w cybuchu kawałek folii i papierowych paproszków. Dlatego gdy ją zapalił, fajka buchnęła na moment płomieniem. Pan Jędrzej jednak się tym nie przejął, spoglądał tylko z pewnym zdziwieniem na to zjawisko, a gdy znikło, spokojnie odłożył fajkę i usiadł. Tego już było za wiele dla pani Heleny, która od chwili rozpoczęcia procesu o kamienicę przy ulicy Olbrachta 102 drżała o swoich mężczyzn w równym stopniu.

– Jędrzej, powiedz, co ci jest – poprosiła łagodnie, choć w zwyczaju miała przemawianie do męża w tonie imperatywnym.

– Mam problem, duszko. Poważny problem.

– Przez tę kamienicę?

– Raczej przez to, że mój syn jest do mnie zupełnie niepodobny.

– Co znowu zrobił?

– Prowadzi tę sprawę w sposób najzupełniej dyletancki. Jeszcze na początku wspomagała go trochę ta jego współpracowniczka, ale ostatnio jakby zupełnie sobie odpuściła. Taka kompletnie rozkojarzona jest. A Błażejowi idzie niestety coraz gorzej. Żałuję, że cię posłuchałem i nie uparłem się, aby dać mu na imię Jędrzej, może dzięki temu byłby choć trochę do mnie podobny.

– Słowem, martwisz się, że wygrasz? – upewniła się pani Helena.

– Gdyby to tylko o wygraną chodziło. Ale to będzie jego zupełna klęska. To może zaszkodzić renomie Sakowiczów w ogóle. Jeśli się rozniesie, że ktoś z naszej rodziny ponosi tak sromotne klęski, może przecież ucierpieć moja kancelaria.

– Jakim cudem? Ty przecież wygrasz.

– No tak. Ale inny Sakowicz zostanie pokonany. Dlatego po raz pierwszy poważnie się zastanawiam, czy nie oddać jednak tej sprawy komuś innemu. Konsultowałem się nawet dziś z innymi kolegami mecenasami, ale to może nie być takie łatwe.

– Dlaczego?

– Jak wiesz, występuję poniekąd wspólnie z kancelarią mecenas Kellera. Powiedzieli, że absolutnie nie mogą się zgodzić na moją rezygnację, gdyż skomplikowałoby to bardzo wiele spraw i opóźniło nieuchronną porażkę Błażeja. Strasznie im zależy na czasie, choć przecież sama wiesz, że w gruncie rzeczy kancelariom raczej powinno się nie spieszyć do zbyt szybkiego sukcesu. Dlatego sam nie wiem, co mam zrobić. Ślub Błażeja zbliża się wielkimi krokami, a ja sprawię mu taki prezent.

– Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałeś.

– Przecież należałoby mu się ta nauka. Ale gdy przegra, to zostanie z niczym. Z tego, co się zorientowałem, on pracuje wyłącznie za pieniądze od sukcesu, ma dostać od tego profesora dwa mieszkania w tej kamienicy, jak wygra sprawę. A tak będzie miał problem z utrzymaniem się na rynku. Na dodatek zaraz mu się urodzi dziecko.

– Powtórzę: szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałeś. – Pani Helena była już lekko zniecierpliwiona. Sama w myślach ganiła się za naiwność i za to, że jeszcze chwilę wcześniej myślała, iż zmartwienia jej męża mogą być czymś poważnym.

– Duszko, powiedziałem ci, ta lekcja mu się należała. A żal powinnaś mieć do niego, że postąpił tak nieodpowiedzialnie, odchodząc z rodzinnej kancelarii i biorąc sprawę od klienta, który w gruncie rzeczy jest bezdomny i nie może mu zapłacić przy przegranej. Ja, choćbym nawet i przegrał... Co oczywiście jest niemożliwe... Ale choćby nawet, to i tak zarobię na tym procesie dużo pieniędzy.

– Zatem przegraj.

– Jak możesz, duszko? – W głowie pana Jędrzeja było tyleż pretensji, co niedowierzania.

– To wygraj.

– To chciałabyś, żebyśmy przegrał czy wygrał? – upewnił się pan Jędrzej.

– W tej chwili chciałbym jedynie, żeby ten proces wreszcie się zakończył. A jeśli jeszcze raz usłyszę, że macie zamiar stanąć przeciw sobie na sali sądowej, to daję słowo, że obaj mnie popamiętacie!

Właściwie mogła się tego po niej spodziewać. Sekuła to był zawsze wierny piesek Bilskiej. A Kalina lubiła ją najmniej ze wszystkich. Tak, wygrała z Zawiszą walkę o rząd dusz w klasie, lecz z pewnością wiedziała, że jej koleżanka nie czuje się zbyt przegrana. Też była bogata,

też mogła sobie na wiele pozwolić, choć może nie na tak huczne urodziny. Iwona czuła, że Kalina trochę się jej obawia, bo wciąż była silna. Dlatego po cichu czasem deprecjonowała ją w oczach dawnych koleżanek z klasy i posługiwała się przy tym Agatą. Lecz Zawisza nie spodziewała się, że Sekuła posunie się aż do takiego oskarżenia.

– Uważacie więc, że to ja ją zabiłam? – Spojrzała rozbawionym wzrokiem na detektywa i policjanta.

– Chcemy się tylko dowiedzieć, po co pani poszła za panią Bilską – oświadczył Jacek.

– Zułaszca że poszła pani rzekomo wziąć telefon z samochodu – doprecyzował Łoś.

– Nie rzekomo, tylko naprawdę. – Otworzyła torebkę i pokazała aparat.

– Jestem pewien, że był tam cały czas. A pani nie opuściła tej posiadłości. Pan podkomisarz sprawdził to już w komputerze ochrony.

– O ile to naprawdę policjant, a to nie jest mistyfikacja. – Zawisza spojrzała krytycznie na Łosia, który stracił nieco rezon i powiedział grzecznie:

– Mogę się wylegitymować.

– Nie trzeba. Za pieniądze Kaliny można kupić dowolne papiery na świecie. Przecież nawet jej zaproszenia drukuje Mennica Państwowa. Dlatego jeśli jestem oskarżona, to najpierw chciałabym się skontaktować z moim adwokatem. Inaczej nie będę odpowiadać.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się posłusznie Jacek. – Panie podkomisarzu, myślę, że mamy winną, czas zamknąć śledztwo i aresztować panią Zawiszę. I naturalnie wezwać jej do aresztu adwokata. – Spojrzała na Iwonę. – Mam nadzieję, że jest dobry, bo oprócz pani Sekuły również lokaj Jerzy potwierdził, że poszła pani za Kaliną. – Podkomisarz Łoś spojrzał na Przypadka zdziwiony, bo akurat z lokajem o tym nie rozmawiali, ale uznał, że nie powinien protestować, gdyż zauważył kątem oka, że przesłuchiwana nagle zbladła. – A na dodatek Kalina podejrzewała, że to właśnie pani chce ją zabić.

– Co?! Jak śmiała coś takiego powiedzieć?! – Iwona Zawisza zdenerwowała się nie na żarty.

– Wiedziała, że pani zawsze zazdrościła jej majątku...

– Nie miałam jej czego zazdrościć. Sama też jestem bogata!

– Ale nie aż tak.

– I co z tego? Zabiłam ją, bo ona jest warta pięćset milionów, a ja tylko pięćdziesiąt! Niech pan nie będzie śmieszny. Gdybym nawet chciała ją zabić, to wynająłabym mordercę, a nie szła przy wszystkich za nią do gabinetu i strzeliła jej prosto w skroń!

– A skąd pani wie, że ktoś zabił panią Bilską strzałem w skroń? – zainteresował się podkomisarz.

– Bo z pewnością nie usłyszała pani tego od nas. – Jacek pokiwał głową.

– Nie wiem... Ja tylko... Jestem niewinna!

– To proszę nam wyjaśnić, skąd pani to wie – nacierał policjant.

– Nie odpowiem już na żadne pytanie bez mojego adwokata!

– Oj, przyda się pani. Ale jeśli rzeczywiście jest pani niewinna, to radziłbym odpowiedzieć na nasze pytania. Bo dobry adwokat może i panią wybroni w sądzie, ale wcześniej będzie wokół sprawy mnóstwo smrodu. Gazety napiszą: „Zabiła najlepszą koleżankę z zazdrości”.

– To nie była moja najlepsza koleżanka. To w ogóle nie była moja koleżanka! Miałam jej dość! Wszystkie miałyśmy jej dość! Ale nie zabiłam jej.

– Sąd uwierzy. Za to ludzi w biznesie może to nie przekonać. Robić interesy z podejrzaną o morderstwo znajomej... I to jakiej znajomej. Kiepski pomysł.

– Pan wie, jak wiele osób jej nie cierpiało? A na te urodziny przychodzili głównie ze strachu, żeby się jej nie narazić. Tak, wiele osób starało się dostać tu zaproszenie. Ale to głównie celebryci, nie biznesmeni. Za to jak ktoś zaproszony nie miał zwolnienia lekarskiego, to była gotowa wydać sporo kasy, żeby potem uprzykrzyć mu życie.

– Pani też uprzykrzała?

– Powiedziałam, nie odpowiem więcej na żadne pytanie.

– No, dobrze. Panie podkomisarzu, myślę, że czas aresztować panią Zawiszę i zakończyć to przyjęcie. – Jacek spojrzął na Łosia, który najchętniej by zaprotestował, gdyż wiedział, że na razie mają za mało dowodów, by aresztować podejrzaną, ale zauważywszy porozumiewawcze mrugnięcie, przybrał na moment poważną minę i uznał, że nie będzie nic złego w tym, gdy wyciągnie z kieszeni kajdanki.

– Poczekajcie! – zaprotestowała Iwona Zawisza. – Nie przesłuchacie najpierw wszystkich nas?

– A po co mielibyśmy to robić, skoro mamy już podejrzaną? – zapytał z miną niewiniątka Przepadek.

– No bo... może dowiedzielibyście się czegoś ciekawego. I zmienili zdanie.

– Zmienić zdanie, proszę pani, możemy tylko wtedy, gdy pani nam coś powie. – Podkomisarz Łoś pokręcił w dłoni kajdankami i z satysfakcją zauważył, że kobieta wpatruje się w nie z niepokojem. Po chwili jednak sam siebie skarcił, gdyż przecież w jego mniemaniu poważny policjant nie powinien robić takich numerów, tylko postępować zgodnie z prawem.

– No dobrze. Ale w razie czego odwołam w sądzie te zeznania jako wymuszone – zastrzegła się Zawisza. – Naprawdę chciałam pójść po telefon. Ale gdy dochodziłam do wyjścia, zaczęłam grzebać w torebce, żeby znaleźć zaproszenie. Te urodziny są jak więzienie, nie można wejść ani wyjść bez tej smyczy. No i jak szukałam tej karty, okazało się, że mam telefon w bocznej kieszonce.

– To nie tłumaczy pani wizyty w gabinecie Kaliny.

– Chciałam porozmawiać z nią na osobności o interesach. Drobiazg, ale pomyślałam, że trzeba go załatwić od razu. Chwilę wcześniej strzelały korki od szampanów, ale miałam wrażenie, że jeden ze strażów nie dobiegał z sali, tylko gdzieś z domu. Kiedy już byłam pod gabinetem, zobaczyłam, że ze środka wychodzi Kaśka Grzeszczyk. Była blada, bardzo zdenerwowana. Chyba mnie nie widziała. Pomyślałam, że może się pokłóciła z Kaliną. One się czasem kłóciły. Tak naprawdę Kaśka jedyna z nas się jej nie bała i potrafiła jej wygarnąć prosto w twarz, co o niej myśli. Zwłaszcza gdy wypija parę kieliszków. Nie podchodziłam do niej, bo ona po takiej kłótni wściekała się na wszystkich. Poczekalam, aż odejdzie. Weszłam do gabinetu i zobaczyłam Kalinę, jak leży na biurku. Z dziurą w skroni.

– To bardzo interesująca wersja – stwierdził Jacek. – Pozostaje tylko pytanie, dlaczego pani wtedy nie wezwała policji i nie zaalarmowała ochrony.

– Bałam się, że to Kaśka. A Kalina... Kalina zniszczyła życie większości z nas. Swoimi dobrymi radami. Nie cierpiałam jej. Ale nie zabiłam.

Starszy aspirant zazdrościł lokajowi Jerzemu, siedzącemu w tej chwili w korytarzu między pokojem, w którym odbywały się przesłuchiwania, a tym, w którym policjant pilnował podejrzanych. Jego rola ograniczała się jedynie do zerknięcia na nie w chwili, kiedy Smańko przyprowadzał i odprowadzał panie z biblioteki, w której urzędowali podkomisarz Łoś i detektyw Przepadek.

Zazdrość starszego aspiranta brała się stąd, że miał poczucie, iż nie do końca wywiązuje się ze swoich obowiązków. Wprawdzie podejrzone nie zamieniły ze sobą ani słowa i pozostawały od siebie w bezpiecznej odległości, ale Kaśka Grzeszczyk usadowiła się zdecydowanie zbyt blisko butelki. Smańko, musząc zerkać na wszystkie, przegapił moment, w którym pełna niemal karafka z bourbonem została całkowicie opróżniona. Policjant rozglądał się nawet naokoło podejrzonej, szukając mokrej plamy świadczącej o rozlaniu się ciemnopomarańczowego płynu, gdyż nie mógł uwierzyć, że taka ilość alkoholu mogła zostać wchłonięta w tak krótkim czasie przez tę drobną w sumie kobietę.

„Może ma taką mocną głowę? – zastanawiał się z nadzieją starszy aspirant. – Wzrok ma bystry i nie wygląda na pijaną... Dobrze, że pozostałe butelki nie stoją obok niej, tylko na szafce koło kominka.”

Grzeszczyk złowiła spojrzenie starszego aspiranta i sama skarciła siebie za to, że wypija zbyt dużo alkoholu. Ale zawsze piła, najwięcej w okolicy urodzin Kaliny. Najpierw zżerał ją stres, że spotka się z koleżankami, które zaszły dużo dalej niż ona z tym swoim zakładem fryzjerskim. Potem, już na samym przyjęciu, chciała się po prostu wyluzować, żeby o tym nie myśleć. A przez dwa tygodnie po imprezie sięgała po kieliszek, zastanawiając się, co o niej plotkowały. Dopiero później dochodziła do wniosku, że ma to wszystko w dupie i że lubi swoje życie fryzjerki. I nieważne, że jest absolwentką prestiżowego Liceum Królowej Marysienki. Zresztą po dziś dzień żałowała, że zdecydowała się iść do tej szkoły. Tak naprawdę jedyną fajną dziewczyną była Jolka Kasperec, której ta larwa Kalina niszczyła życie. I dlatego kiedyś musiała za to zapłacić.

Grzeszczyk spróbowała podnieść się na fotelu i od razu poczuła, jak bardzo kręci jej się w głowie.

„Cholera, po co ja tyle piłam? – zganiła się po raz kolejny w myślach. – Wszystko ode mnie wyciągną, będę zeznawać jak na spowiedzi. – Realnie oceniła wzrost własnej prawdomówności po alkoholu. – Nie mogę im nic powiedzieć! Gdybym była trzeźwa, na pewno od razu coś bym wymyśliła. Ale tak? Szkoda gadać. Cholera, po co ja tyle piłam?!” – powtórzyła.

Tak naprawdę dobrze wiedziała, dlaczego tak się stało. Wiele razy wyobrażała sobie, że kiedy zobaczy w końcu Kalinę martwą, poczuje ulgę. Setki razy zabijała ją w myślach na tysiące przeróżnych sposobów. Widziała ją uduszoną gołymi rękoma, powieszoną na żyrandolu, rozjechaną przez samochód, utopioną w jeziorze, w postaci mokrej plamy na placu Defilad po wyrzuceniu z najwyższego piętra Pałacu Kultury. Co innego jednak wszystko to sobie jedynie wyobrażać, a co innego zobaczyć nieruchomą twarz Kaliny leżącą na biurku w gabinecie, z niewielką dziurką przy skroni.

Nie, nie może się do tego przyznać. Musi coś wymyślić, zanim zaczną ją przesłuchiwać. Tylko po co tyle piła... Właśnie, piła! Jest wprawdzie kompletnie pijana, ale wciąż może mówić. A zatem trzeba zrobić wszystko, żeby stało się to już zupełnie niemożliwe.

Spojrzała na stolik obok siebie i ze smutkiem zauważyła, że nie stoi już na nim żadna butelka. Za to na półeczce obok kominka była tacka, na której lśniły śliwowica, whiskey i zwykła wódka. Wszystkiego tego było aż nadto, żeby po wypiciu padła bez przytomności na podłogę. Pozostawał tylko problem, jak dostać się do tego miejsca, gdzie czekało na nią ocalenie.

Grzeszczyk uniosła się lekko z fotela i poczuła znów kręcenie w głowie. Tym razem jednak nie usiadła z powrotem, tylko wstała. Pomyślała, że nie jest tak źle, bo trzyma się prosto, a przynajmniej tak jej się wydawało. Następnie ruszyła w kierunku półeczki z alkoholami, powoli i dostojnie, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo jest już wstawiona. I gdy

wydawało jej się, że sukces jest już na wyciągnięcie ręki, świat zawirował dużo szybciej niż zwykle. Następnie poczuła piekący ból w nosie i straciła wzrok. Tak w każdym razie sądziła, gdyż nic nie widziała, tylko usłyszała zaniepokojony głos policjanta:

– Nic pani nie jest?

– Absolutnie nic – wybełkotała tak niewyraźnie, że sama z trudnością siebie zrozumiała.

Następnie poczuła nagłe szarpnięcie do góry i wzrok powrócił.

Smańko, który przed chwilą podniósł kobiety z podłogi, patrzył na nią lekko przerażony.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Oczywiście. Zaschło mi tylko trochę w gardle, dlatego postanowiłam się napić. Co się właściwie stało?

– Potknęła się pani i upadła na twarz – wyjaśnił Smańko, który zaczął prowadzić fryzjerkę w kierunku fotela. Nie był to upragniony przez nią kierunek, dlatego zaprotestowała.

– Pić mi się chce! – oświadczyła, pokazując wymownie ręką w stronę półeczki z alkoholami.

– Już dosyć pani dzisiaj wypija – stwierdził stanowczo policjant, sadzając podejrzaną na fotelu.

– Nie ma mowy! Ja chcę pić! – zażądała fryzjerka. – To jest stosowanie tortur! Pomóżcie mi! – zwróciła się do koleżanek. Nim jednak zdążyły one zareagować, w drzwiach pokazała się Iwona Zawisza i spojrzała w kierunku Kaśki Grzeszczyk, mówiąc:

– Teraz ty.

Podkomisarz Łoś patrzył uważnie na Przypadka. Znał go od ponad dwóch lat i choć nie była to może zbyt zażyła znajomość, to jednak sporo mógł o nim powiedzieć. Pamiętał jego reakcje na pierwszego trupa, którego ten zobaczył w Orient Espresso. Detektywowi ewidentnie zrobiło się niedobrze i była to jedyna chwila, gdy zrzucił przy policjancie swoją ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwą maskę. Teraz jednak cały czas miał ją na twarzy. Czyżby się przyzwyczaił? Wprawdzie od tego czasu dopadł paru drani, ale żadnego trupa już nie widział. Aż do dzisiaj.

I te pytania, które zadaje podejrzanym! Brak w nich jego zwyczajowej złośliwości, przekory, chęci ośmieszenia rozmówcy. Ba, podkomisarz odniósł wrażenie, jakby im trochę kibicował, a mordercy szukał coraz bardziej z obowiązku niż z chęci dowiedzenia się prawdy. A może on tak tylko udaje? Tak, Przypadek chyba znów musi coś kombinować, czuł to od początku. Tylko co?

– Myśli pan, że to ta Grzeszczyk zabiła? – zapytał Łoś po chwili milczenia.

– Może i tak.

– Gdy tak na nie wszystkie popatrzę, to ona wydała mi się najsympatyczniejsza. Oczywiście, pozory mogą mylić. Ale ta Zawisza wygląda mi na manipulantkę i kłamczuchę.

– Nawet jeśli mówi prawdę, to Grzeszczyk mogła tak samo zastać panią Bilską już martwą. I tak samo uznać, że zrobiła to któraś z koleżanek, więc nie ma sensu wołać o pomoc.

– Tak pan myśli? – zdziwił się podkomisarz. – Wygląda na to, że tak naprawdę średnio się lubią. To po co nagle miałyby siebie kryć? Zresztą same wskazują nam kolejne podejrzanę.

– Tylko po to, żebyśmy ich samych nie podejrzewali. A kryją siebie nawzajem, gdyż wyglądają na to, że każda z nich chciała Bilską zabić.

– Na może poza tą Łajkowską, bo ona już od trupa pieniędzy nie pożyczę...

Drzwi biblioteki się otworzyły i do środka weszła Katarzyna Grzeszczyk. Chociaż słowo weszła nie było tu najodpowiedniejsze. Została bowiem raczej wprowadzona. Nie, nie

stawiała oporu, w tej chwili nie byłaby do tego zdolna. Tak jak i do chodzenia, dlatego musiała się wspierać na opiekuńczym ramieniu starszego aspiranta, z drugiej strony podtrzymywana przez lokaja Jerzego.

– Smańko, co to ma znaczyć?! – zdenerwował się Łoś.

– To nie moja wina, panie podkomisarzu. Musiałem patrzeć na wszystkie. A ona tak siedziała i tylko sobie dolewała. Dopiero jak wstała i się przewróciła, zobaczyłem, że jest pijana – tłumaczył się starszy aspirant, ale widząc wściekły wzrok podkomisarza, wycofał się i opuścił pokój razem z lokajem.

– Ja nie jestem pijana – zaznaczyła stanowczo Grzeszczyk. – Ja po prostu mam świetny humor! W końcu ta fajza nie żyje!

– Biorąc pod uwagę sytuację, nie przyznawałbym się do tej radości tak chętnie – zauważył Przypadek.

– Bo co? Chyba pan mnie nie podejrzewa?

– Była pani widziana, jak wychodziła z pokoju, gdzie leżała już martwa pani Bilaska.

– Kto mnie widział? – Grzeszczyk może nie wytrzeźwiała w zupełności, ale na pewno jej wzrok stał się bystrzejszy.

– Mniejsza o to – stwierdził podkomisarz Łoś. – Teraz jest ważne, jak pani to wytłumaczy.

– Nic nie zrobiłam. Ona już nie żyła!

– I nie zawiadomiła pani nikogo, bo myślała, że zrobiła to któraś z koleżanek? – podpowiedział jej Przypadek, a policjant spojrział na niego karcąco.

– No tak – odpowiedziała wdzięczna za pomoc.

– A dlaczego tak pani pomyślała? – natarł na nią Łoś. – Przecież tu się kręci mnóstwo osób.

– Po prostu... Czułam, że któraś z nas to kiedyś w końcu zrobi. Ona zniszczyła życie wielu z nas. Zastugiwała na to.

– Może więc pani postanowiła dać jej to, na co zasługiwała? – dopytywał się policjant.

– Powinnam. Ale nie nadaję się na mordercę. Ja nawet muchy nie skrzywdzę.

– To po co pani poszła do gabinetu Bilaskiej?

– Miałam ochotę jej trochę nawrzucać...

– Za co? – zainteresował się Przypadek.

– Odezwwał się do mnie brat Jolki. Że cały czas przychodzą do niego zaproszenia dla siostry na te urodziny. W zeszłym roku już mówiłam Kalinie, żeby ich nie wysyłała, bo się rodzina tylko denerwuje. A ona znów je wysyłała. Chciałam na nią nakrzyczeć, że jeśli jeszcze raz to zrobi, to... – Grzeszczyk urwała.

– To co? – dopytywał się podkomisarz.

– To ją chyba następnym razem zamorduję. Powieszę albo utopię! Albo uduszę! – Z przerażeniem słuchała własnych słów, ale nie potrafiła się powstrzymać od ich wypowiedziania. A przecież tak dobrze jej szło i wcześniej nie powiedziała niczego niepotrzebnego. Musi znów wziąć się w garść! Ledwie to jednak pomyślała, wypaliła: – Albo zastrzelę!

– I postanowiła pani od razu to zrobić?

– Nic nie zrobiłam! Ona już nie żyła. Słowo.

– Jakoś mnie pani nie przekonała. – Podkomisarz odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że najbardziej podejrzana jest zaledwie właścicielką zakładu fryzjerskiego, a więc nikim ważnym, o czyje aresztowanie ktoś będzie miał pretensje. – Chyba będzie pani musiała wynająć dobrego adwokata, prawda, panie detektywie? – zwrócił się do Przypadka.

– Dajmy jeszcze pani szansę. – Jacek się uśmiechnął. – Jestem dziwnie pewien, że coś jednak pani usłyszała, zanim weszła do gabinetu Kaliny.

– Skąd pan wie?

– Inaczej by pani tak łatwo nie podejrzewała którejs z swoich koleżanek i nie chciała jej ukopywać wszczynaniem alarmu.

Podkomisarz spojrzał na kobietę, która straciła cały dobry humor towarzyszący jej przy wejściu do pokoju przesłuchań.

Teraz oblizywała lekko spierzchnięte wargi, jakby kac po wypitym w pośpiechu alkoholu przyszedł równie szybko.

– No, powie nam pani coś, czy mam wyjąć kajdanki?

– Widziałam Ulkę. – Grzeszczyk spuściła wzrok, jakby nie chciała prosto w oczy donosić na koleżankę. – Wchodziła do gabinetu. Byłam ciekawa, co chce powiedzieć Kalinie. Myślałam, że już się nigdy nie pojawi na jej urodzinach. Dlatego fakt, przyłożyłam ucho do drzwi. Kłóciły się. Ulka chciała dostać pożyczkę. A Kalina powiedziała, że da jej pieniądze, jeśli Ulka zostawi swojego faceta, bo to przez niego ich firma wpadła w długi. Wiedziała wszystko o nas. Jakby wynajęła jakąś agencję detektywistyczną, która nas miała cały czas śledzić. Ulka się wkurzyła i powiedziała, że to nie wina faceta, tylko... Coś tam tłumaczyła, słabo to rozumiałam.

– A potem usłyszała pani strzał?

– Nie. Po prostu odeszłam. Miałam wrażenie, że zaraz wyjdą, więc nie chciałam, żeby mnie nakryły. A wróciłam kilka minut później, gdy zobaczyłam, że Ulka już idzie przez salę...

Łajkowska patrzyła na koleżanki z nutką nostalgii, ale bez szczególnych emocji. W myślach już dawno się z nimi pożegnała i sądziła, że więcej ich nie zobaczy. To znaczy miałyby na to ochotę, gdyby na tym spotkaniu zabrakło Kaliny. Ale Biłska nie pozwoliłaby na to. Gdyby tylko dowiedziała się, że spotykają się w szerszym gronie, zrobiłaby wszystko, aby się tam znaleźć. Tak, dwie naraz, góra trzy jeszcze mogłyby się spotkać. Gdyby jednak były na tym spotkaniu już cztery, to byłaby i piąta. Kalina Biłska. Bo któraś z tych czterech na pewno by jej doniosła.

Teraz Łajkowska oglądała twarze koleżanek, spokojnie czekając na swoją kolej przesłuchania. Myślała nawet, że może zrezygnują z zadawania jej pytań. Miała przecież żelazne alibi.

Przyjechała tu pożyczyc pieniądze i nie zdążyła tego zrobić. Teraz będzie się musiała obyć bez nich...

Zabawne, ale to była pierwsza rzecz, o której pomyślała, kiedy była już pewna, że dziura w skroni Kaliny nie zniknie w magiczny sposób. Nie potrafiła jej żałować, tylko przez głowę od razu jej przemknęło, że już nie pożyczyc od niej pieniędzy. A potem jeszcze miała ochotę ją kopnąć. Nie zdążyła, bo ktoś zapukał do drzwi. Wtedy trochę spanikowała i wychodząc przez okno, zapomniała zabrać pistolet. Jeśli policja ją podejrzewa i weźmie odciski jej palców, mogą być kłopoty. Zawsze wprawdzie mogła powiedzieć, że wzięła go do ręki niechcący, przecież w gabinecie Kaliny nie mogło być kamery, która nagrałaby, jak Ula celuje w jej głowę. Inaczej dawno by ją aresztowali. Ale i tak mogliby jej nie uwierzyć. Dobrze, że miała to żelazne alibi i nie powinni jej podejrzewać...

No właśnie, ciekawe, którą teraz najbardziej podejrzewają? Może Agatę? Byłoby zabawnie. Zawsze przecież uważały ją za największą wtykę Biłskiej. Kiedy powiedziała o tym zabiciu Kaliny, większość z nich nawet pomyślała, że to jakaś głupia prowokacja. Chociaż głośno śmiały się wszystkie.

A może podejrzewają Iwonę? Już pewnie się dowiedzieli, że ona zawsze zazdrościła Kalinie. A teraz wygląda na bardzo zdenerwowaną. Znowu odwróciła się blada od okna. Zupełnie jak kilka minut temu. Czyżby szukała jej wzrokiem? Chyba chce jej dać coś znać. I to tak, żeby ten pilnujący ich policjant tego nie zauważył. Przywołuje ją do siebie?

Łajkowska wstała i powoli ruszyła w kierunku Zawiszy. Nie uszło to uwadze starszego aspiranta, który uważnie śledził każdy jej ruch. Kiedy Ula była już przy Iwonie, ta szepnęła do niej tylko:

– Wyjrzyj...

– Proszę ze sobą nie rozmawiać! – odezwał się surowo Smańko.

– Ja nic nie mówię – zaprotestowała Zawisza. – Chciałam tylko, żeby koleżanka wyjrzała przez okno. Na piękny ogród.

– Widziała go już wiele razy. – Policjant spojrzał na Iwonę podejrzliwie.

– Nie była tu dawno. Wiele się zmieniło – oświadczyła Zawisza i odwróciła się do Łajkowskiej. – Spójrz pod ten kasztan, jaki piękny.

– Proszę niczego nie sugerować podejrzanej! – Smańko zrobił groźną minę. Wprawdzie nie rozumiał, co tak naprawdę miała na myśli Zawisza, jednak przeczuwał, że za jej słowami kryje się jakiś szyfr. Przecież nie tylko miał pilnować ich przed sobą, żeby się nie pobili, ale także zwracać uwagę na to, czy nie są w zмовie. Mogły przecież wspólnie zaplanować to całe morderstwo.

– To już jestem podejrzana?! – oburzyła się głośno Zawisza, pokazując jednocześnie dyskretnie Łajkowskiej, żeby wyjrzała przez okno.

– To znaczy... Wszystkie panie są podejrzane! – powiedział policjant. Zerknął pod kasztan, ale nie zobaczył tam absolutnie nic. Na wszelki wypadek jednak zażądał: – I proszę odejść od tego okna!

– No właśnie, gdzie się tak gapiacie?! – Do pokoju weszła przed chwilą Kasia Grzeszczyk i spojrzała na Łajkowską. – Teraz ty, Ulka.

Fabrizio Cavanelli, jak każdy przeciętny Włoch, miał poczucie, że męskość, której był posiadaczem, sięga co najmniej szczytu Mount Everestu. Z tego powodu przy nim nic i nikt nie ma prawa rozpraszać jego partnerki, gdyż powinna być ona skupiona wyłącznie na nim. Dlatego też od pewnego czasu stawał się coraz bardziej rozczarowany kolejnymi spotkaniami z mecenas Kolską, bo nic w ich trakcie nie układało się tak, jak powinno. Dawniej, gdy tylko rozpiął guziki jej ubrania, czuł drżenie całego ciała. Teraz miał wrażenie, że wszystko od początku do końca stawało się dla Marzeny wyłącznie rytuałem niewzbudzającym w niej większych emocji. I nie pomagało, że Fabrizio starał się coraz bardziej, sięgając wyżyn swoich możliwości.

Dla pana Cavanelliego pocieszeniem nie była też świadomość, że to nie on jest winien tej sytuacji, że jej przyczyna jest absolutnie zewnętrzna. Być może humor poprawiłaby mu wiadomość, że to kłopoty w pracy sprawiają, iż mecenas Kolska w trakcie spotkań z nim jest wyraźnie rozproszona. Albo że Marzena straciła kóregoś z rodziców. Dużo lepiej czułby się również, gdyby na przykład dotknęła ją śmiertelna choroba. Lecz nie był w stanie zaakceptować, że przyczyna kryzysu w ich związku tkwi w innym mężczyźnie!

– Przestań czytać te idiotyczne gazety! – zirytował się w końcu szef koncernu tytoniowego Super Tobacco, a gdy wykrzykiwał w ojczystym języku swoje żądanie, machał przy tym intensywnie rękoma, co sprawiało, że jego reakcja była jeszcze bardziej włoska. –

Przecież tam same głupoty piszą! – Ze złością zrzucił ze stolika kilka kolorowych pisemek wydrukowanych na bardzo cienkim papierze.

– A odkąd to znasz polski na tyle, żeby cokolwiek przeczytać?

– Na całym świecie w takich gazetach piszą wyłącznie głupoty. Nie wiem, po co w ogóle to czytasz – skłamał Włoch, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, co jest powodem zainteresowania Marzeny.

– Tylko przeglądam...

– Cały czas przeglądasz, czytając o tych głupich urodzinach Bilskiej. Przecież mogliśmy tam pójść. Miałem zaproszenie, chciałem nawet iść.

– Nie miałam ochoty.

– To po co cały czas o tym czytasz?!

– Fabrizio, darujmy sobie podchody. Przecież wiesz, że interesuje mnie Jacek.

– I jeszcze mi się do tego bezczelnie przyznajesz!

– Wolałbyś, żebym cię okłamywała?

– Nie, wolę, abyś mi w kółko powtarzała, że w trakcie naszych spotkań najbardziej interesuje cię były narzeczony – prychnął sarkastycznie.

– Fabrizio, już dawno ci to wyjaśniłam. Były, owszem, ale udawany narzeczony. A martwię się o niego, bo nikt inny tego nie robi. I widzę, że dzieje się z nim coś bardzo niedobrego.

– A jeśli nawet, to co? Co cię to obchodzi? Skoro tylko udawaliście...

– Ale naprawdę bardzo go lubię. I żal mi go, że się tak pogubił. – Wskazała na jeden z artykułów w kolorowym piśmie: „Słynny detektyw rezygnuje z pracy i przechodzi na utrzymanie jednej z najbogatszych Polek! Czy będzie ozdobą jej urodzin?”

– A może się nie pogubił? Może jest mu dobrze? Świetnie się bawi?

– Nie. Jest kompletnie zagubiony. Jestem tego pewna.

– Przecież ma rodzinę, ojca, matkę...

– No pewnie, według ciebie rodzina jest dobra na wszystko! – Wybiła ostatnie słowa, naśladując słynny gest Marlona Brando z *Ojca chrzestnego*. Doskonale wiedziała, że to go zirytuje, ale taki właśnie chciała wywołać efekt. Fabrizio, zwykle uśmiechnięty, często mrużący zabawnie oczy, gdy gubił swoje szkła kontaktowe, w jednej chwili przybrał minę surową i nad wyraz poważną.

– Prosiłem cię, żebyśmy o tym nie rozmawiali. Możesz to dla mnie zrobić?

– Mogę. Ale zapomnieć o tym nie mogę. I mam wrażenie, że przez to stoimy w miejscu, a nasz związek prowadzi donikąd.

– Zrywasz ze mną? – Fabrizio uniósł wysoko brwi. Wprawdzie sam uważał, że na dłuższą metę on i Marzena nie mogą być razem, ale był pewien, że ona będzie z nim do ostatniej chwili, do której to będzie możliwe. A jeśli rozstanie w końcu nastąpi, to wyłącznie za obopólną zgodą, co oznaczało, że to on powiadomi ją o konieczności rozstania ze względu na przeniesienie do filii koncernu w Moskwie.

– Nie. Po prostu sądzę, że nie mamy przed sobą żadnej przyszłości, więc szkoda dłużej tracić czas w teraźniejszości.

Podkomisarz Łoś od razu zauważył, że Łajkowska jest dużo bardziej zdenerwowana niż półtorej godziny temu. Była blada, głos jej się trząsł, kiedy odpowiadała na pytania. Czyżby wiedziała, że jej alibi zupełnie się posypało? Całkiem możliwe. Tylko dlaczego nie zdenerwowała się bardziej, gdy Przypadek oświadczył, że wiedzą o jej rozmowie na temat

pożyczki? Uniosła tylko brew w lekkim zdumieniu i odpowiedziała dużo spokojniej niż wcześniej:

– To kłamstwo. Nie wiem, kto to panu powiedział, ale to wierutna bzdura.

– Więc twierdzi pani, że nie rozmawiała z panią Bilską o pożyczce?

– Absolutnie nie! Tak, miałam o tym pogadać, ale później. Najpierw chciałam trochę poudawać, jak dobrze się bawie, a dopiero potem poprosić ją o kasę. – Krótka chwila spokoju zniknęła z oblicza Łajkowskiej.

– Myślała pani, że ona się nie domyśli, iż przyjechała pani na jej urodziny tylko po pieniądze? – Jacek uśmiechnął się powątpiewająco. – Powiedziała mi kiedyś, że kogoś, kto chce tylko jej pieniędzy, wyczuje na kilometr.

– Gównu mnie to obchodziło. Ale nie chciałam od razu prosić. Tak, było mi trochę głupio. Ale wiedziałam, że i tak mi pożyczę.

– Bez żądania, że pogoni pani męża? – zdziwił się Łoś, który w trakcie przesłuchań też już niezłe zdążył poznać charakter denatki.

– Właśnie dlatego by dała. Jestem w trakcie rozwodu. Chciałam tylko rozdzielić majątek i zacząć życie od nowa. To by się jej spodobało. Zawsze mówiła, że będę żałować tego ślubu.

– I chyba miała rację? – zapytał Przypadek.

– Gównu nie miała. Oczywiście, powiedziałabym jej, że tak, owszem, miała rację, i takie tam bzdury. Lubiła być najmądrzejsza i zawsze stawiać na swoim. Na pewno zaczęłaby wygłaszać te swoje teorie, że współczesna kobieta nie powinna się wiązać na stałe z facetami, bo to średniowieczny zabobon. Współczesna kobieta powinna być wolna i niezależna od nikogo. Uwielbiała gadać takie pierdoły. Była przekonana, że ma jakąś cholerną misję zbawienia świata od małżeństwa. Bo małżeństwo to element patriarchalnej dominacji nad kobietą – parsknęła pogardliwie.

– Kiedyś nawet uważałam, że ma rację. Dopóki nie spotkałam Jurka... Przez wiele lat byłam w nim zakochana, ale poznałam kogoś innego. I nic nie poradzę, że teraz nie mogę żyć bez tego kogoś innego. Rozwód jest z mojej winy. Muszę spłacić Jurka, żeby zachować stocznnię, i na to potrzebowałam pieniędzy. Oczywiście do tego bym się jej nie przyznała, boby mnie znów zaczęła pouczać, że wpadam z deszczu pod rynnę.

– Jedna z pani koleżanek powiedziała, że miała wrażenie, iż pani Bilka wynajmuje agencję detektywistyczną, by cały czas wiedzieć, co się u was dzieje.

– Wątpię. – Machnęła lekceważąco ręką. – Ona raczej dowiadywała się różnych rzeczy, rozmawiając z innymi. A ja żadnej się nie przyznałam do nowego faceta. Właśnie dlatego, żeby jej nie doniosły.

– A gdyby pani powiedział, że Kalina wiedziała o pani nowym mężczyźnie? – zapytał Przypadek z niewinnym uśmiechem.

– Jeśli to prawda, to trudno. – Łajkowska wzruszyła ramionami. – Najwyżej by mi nie pożyczyła kasy.

– Mówi pani tak lekko o czymś, co miało pani ratować skórę? – dopytywał się podkomisarz.

– Bez przesady. Najwyżej musiałabym przez jakiś czas prowadzić stocznnię z byłym mężem. Mało komfortowe, ale poradziłabym sobie.

– Szybciutko potrafi pani wymyślać te bajeczki. – Przypadek uśmiechnął się tak bezczelnie, że Łajkowska najchętniej wydrapałaby mu od razu oczy. Lecz zamiast tego spojrzała na policjanta.

– Jeśli pan mi nie wierzy, może pan to sprawdzić!

– Na pewno to zrobię... – Łoś chciał jeszcze coś dodać, ale Jacek wszedł mu w słowo.

– Ale wcześniej dobrze by było, gdyby pani nie przysparzała panu podkomisarzowi zbyt wiele pracy i podała ostateczną wersję. Bo przypomnę, że zaczęła pani od pożyczki, która miała uratować panią i męża od bankructwa, a teraz nagle miała służyć spłacie byłego męża. Na dodatek jej brak pani nie przeraża. To sprawia, że wracamy do pytania, po co pani tu tak naprawdę przyjechała.

– O co panu chodzi?

– O to, że coraz mniej wierzę w to, że przyjechała tu pani pożyczyc pieniądze.

– Szczerze mówiąc, mnie też pani nie przekonała – powiedział policjant. – I na pewno sprawdzę dokładnie pani wersję o pożyczce od denatki. A najpierw panią aresztuję...

– A jeśli powiem, kto wychodził z gabinetu Kaliny, gdy była już martwa?

– To jednak postanowiła pani wcześniej udać się po tę pożyczkę? – zauważył Jacek z uśmiechem.

– Rozumiem, że musi przesłuchiwać mnie policja, ale ten bawidamek nie ma prawa mnie pytać!

– Ma pani rację – przytaknął podkomisarz. – Ale ja mogę powtórzyć tylko jego pytanie. Przecież przedtem nie mówiła pani, że w ogóle zaglądała do jej gabinetu.

– Mówię, że wiem, kto z niego wychodził, gdy Kalina była martwa.

– Nie da się ukryć, że płacze się pani w zeznaniach – zauważył Przybadek. – Oczywiście, mnie nie musi się pani tłumaczyć, ale pan podkomisarz z chęcią by usłyszał, skąd pewność, że Kalina była martwa.

– Otóż to – potwierdził policjant. W zasadzie Łajkowska pasowałaby na winną. Niby ma tę stocznnię, ale to chyba niezbyt dochodowy interes, w dodatku dzielony z mężem. Położony daleko od Warszawy, więc nie ma w stolicy ważnych kontaktów. Zresztą pewnie rzeczywiście ma jakieś kłopoty finansowe i nie stać jej będzie na drogich adwokatów.

– Proszę nam to wyjaśnić, a potem powiedzieć, kto rzekomo wychodził z gabinetu pani Bilskiej.

Jerzy siedział nieruchomo w korytarzu oddzielającym trzy najważniejsze pomieszczenia tego wieczoru. Za jego plecami był pokój, w którym przebywały podejrzane pod troskliwą opieką starszego aspiranta Smańki. Po jego lewej ręce znajdował się gabinet Kaliny Bilskiej, w której znaleziono jej ciało, a naprzeciwko niego biblioteka, gdzie odbywały się przesłuchania. Jednak ich treść, ze względu na solidne drzwi, pozostawała dla kamerdynera tajemnicą.

Niespecjalnie go to zresztą interesowało. Gdy któraś z pań wchodziła bądź wychodziła z któregoś z pomieszczeń, starał się nadać swojej twarzy wyraz jeszcze większej obojętności. Tylko kiedy pozostawał na korytarzu sam, nie potrafił opanować delikatnego uśmiechu satysfakcji i radości z tego, że dla niego jest to już ostatnie przyjęcie urodzinowe. Wkrótce, zgodnie z umową, otrzyma solidną odprawę i będzie mógł przejść na zasłużoną emeryturę.

To prawda, praca u Kaliny Bilskiej nie była szczególnie niewdzięczna i przynosiła swoje zyski. Właściwie to była jego najlepsza pracodawczyni w całym życiu. A zaczynał w swoim fachu wyjątkowo wcześnie, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Wtedy partyjni kacykowie stracili resztki oporów, by bogacić się na potęgę. Gdy już dorobili się całkiem sporych domów, potrzebowali do nich służby. Niestety, jako nuworysze nie potrafili się odpowiednio zachować i Jerzemu z trudem przychodziło mówić do nich „proszę pana”, bo na usta cisnęło mu się raczej „proszę chama”.

Z czasem i oni krzepili w swoim majątku i stawali się mniejszymi prostakami. Jednak nawet Kalina Bilka była kimś, kto odstawał od przedwojennych wzorców, o których Jerzy

nasłuchał się od swojego dziadka służącego u samych Radziwiłłów. Cóż, ona też była pierwszym pokoleniem, które doszło do pieniędzy, a ze względu na swoje poglądy nie miała komu zostawić schedy. Nie považała przesadnie swojej służby i pewnie dlatego jako zdeklarowana feministka zatrudniała wyłącznie mężczyzn. Gdy nawet przy okazji niektórych imprez korzystała z firm zewnętrznych, zastrzegła, że podawać drinki i roznosić kanapki mogą tylko panowie. Mówiła o tym zresztą oficjalnie, twierdząc, że taki dobór personelu jest wyrazem walki ze stereotypami płciowymi, przypisującymi kobietom podrzędne i gorzej płatne stanowiska.

Jednak Jerzego – z powodu jego niebywałego profesjonalizmu – potrafiła docenić, czego wyrazem była owa specjalna premia, którą miał dostać po przejściu na emeryturę. Żałował nawet trochę, że premia się już nie powiększy. Choć z drugiej strony...

Był zmęczony. Miał już swoje lata, a praca coraz bardziej go nużyła i trudniej mu było zdobyć się na profesjonalną grzeczność. Znał swoje miejsce, lecz czasem miał ochotę powiedzieć coś przykrego chlebodawcy. Skutkiem tego byłoby odebranie premii, na którą zasłużył tyłoma latami nienagannej pracy. Dlatego gdy zobaczył Kalinę Bilską leżącą na blacie biurka z dziurą po kuli w głowie, nie potrafił w pierwszej chwili powstrzymać szerokiego uśmiechu. I pomyślał od razu, że właśnie ten widok będzie mu towarzyszył, gdy zobaczy na swoim koncie okrągłą sumkę, która pozwoli mu na spędzenie dalszych lat życia w komfortowych warunkach.

Agata Sekuła po przesłuchaniu zapadła się w fotel i nie reagowała na to, co się dzieje wokół. Nie zauważyła nawet, kiedy pijana Kaśka Grzeszczyk przewróciła się obok kominka. Trochę bardziej dotarła do niej kłótnia Zawiszy z policjantem. O co chodziło z tym oknem? Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? W tej chwili jest ważne tylko jedno. Że Kalina wreszcie nie żyje. I że ona się nareszcie od niej uwolniła.

Pamiętała, jak z trudem powstrzymała niemal histeryczny śmiech, kiedy wielka pani Bilska leżała przed nią martwa. Poczowała satysfakcję i ogromną chęć, żeby na wszelki wypadek przekręcić jej głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni i wreszcie odetchnąć z ulgą. Że już po wszystkim, że nie będzie musiała jej dłużej słuchać. Będzie wreszcie samodzielna i będzie mogła robić to, na co ma ochotę.

Jednak radość zamieniła się po chwili w przerażenie. Przecież od trzydziestu lat ktoś ją prowadził przez życie niemal za rączkę. To prawda, nieraz chciała tę rączkę przetrząść, wyrwać się, lecz kiedy się to właśnie udało, przyszła myśl: „I co dalej?”. Ma czterdzieści dziewięć lat. Jeśli pozna jakiegoś faceta, to albo będzie to bardzo wybrakowany towar, albo taki z odzysku. Nie wiadomo co gorsze. Obciążony dziećmiakami nie pomyśli, że ona też by chciała...

Bzdura! Czego mogłaby chcieć? W tym wieku nawet nie można adoptować dziecka. Przegapiła swoje najlepsze lata. Przy odrobinie szczęścia mogłaby już bawić wnuki, mieć wspaniałą, dużą rodzinę. Pragnęła jej od chwili, kiedy w wieku siedmiu lat ciotka przywiozła jej z wycieczki na Zachód piękną lalkę z domkiem. Bawiła się nią bez przerwy, marząc o takim domku, w którym będzie brykać kilka takich laleczek...

Gdyby nie poznała Kaliny... Nie, nie może jej winić. Co najmniej od piętnastu lat wiedziała, że Bilska nie ma racji, że popełniła błąd, słuchając jej. Ale tak bardzo się od niej uzależniła, że nie potrafiła tego przerwać. Inne zdążyły jeszcze mieć mężów, dzieci. A ona co? Jest dyrektorką przedszkola pełnego biegających maluchów, którym czasami ma ochotę zrobić coś bardzo, bardzo złego.

Spojrzała na Iwonę, która wciąż zerkała na okno, ale jakby bała się tam podejść. Może to wzrok Kaśki trzymał ją na miejscu. Czego ona mogła chcieć? Dobrze, że nie patrzyła na nią, bo może spokojnie tam podejść. Ledwo to jednak zrobiła i wyjrzała, już tego żałowała.

Odwróciła się w stronę pokoju. Grzeszczyk patrzyła na nią wściekła, Zawisza przyglądała się badawczo, a starszy aspirant Smańko poruszył się, jakby sam chciał podejść do okna. Dłatego Sekuła wiedziała, że musi coś zrobić, że będzie lepiej, gdy sama to powie. Wyrzuci z siebie to wszystko i poczuje ulgę. A potem... Niech się dzieje, co chce!

Ruszyła w stronę policjanta, lecz po kilku krokach się potknęła. Nie wiedziała, czy to Kaśka podstawiła jej nogę, czy może nie zauważyła rogu dywanu. Na szczęście podtrzymał ją starszy aspirant.

– Coś się pani stało? – zapytał Smańko.

– Ja... Ja... Chciałam się przyznać. To ja zabiłam Kalinę Bilską. Proszę mnie aresztować.

Przesłuchanie absolwentek Liceum Królowej Marysienki niewiele wniosło do sprawy. Dla podkomisarza Łosia w tej chwili wszystkie kobiety były na równi podejrzane. Na dodatek Przypadek nie kwapił się do podzielenia się swoimi przemyśleniami, tylko uważnie studiował listę gości, którą przyniósł mu przed chwilą szef ochrony.

– Myśli pan jednak, że to nie koleżanka ją zabiła? – zapytał policjant, a detektyw tylko skrzywił się w grymasie, który mógł oznaczać zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie. – Co pan właściwie o nich sądzi?

– No cóż, same kobiety sukcesu i każda z poczuciem życiowej porażki. A pan ma jakąś koncepcję?

– Ostatnio czytałem trochę klasyki. Wie pan, Christie i te sprawy.

– Aha, zatem podejrzewa pan lokaja. Przyznam, że też od niego zacząłem. W sumie jako jedyny mógł mieć pewność, że będzie zaproszony na urodziny. W dodatku dostanie wysoką premię przy odejściu na emeryturę...

– I dopiero teraz pan mi to mówi?!

– Tak, bo Jerzy chciał przejść na tę emeryturę jeszcze przed przyjęciem urodzinowym. Nie znosi faktu, że nad niczym w domu nie panuje i że niepodzielnie rządzi tu wtedy agencja eventowa. Tylko na prośbę Bilskiej, popartą podwyżką premii, został dwa tygodnie dłużej.

– Aha. – Łoś pokiwał głową, ale gdyby Jacek popatrzył teraz na podkomisarza, a nie na listę gości, zauważyłby, że policjantowi coś w tym tłumaczeniu nie pasuje. Postanowił to jednak zachować dla siebie i tylko we własnej głowie rozważał:

„Coś ten lokaj jakiś za spokojny jest. Gdyby mnie zamordowano kogoś, z kim od lat pracuję, to byłbym choć trochę roztrzęsiony. A on spokojny, jakby nic się nie stało. Wprawdzie to lokaj, oni tacy są... Ale nie u nas! W Anglii, to rozumiem. Ale u nas? Dlaczego Przypadek go wyklucza? Czyżby...”

– Chciał pan coś powiedzieć, panie podkomisarzu?

– Nie, skąd – zaprzeczył Łoś.

„Nie, na pewno go nie kryje – pomyślał podkomisarz. – Ale może chce zgarnąć pieniądze. Ostatnio nie miał zbyt dużo dobrze płatnych zleceń. Pewnie i tak jest wściekły, że nie udało mu się zarobić tych dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Chce ocalić sto. A nie ocali ich, jeśli to ja wykryję, kto zabił. No chyba że...”

– Widzę jednak, że chce mi pan zadać pytanie, panie podkomisarzu.

– To prawda. Od samego początku mam wrażenie, że jest pan nieszczerzy i coś kombinuje. Miałem zamiar tu nawet nie przyjeżdżać, ale przekonał mnie Smańko. Niestety, kiedy

przyjechaliśmy, pani Bilaska już nie żyła.

– Zgadza się, panie podkomisarzu. Jeśli mi pan to jednak powtarza, to pewnie ma pan w tym jakiś cel, bo zapewne zdaje pan sobie sprawę, że pamiętam.

– Owszem, zdaję sobie sprawę, panie detektywie – wycedził chłodno Łoś. – I tak mnie zastanawia, dlaczego zaprosił mnie pan tak późno. Jeśli chciał pan naprawdę zapobiec śmierci pani Bilskiej, powinien pan mnie zaprosić wcześniej...

– Bałem się, że pan po prostu wpadnie tu z oddziałem policji i uniemożliwi mi wykrycie potencjalnego mordercy.

– Aha, czyli wykrycie mordercy jest dla pana ważniejsze niż zapobieżenie zbrodni? – Podkomisarz Łoś był coraz bardziej pewien, że jego policyjny nos go nie mylił i detektyw coś kręci.

– Z czegoś się muszę utrzymać. – Jacek rozłożył bezradnie ręce.

– Mimo całego pańskiego cynizmu, z którego jest pan znany, trudno mi w to uwierzyć. Zresztą wystarczyło tak wysłać to zaproszenie, żebyśmy trafili na sam początek imprezy.

– Wtedy jeszcze istniała możliwość, że zanieśe pan to zaproszenie do podinspektora Zasady, który też przeszkodzi w całym przedsięwzięciu.

– Rozumiem, jak bardzo pan jest dumny ze swojej inteligencji i sprytu, a także z tego, że szybciej od innych rozwiązuje pewne zagadki. Ale czy naprawdę ma mnie pan za idiotę?

– Nie śmiałybym.

– Słucham zatem. O co w tym wszystkim chodzi?

– No dobrze, powiem panu, bo jesteśmy sami. Ale potem w razie czego się tego wyprę. Kiedy dostałem to zlecenie i zacząłem lepiej poznawać panią Bilską, stwierdziłem, że rozumiem mordercę. Uznałem też, że z pewnością nie jest głupi i będzie się bardzo pilnował w mojej obecności, porzucając swój zamiar. A ja zarobię tylko za fatygę...

– Chyba się wzruszę. I co z tego?

Zanim Jacek zdążył odpowiedzieć, drzwi gabinetu się uchyliły i wszedł starszy aspirant Smańko. Wyprężył się służbiście i zameldował:

– Panie podkomisarzu, podejrzana Sekuła przyznała się pięć minut temu do morderstwa.

– Pięć minut temu? I dopiero teraz mi o tym mówicie?

– No bo... no bo... Przyznała się i odwołała.

– Nieważne, powinniście mi o tym natychmiast donieść.

– Kiedy ona się znowu przyznała. I znowu odwołała. I znowu się przyznała.

– Czyli jaki jest w końcu bilans? – zapytał Przypadek.

– Pięć razy się przyznała i cztery razy odwołała – zameldował starszy aspirant.

– Znaczący, że ostatecznie się przyznała – stwierdził z radością podkomisarz Łoś, bo choć winną okazała się nie zwykła fryzjerka, ale dyrektorka przedszkola, zawsze to lepiej, niż miałyby nią zostać biznesmenka z kilkudziesięciomilionowym majątkiem. – Dawajcie ją tutaj.

– To już niepotrzebne, panie podkomisarzu – powiedział Jacek.

– Słucham?!

– Pani Sekuła nie zabiła pani Bilskiej.

– Skąd pan to wie? A jeśli nie ona, to kto?

Jacek wskazał wymownym gestem na starszego aspiranta. Podkomisarz wprawdzie najchętniej kazałby detektywowi powiedzieć, kto jest mordercą, lecz doskonale wiedział, że jeśli Przypadek się uprze, to nic nie powie. Dał znak Smańce, by wyszedł.

– Dłaczego nie chciał pan przy nim mówić? – zapytał podkomisarz, gdy zostali sami.

– Bo ta informacja musi pozostać między nami i nie chciałem niepotrzebnego świadka.

– Co?! Mam chronić mordercę?! Niech pan przyzna, to jednak ten lokaj!

– Nie, panie podkomisarzu. To ja ją zabiłem.

Goście na sali chyba trochę już zapomnieli, że biorą udział w grze w morderstwo. Nikt nie został zaproszony na przesłuchanie, za to kelnerzy donosili wciąż nowe potrawy i trunki, a jedna z najbardziej znanych piosenkarek dała wraz z zespołem świetny koncert, rozgrzewając publiczność. Wszyscy bawili się doskonale i dopiero kiedy dostrzegli Jacka wchodzącego na podest, przypomnieli sobie o grze. Tymczasem za Przypadkiem wkroczyły na salę główne podejrzane, a on sam chwycił za mikrofon.

– Witam państwa w finale naszej gry. Zaraz poznamy winnego. A oto podejrzane, spośród których zaraz wyłonimy sprawczynię...

– Ja się nie zgadzam... To ja jestem winna! – zawołała korpulentna blondynka, która, jak dwie godziny wcześniej, znów rozbawiła wszystkich. – Osobiście ją udusiłam!

– Niestety, droga pani, w naszej zabawie Kalina została zastrzelona. – Przypadek rozłożył przepaszając ręce i kontynuował poprzedni wątek. – Pozwolą państwo, oto koleżanki z klasy Kaliny. Co roku zapraszane na jej urodziny. I nienawidzące tego tak bardzo, że jedna z nich postanowiła zabić gospodynię.

– Świetnie je rozumiem – odezwała się ponownie blondynka, lecz teraz śmiało się już mniej osób.

– Ja też. Co roku zapraszane były tu głównie po to, żeby zostać obdarzone dobrymi radami.

– Jakbym widziała Kalinę! – krzyknęła śmieszka, ale Jacek już nie zwracał na nią uwagi. Podobnie jak większość gości, która z rosnącą uwagą śledziła rozwiązanie tego fikcyjnego śledztwa. Choć niektórzy z nich zaczęli uważać, że nie wszystko w nim jest takie nieprawdziwe.

– Kiedyś ich paczka była większa. Lecz jedna z nich w końcu miała dość rad pani Kaliny i się zabiła. To Jolka Kasperec.

Wszystkie rozmowy ucichły. Stali bywalcy coś tam słyszeli o toaście rozpoczynającym urodziny przy stoliku solenizantki i kojarzyli nazwisko nieżyjącej. Ale teraz dowiadawali się czegoś nowego i mieli przecucie, że zaraz dowiedzą się więcej.

– Zawsze się irytowała, kiedy dostawała zaproszenie. Nie pomagała zmiana mieszkania, gdyż Kalina za każdym razem potrafiła ustalić adres koleżanki. Dlatego jedynym sposobem na uwolnienie się była śmierć. Tak jej się przynajmniej wydawało, bo wszyscy wiecie, jaka była Kalina. Wciąż przysyłała zaproszenia na ostatni adres. Aż w końcu trup uznał, że jedynym sposobem na ostateczne uwolnienie się od Kaliny, będzie jej zabicie. Dlatego skorzystał z zaproszenia i zjawił się na przyjęciu. Łapcie ją!

Jacek wykonał gest gdzieś w salę. Nie celował wprost w blondynkę, bo nie miał pewności, że to ona jest Jolką Kasperec. Ale wiedział, że gdy tylko każe ją schwytać, ona poderwie się z miejsca i zacznie uciekać. A ochroniarze wiedzieli, że kogoś takiego muszą natychmiast zatrzymać. Dlatego już po chwili złapali biegnącą kobietę i chociaż wierzgała, nieśli ją w kierunku wyjścia z sali. Goście spoglądali po sobie i każdy zdawał się pytać drugiego, czy to wszystko to nadal gra, czy prawda. Zwłaszcza że zatrzymana wrzeszczała wyjątkowo głośno i przekonująco:

– Nie zabiłam jej! Słyszycie, nie zabiłam jej, chociaż chciałam! Chciałam jej wsadzić w gardło to zaproszenie i udusić! Ale nie zrobiłam tego! – Ochroniarze wynieśli winną z sali, a do niedawna podejrzane rzuciły się w ślad za nimi, krzycząc na przemian:

– Jolka, nie bój się, nie damy cię! Jolka, jesteśmy z tobą! Nie szarp jej, draniu! Jolka, widziałam cię na papierosie! A ja się za ciebie przyznałam! Dobrze jej zrobiłeś! Za nas wszystkie!

Sala ucichła zupełnie, wpatrując się w detektywa i stojącego obok niego podkomisarza Łosia, a także podchodzącego do nich starszego aspiranta Smańkę. Wielu dałoby też sporo, żeby usłyszeć, o czym teraz mówią, ale nawet najbliższe stoliki dzieliła od rozmawiających spora odległość. Na szczęście autor stał tuż obok, więc może przytoczyć ich słowa.

– No cóż, trafił pan – stwierdził cierpko podkomisarz. – Ale pewności nabrał pan chyba dopiero wtedy, gdy zobaczył ją na liście gości?

– To prawda, choć od początku nie grało mi, że ktoś tak ostentacyjnie zapowiadał, iż zabije panią Bilską. Ktoś musiał być wyjątkowo głupi, żeby stawiać się od razu w gronie podejrzanych. Oczywiście, nie wiedziałem, że to Jolka Kasperec, i dopiero gdy wszystkie zaczęły narzekać na te zaproszenia, zrozumiałem, że mogą one kogoś doprowadzić do ostateczności. W końcu przez nie ona sama popełniła samobójstwo. To znaczy, rzekome samobójstwo. To jej jednak nie uwolniło od zaproszeń. Przychodząc tu, sporo ryzykowała. Ale przecież koleżanki pamiętały ją tylko sprzed lat, a bardzo się zmieniła. Poza tym zajęła miejsce z tyłu sali. Bilska nigdy nie witała gości osobiście, wynajęci ochroniarze nawet nie musieli wiedzieć, kto wchodzi, ważne, że zaproszenie skanowane w czytniku się zgadzało. Gdyby już dokonała swego dzieła, podejrzane mogły być koleżanki, ale nie ona. Przed namierzeniem maili na pewno dobrze się zabezpieczyła, bo inaczej Bilska by ją znalazła. I gdyby przy wszystkich się tu nie przyznała, trudno byłoby jej cokolwiek udowodnić. A przyznała się na koniec tylko dlatego, że wydaje jej się, iż jej koleżankę naprawdę zabiło...

– Jak to wydaje jej się? – zdumiał się starszy aspirant.

– Oj, Smańko, Smańko. – Podkomisarz spojrzął na podwładnego z poczuciem wyższości, jakie towarzyszy zwykle tym, którzy zaczęli lekturę kryminału od jego końca, a potem twierdzą, że od samego początku czytania wiedzieli, kto zabił. – Przecież od początku wam mówiłem, że nasz kolega coś kombinuje. – Nazwanie Przypadka kolegą zdumiało nie tylko starszego aspiranta, lecz także samego detektywa, że o autorze nie wspomnę. – Gdy zobaczyłem tę Bilską martwą, to od razu wiedziałem, że żyje. Tylko chciałem sprawdzić, dokąd pan detektyw zmierza.

– Naprawdę?! – zdumiał się Smańko.

– Naprawdę – potwierdził Łoś. – To pewnie ten producent filmowy Kokozka pomógł panu ją tak ucharakteryzować?

– Ma pan rację, podkomisarzu – przytaknął Przypadek, który przez sympatię do Łosia nie wspominał przy starszym aspirancie, że jego przełożony miał równie zaskoczoną minę, gdy kilka minut wcześniej detektyw powiedział mu o swoim podstępnie. – A teraz proszę o szeroki uśmiech, bo widzę, że zbliżają się już do nas fotoreporterzy.

ROZDZIAŁ III

Szybka i wściekła

Wszystko trwało ułamek sekundy. Złożyła się w zakręt i nagle coś podbiło koło jej motocykla. Wyleciała w górę jak z katapulty, a kilka sekund później poczuła, jak uderza w ziemię. Zdziwiło ją, że nie czuje bólu, choć przecież na dobrą sprawę powinno boleć jak diabli. Ale wkrótce już wiedziała, dlaczego tak się stało. Motocykl leżał gdzieś daleko, a ona patrzyła na swoje nieruchome ciało z góry i widziała dokładnie, jak wszyscy starają się jej pomóc. Gdzieś w oddali słyhać już było sygnał nadjeżdżającej karetki.

Na razie jednak obok niej kłębił się tłum. Wyścig wstrzymano. Motocykle podjeżdżały jak najbliższe miejsca wypadku. Zawodnicy zsiadali i podbiegali, otaczając ją kołem. Między nich usiłował się wcisnąć Mateusz, jej brat i mechanik. Był wysoki, ale raczej szczupły, dlatego byłby bez szans, gdyby nie krzyczał histerycznie:

– Puśćcie mnie do niej! Puśćcie mnie!

Udało mu się w końcu wcisnąć w lukę między roslymi motocyklistami. Gdy zobaczył jej nieruchome ciało, zaczął łkać i prosić ją, żeby nie umierała. Wtedy ktoś za nim roztrzącił motocyklistów, tak że przewrócili się na siebie nawzajem jak kostki domina. Widziała to świetnie z góry i gdyby tylko mogła, chwyciłaby przepychającego się, bo wiedziała, że za chwilę rzuci się na jej brata.

Tak też się stało. Paweł Bernaś, były motocyklista, a obecnie przede wszystkim mistrz mieszanych sztuk walki, zakochany w niej od lat, chwycił Mateusza i unióś go do góry, potrząsając nim jak kukiełką.

– To twoja wina! – wściekał się Paweł. – To przez ciebie!

– Wszystko sprawdziłem, naprawdę!

– To nie Mateusz... – próbowała protestować, ale Bernaś nie słuchał ani jej, ani jej brata.

– Nie broń go, córca. – Drgnęła i odwróciła się. Obok niej stał jej ojciec. Nie widziała go już pięć lat. Od chwili gdy pożegnała się z nim w kostnicy tuż przed pogrzebem.

– Tato? – W pierwszej chwili chciała się do niego przytulić, ale wiedziała, że tego nie lubił. Wprawdzie może teraz, po śmierci, trochę się zmienił i pozwoliłby jej na to, czego nigdy nie robiła za życia, lecz wolała nie próbować. Widziała kiedyś, jak Mateusz się na to odważył w dzieciństwie. Miał wypadek na torze kartingowym, zdarł sobie skórę na kolanie, bolało go niemiłosiernie. Płakał i chciał, żeby ojciec go przytulił. Ale on tylko go odepchnął i powiedział, żeby się nie mazgał, bo wstyd się przejmować takim obtarciem.

– Pięknie jechałaś, córca – pochwalił ją. – Na pewno byś wygrała, gdyby ten gamoń wszystko dobrze przygotował.

– To nie tak, ja...

– Nie kłam – upomniał ją surowo. – Zawsze kłamałaś, żeby go bronić. Ale to jest mięczak i tyle. Zwykła baba.

– Nie, tato...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy poczuła straszliwy, przesywający ból i tylko stęknęła głośno. Postać ojca zaczęła się zamazywać, niknąc gdzieś za rozmytymi sylwetkami. Miała ochotę biec za nim i powiedzieć mu tyle ważnych rzeczy, ale nie była w stanie się poruszyć. Usłyszała straszliwy hałas i szczęśliwy głos lekarza:

– Mamy ją! Nie... Cholera, znów coś jest nie tak...

Ból zniknął momentalnie, wszystko też ucichło. Ponownie zobaczyła, jak leży, teraz był przy niej lekarz usiłujący ją reanimować. Paweł wciąż potrząsał Mateuszem i nikt nie potrafił mu przeszkodzić. Nikt zresztą nawet nie próbował, bo Paweł potrafił każdego rozłożyć jednym ciosem. I dopiero po chwili pojawił się obok ktoś znacznie potężniejszy, choć niewysoki, szczupły i już koło sześćdziesiątki.

– Postaw go – rzucił niezbyt głośno, ale nie musiał krzyczeć, żeby ktoś go posłuchał. W końcu nazywał się Gerhard Sowa i był właścicielem Ekstra TV, największej prywatnej stacji w Polsce, i nie tylko dalsza kariera Bernasia zależała od jednego jego słowa.

– Niepotrzebnie się wtrącał. – Matylda usłyszała obok siebie niezadowolony głos ojca.

– Tato, to nie wina Mateusza.

– Powiedziałem, nie kłam. To wyłącznie jego wina. I masz mu to powiedzieć, gdy tam wrócisz – zażądał stanowczo. – Jasne?

– Nie wiem, czy wróćę... – odpowiedziała, lecz wtedy ponownie poczuła piekielny ból i szczęśliwy głos lekarza:

– Jest! Do karetki!

Nie widziała w tej chwili, co dzieje się wokół niej. Ojca zresztą też już nie zobaczyła, tylko z oddali usłyszała jego cichnący głos:

– Masz mu to powiedzieć. Jasne?

Pani Irmina, jak nikt inny, znała dokładnie rozkład dnia Jacka. Od lat zresztą nie pojawiał się w nim nowe elementy, gdyż Przypadek, jak sam podkreślał, był zatwardziałym konserwatystą. I o ile jakieś absolutnie nadzwyczajne okoliczności mu nie przeszkadzały, punktualnie o osiemnastej odbywał swój codzienny godzinny trening biegowy, mający go przygotować do startu w maratonie. O dziewiętnastej wbiegał z powrotem na Konecką. Zatrzymywał się zwykle przy niewielkim sklepie na rogu ulicy. Na trening nie zabierał ze sobą pieniędzy, bo nie miał zamiaru nic kupować. Przy sklepiku przystawał tylko, by sprawdzić, czy nie ma tam pani Irminy. Ona bowiem robiła wtedy zakupy, a on pomagał jej zanieść siatki do domu.

Nie, nie były przesadnie ciężkie, ale pani Bamber lubiła się poczuć damą, Jacek zaś chętnie wchodził w rolę dżentelmena. Poza tym była to znakomita okazja do rozmowy i wymienienia się najświeższymi informacjami. Tak było również tym razem, dzięki czemu sąsiadka Przypadka poznała błyskawicznie szczegóły jego ostatniej sprawy.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nasz dzielny podkomisarz Łoś nie był na ciebie wściekły, gdy się okazało, że go nabrałeś – zapytała, gdy skończył opowieść.

– Po prostu coraz bardziej lubi naszą współpracę. Naprawdę – zapewnił Jacek, widząc zdziwione spojrzenie pani Irminy.

– To znaczy, trudno mu się do tego przyznać, to oczywiste. Ale zrozumiał, że ten pomysł z fikcyjnym morderstwem Bilskiej był najlepszym sposobem na jej ochronę. Nie musieliśmy

czekać na ruch potencjalnego mordercy, za to mogliśmy od razu rozpocząć śledztwo. Na dodatek panie, myśląc, że ich koleżanka nie żyje, mogły sobie pozwolić na szczerość, na jaką by się nie zdobyły za jej życia.

– A właśnie, jak one zareagowały, kiedy się dowiedziały o jej podstępnie?

– Tak jak można było przypuszczać, wściekły się. Nie słyszałem wszystkiego, ale zasadniczo nawrzeszczały na nią, a Zawisza zaprosiła wszystkie na swoje urodziny i obiecała, że zapewni im tam półnagich mężczyzn do obsługi i wszystko, co sobie zamarzą. Aha, zadeklarowała też, że opłaci adwokata Joli Kasperec, a pozostałe stwierdziły, że będą zeznawać na jej korzyść i nigdy w życiu nie pojawią się już u pani Kaliny.

– To Bilka nie była zła, że takie są efekty twojego pomysłu?

– Straciła chyba całe serce dla byłych koleżanek. Przecież w końcu każda z nich widziała ją martwą i nie wszczęła alarmu.

– No właśnie, dlaczego?

– Bo każda uważała, że zrobiła to któraś z nich, i świetnie ją rozumiała. Grzeszczyk od początku czuła, że stoi za tym Jolka Kasperec, być może zauważyła ją na sali, być może Jolka coś jej wcześniej wspominała, ale ona nie wzięła tego na serio. Dlatego oskarżała Łajkowską, będąc pewną, że nic jej nie udowodnimy, a w razie czego odwołałaby zeznania składane po alkoholu. Pozostałe w samoobronie szukały też alibi dla siebie. Zresztą Kasperec była na tyle nieostrożna, że wychodziła na papierosa pod okna, gdzie koleżanki czekały na przesłuchanie, a one ją widziały i dlatego Sekuła przyznała się do morderstwa, żeby ją chronić. Liczyła na to, że nie znajdziemy Jolki, a jej i tak niczego nie udowodnimy. W ten sposób Kalina Bilka po raz ostatni zjednoczyła szkolne koleżanki, choć nie tak, jak zapewne by chciała. Na szczęście honorarium zapłaciła bez szemrania i osobiście podziękowała Komendantowi Głównemu Policji za udział podkomisarza Łosia w sprawie.

– Prasa też go przedstawia w korzystnym świetle. A na tym zdjęciu z tobą w gazetach był nawet jakby uśmiechnięty.

– Mówiłem, polubił już naszą współpracę. – Jacek przystanął przed drzwiami ich kamienicy, ale zamiast wystukać kod otwierający na domofonie, przypatrywał się uważnie wspaniałej maszynie zaparkowanej niemal w drzwiach. Jej aerodynamiczny kształt robił wrażenie nawet na Jacku, który wszelkie pojazdy považał jedynie ze względu na ich estetyczny wygląd, a nie tak zwane osiągi. Pani Irmina wprawdzie miała do maszyny stosunek mocno ambiwalentny, jednak i ją ten widok poruszył, dlatego zapytała:

– A któż tak tu zaparkował na środku chodnika?

– Z pewnością ktoś bardzo pewny siebie – odpowiedział Jacek, jednocześnie wpatrując się w superszybki motocykl i starając się wystukać kod otwierający drzwi.

– Raczej ktoś bardzo bezczelny.

– Na jedno wychodzi – przytaknął detektyw, otwierając przed sąsiadką drzwi kamienicy przy Koneckiej 40.

– Może i tak. Ale gdy tylko wejdem do mieszkania, mam zamiar zawiadomić Straż Miejską.

– Myślę, że zanim tam wejdziemy, zagadka się rozwiąże – stwierdził Jacek, gdy właśnie wchodzili na schody. – Zakładam nawet, że rozwiązanie właśnie stoi na piętze przed naszymi drzwiami.

– To raczej szybko, biorąc pod uwagę, że przed nami tylko cztery piętra. Zatem może już nawet wiesz, jak owo rozwiązywanie wygląda?

– Zakładam, że jest atrakcyjną kobietą uwielbiającą szybkość.

– Momencik, skąd wiesz, że ten motocykl należy do kobiety? To prawda, był zadbany, ale mężczyźni zakochani w swoich maszynach również potrafią o nie dbać.

– Ma pani rację – przyznał Jacek, gdy mijali pierwsze piętro. – Ale ilość lusterek na kierownicy wskazuje na to, że to ktoś dbający nie tylko o sprawdzenie, kto jedzie za nim, lecz także o to, czy w każdym detalu wygląda perfekcyjnie. Ponadto ta ognista czerwień pasuje mi bardziej do kobiety czy raczej do koloru jej paznokci. Mężczyźni wolą takie maszyny w stalowoszarych kolorach.

– Ale wszystkie kobiety, jakie znam, jeśli tylko pozwalają im na to umiejętności, parkują perfekcyjnie i zgodnie z przepisami.

– Rzeczywiście, ale widać to ktoś, kto jest przyzwyczajony do tego, że może zaparkować w każdym miejscu. Stąd moje przypuszczenie o jej atrakcyjności, bo kto zwróci uwagę długonogiej, pięknej blondynce o zniewalającym uśmiechu? Żaden mężczyzna nie będzie wiedział, gdzie podziak oczy, a każda kobieta będzie się bać, że wyjdzie na zawistnicę. – Jacek zakończył swą dedukcję już na trzecim piętrze.

Pani Bamber chętnie zapytałaby o coś jeszcze, lecz zdawała sobie sprawę, że jeśli Jacek się nie myli i właścicielka wspaniałego krwiście czerwonego motocykla stoi teraz przed jego drzwiami, to już pewnie od jakiegoś czasu słyszy ich rozmowę. Zapomniała jednak, że jej sąsiad z prawnego punktu widzenia był jasnowidzem i świetnie potrafił czytać w myślach, zwłaszcza w jej myślach.

– Jeśli zaś jest pani ciekawa, w jaki sposób ta osoba dostała się do naszej kamienicy, choć sąsiedzi nigdy nie wpuszczają tu obcych, to odpowiedź jest prosta: są wśród nich mężczyźni, uprawdzie żonaci, za to po jednym uśmiechu tej osoby traktujący jej prośbę jak rozkaz. Zresztą ona nawet rozmawia tak, jakby wydawała polecenia.

– Od jakiegoś czasu za łatwo wpuszczają tu obcych. – Pani Irmina, wchodząc na ostatnią prostą, widziała już świetnie nową klientkę Jacka. Wyglądała dokładnie tak, jak w opisie detektywa, ubrana teraz była w czerwony skórzany pancerz motocyklowy, a pod pachą trzymała kask. Paznokcie jej dłoni miały na sobie taki sam lakier jak jej maszyna. Na jej ramiona opadała burza jasnoblond włosów. Jej wzrok był utkwiony w detektywie i była w nim złość, przemieszana z fascynacją. Pani Bamber знаła świetnie to spojrzenie, gdyż wcześniej lub później obdarzała nim Jacka każda jego znajoma.

– Skoro już tyle o mnie wiesz, przejdę od razu do rzeczy – stwierdziła szorstko blondynka.

– Musisz odnaleźć mojego brata.

– Dlaczego muszę?

Marzena spojrzała na fotografię Fabrizia, z której Włoch uśmiechał się do niej swoim entuzjastycznym, promiennym uśmiechem. Sama też na moment się uśmiechnęła, lecz zdjęcia nie odstawiała z powrotem na biurko w swoim gabinecie, tylko włożyła je do otwartej wcześniej szuflady. Przez moment jeszcze patrzyła w duże ciemne oczy pana Cavanelliego, a później zdecydowanym gestem zasunęła szufladę.

Wzięta do ręki dokumenty dotyczące jakiegoś klienta, który zgłosił się do ich kancelarii, ale nie mogła się na nich skupić. Kiedy je odkładała, usłyszała, że ktoś wita się z Tomkiem Prochem, prawnikiem, którego od niedawna zatrudniali, dlatego od razu domyśliła się, kto do nich przyszedł.

– Proszę – powiedziała, usłyszawszy pukanie.

Do gabinetu zajrzała Ania. Minę miała wielce zbolaną i trzymała się za plecy, jakby nosiła przed sobą co najmniej walizkę na miesięczne wakacje, a nie ledwo zarysowaną krągłość.

– Mogę? – zapytała redaktor Sobania głosem wzywającym księdza na ostatnie namaszczenie.

– Jasne, wejdz. – Mecenasa Kolska była już przyzwyczajona do nagłych wizyt narzeczonej swojego współnika. Zauważyła, że Ania jest bardzo zazdrosna o Błażeja, a ponieważ nie bywał on nigdzie poza pracą, jedynie tu mógł dokonać aktu zdrady. Dlatego kontrole ze strony redaktor Sobani były właściwie normą. – Ale Błażej już wyszedł na sprawę...

– Wiem, uprzedzał mnie. – Ania dotoczyła się do krzesła i ciężko na nim usiadła. A ponieważ Marzena wstała, żeby podać jej coś do picia, dziennikarka mogła obserwować, jak świetnie na pani mecenasa leży jej kostium. Nie wątpiła przy tym, że jej narzeczony obserwuje krągłości swej współniczki bardzo często, i poczuła się jeszcze gorzej niż przed chwilą. Obiecała sobie, że jeśli ich kiedyś nakryje, to zabije oboje, tylko musi się jeszcze zastanowić, które z nich jako pierwsze. – Przyszłam do ciebie. Oczywiście, jeśli nie przeszkadzam.

– Nie. Nie mamy nadmiaru klientów.

– Wiem – mruknęła zła. – A do tego jeszcze Błażej zaczął mieć skrupuły.

– Jakie skrupuły?

– Wobec ojca.

– Zauważyłam – potwierdziła cierpko Marzena. – Nawet poprosił, żeby nie była z nim dziś na rozprawie, bo nie chce upokarzać ojca przy współniczce. Skomplikowane mają ze sobą relacje – westchnęła.

– Mnie to mówisz? Błażej rozmawia tylko z matką. Zaraz ślub, a nie wiadomo, czy jego ojciec się na nim w ogóle pojawi. W sobotę mają przyjść do nas na obiad. Nie dość, że ja słabo gotuję, to jeszcze się boję, że się pozabiją. Błażej mówił, że ojciec siedzi pod pantoflem matki, ale teraz się nagle zbuntował. Byłoby dobrze, żeby go naprostowała, bo inaczej czarno to wszystko widzę.

– Rozumiem. Ale nie o tym chyba chciałaś pogadać?

– Nie. Mam problem ze ślubem.

– Jaki?

– Dawne koleżanki z branży nie chcą mnie znać – stwierdziła ze smutkiem i dodała: – W sumie im się nie dziwię.

– Po prostu zazdroszczą ci Błażeja. Wiesz, jaką się cieszy sławą. – Marzena chciała pocieszyć Anię, ale po chwili już tego żałowała, gdyż ta, sądząc po jej minie, opacznie zrozumiała tę uwagę i warknęła:

– To nie przez tę sławę. To przez to, że się zajmowałam nie tymi sprawami co trzeba, a na dodatek pomogłam Przepadkowi rozwiązać zagadkę.

– Wynajęłaś go.

– Straciłam program w telewizji i wszystkich znajomych. – W oczach Sobani pojawiły się łzy. Marzena po warknięciu swojego gościa straciła ochotę na pocieszenie, ale z drugiej strony nie miała wyjścia.

– Na pewno tak nie jest.

– Jak nie jest?! – zdenerwowała się Ania. – Żadna nie odbiera ode mnie telefonu, bo się boi, że ją poproszę na świadkową. Gdyby była Malwina, toby nie było problemu, ona potrafi mieć takie rzeczy w dupie. Poza tym świadkiem Błażeja jest Jacek, nie przegapiłaby takiej okazji. Ale ona cały czas fruwa po Nepalu i szuka tej głupiej Baški... Poratujesz mnie? – Spojrzała błagalnie na Marzenę.

– Mam być twoją świadkową? – zdziwiła się niezbyt uprzejmie pani mecenasa.

– Ty też nie chcesz?!

– Ależ skąd! – zaprzeczyła gwałtownie Marzena. Wprawdzie może nie była zachwycona tym pomysłem, lecz przecież na ślub i wesele i tak była zaproszona. W sumie rozwiązywała jej to nawet pewien problem, gdyż w obecnej sytuacji musiałaby się tam udać sama, a tak miała za partnera Jacka. – Chętnie, tylko...

– Tylko co?

– Musiałabym iść do spowiedzi...

– No właśnie! – zirytowała się Ania. – Z tym to zawsze jest kłopot. Jakiś rok temu jedna moja znajoma miała być matką chrzestną. No i musiała pójść się wyspowiadać, żeby tę głupią karteczkę dostać. Postanowiła, że jakoś to przecierpi, bo to dla bratanka, i poszła. Powiedziała może nie wszystko, ale sporo. A ten ksiądz ją pyta, czy ona żałuje, obiecuje poprawę i takie tam. Więc ona mówi, że nie żałuje, taką ma pracę. A ten, że nie dostanie rozgrzeszenia! I nie można mu przetłumaczyć, że ona nie potrzebuje tego rozgrzeszenia, tylko tej karteczki. – Redaktor Sobania załamała ręce. – Mówiłam Błażejowi, że się bezsensownie upiera przy tym ślubie kościelnym! Same kłopoty przez to. Te nauki przedmażeńskie, Boże, jaka to nuda. A ksiądz na mnie patrzy, jakbym zaraz miała zacząć rodzić. Ale Błażej się uparł, mówi, że Sakowiczowie od stu pięćdziesięciu lat żenią się w tym samym kościele.

– Spokojnie, jakoś dam sobie radę. Tylko dawno nie byłam u spowiedzi – przyznała lekko zakłopotana Marzena i dodała samokrytycznie: – I w ogóle w kościele.

– To idź do Jacka. On ci na pewno załatwi jakiegoś spowiednika, co ci da rozgrzeszenie.

– Skąd wiesz?

– On regularnie chodzi do kościoła i się spowiada. I na pewno ma jakichś zaufanych spowiedników, skoro dostaje rozgrzeszenie. Przecież tak na zdrowy rozum to nie powinien po tym, jaki jest i co robi, szczególnie ostatnio...

– Ostatnio robi coś szczególnego? – zapytała Marzena niby od niechcenia.

– Skoro jest tym detektywem, to co rusz komuś krzywdę zrobi – odpowiedziała zdziwiona Ania. Jeszcze bardziej zdumiała się, widząc rozczarowaną minę mecenas Kolskiej.

– No tak... Dobrze, dzwonię się z nim. Tylko będę musiała kupić sobie jakąś ładną sukienkę na ślub.

– Nie, nie musisz się specjalnie starać – pozwoliła łaskawie redaktor Sobania. – Nie ma sensu wydawać za dużo pieniędzy. Naprawdę, możesz włożyć byle co, nie pogniewam się.

To była już w zasadzie tradycja, że zaraz po otrzymaniu kolejnego zlecenia Jacek odwiedzał panią Irminę, przedstawiając jej swoją najnowszą sprawę. Robił tak z kilku powodów i żadnym z nich nie były przepyszne słodkości, którymi raczyła go wtedy pani Irmina. Nimi częstowała go zawsze. Po prostu rozmawiając z nią, porządkował przede wszystkim własne myśli na temat zlecenia. Ponadto mógł uzyskać dodatkowe informacje od sąsiadki, która znała się właściwie ze wszystkimi liczącymi się osobami w Warszawie. A to sprawiało, że mogła mu służyć swoimi kontaktami, które zwykle okazywały się bardzo pomocne w rozwiązywaniu zagadki.

– Czyli podsumowując, twoja nowa klientka, będąc w stanie śmierci klinicznej, miała się spotkać ze swoim ojcem, a teraz chce przekazać od niego coś swojemu bratu... A konkretnie co?

– Tego nie chciała powiedzieć. Zastrzegła również, że nie może mnie przy tym być, kiedy mu będzie to mówić.

– Szkoda – westchnęła zmartwiona pani Irmina, lecz po chwili przeszła do rzeczy. – I w ogóle nie wie, co się stało z tym bratem?

– Brat był jej mechanikiem. Po wypadku wszyscy go obwiniali, że czegoś tam nie dokręcił, nie sprawdził i cały ten wypadek to jego wina. Formalnie nie postawiono mu

zarzutów, ale on najwyraźniej nie wytrzymał presji i zniknął. W każdym razie Matylda nie widziała go od czasu wypadku. Tydzień była nieprzytomna, potem spędziła kilka miesięcy w szpitalu, później rehabilitacja... Ostatni raz widziała go osiem miesięcy temu, przed wypadkiem.

– I nikt nie ma pojęcia, co się z nim dzieje?

– Matylda uważa, że ktoś mu chciał odpłacić za jej wypadek. I to być może ktoś ważny, bo jej zdaniem, chociaż policja przyjęła zgłoszenie o jego zaginięciu, to nic nie robi, żeby go odnaleźć. A ją po prostu zbywają, krując kogoś.

– A kim jest ten ktoś ważny?

– Paweł Bernaś.

– Czekaj, czekaj... To ten były rajdowiec, co teraz walczy w tych mieszanych sztukach walki i prowadzi o tym program w Ekstra TV Men?

– Tak. Zawsze uważał się za jej narzeczonego, choć jak ona twierdzi, nic jej z nim nie łączyło – stwierdził sceptycznie.

– Uważasz, że coś między nimi było?

– Tak, tylko że ona chyba bardzo lekko podchodzi do wszystkich relacji. W zasadzie gdyby ją spytać, czy coś ją z kimś łączyło, odpowiedziałyby zapewne, że nie.

– Czyli to taki... mężczyzna w spódnicy?

– Nie sądzę, by kiedykolwiek włożyła jakąś spódnicę. Makijaż, paznokcie, owszem, ale spódnica to byłaby przesada.

– Może i tak. Gdy widziałam ją prowadzącą ten program w telewizji albo na zdjęciach reklamowych, to zawsze była w spodniach. – Pani Bamber pokiwała głową. – Kogoś jeszcze podejrzewa?

– Uważa, że jej stryj, Edmund Duma, też może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Mateusza. Choć nie ma pojęcia, dlaczego akurat jego miałyby chronić policja.

– Czekaj, czekaj... To ten, który ma taki duży warsztat samochodowy na Stegnach?

– Ten sam.

– Znam go trochę, choć lepiej jego żonę. Ona robi pyszny pieróg tarnogrodzki, chciałam kiedyś nawet wziąć od niej przepis, ale się nie złożyło. Mogę się do niej odezwać i spróbować cię z nim skontaktować.

– To nie będzie potrzebne. Podejrzanych odwiedzę w towarzystwie Matyldy.

– Aha. – Pani Irmina spojrzała smutno na Jacka. – Czyli nie będę ci potrzebna?

– Jak pani mogła tak pomyśleć? – obruszył się Przypadek. – Dla pani mam zadanie specjalne.

– Tak? – zapytała uradowana pani Bamber.

– Potrzebuję najświeższych ploteczek na temat Gerharda Sowy i jego Ekstra TV.

– O, a co on ma z tym wspólnego?

– Nie wiem, czy cokolwiek ma. W każdym razie, gdyby miał, to logiczne byłoby, że policja nie chce mu następować na odcisk. A Matylda mówi, że starał się ją zniechęcić do poszukiwań brata. I nie wyklucza, że jej powrót do programu w telewizji opóźniono dlatego, że oświadczyła mu, iż musi znaleźć Mateusza.

– Może Sowa po prostu uważa, że powinna uporządkować swoje sprawy? – wyraziła wątpliwość pani Irmina, która miała poczucie, że zlecona jej misja nie ma odpowiedniej wagi i została wymyślona tylko po to, aby nie poczuła się urażona.

– Możliwe, pani Irmino. I przyznam, że nie wiem, czego konkretnie by się pani miała dowiedzieć. Wiem tylko, że jeśli miałoby to mieć znaczenie, musiałyby być czymś niezwykłym.

– Niezwykłym, powiadasz? – Pani Irmina uśmiechnęła się niepewnie i dodała z nutą ironii: – Dobrze, postaram się dowiedzieć, czy z panem Gerhardem nie dzieje się nic niezwykłego.

Ambiwalencja była najlepszym słowem, które oddawało uczucia pana Jędrzeja w dniu dzisiejszym. Były momenty, gdy się uśmiechał i oczyma wyobraźni widział już swój wspaniały tryumf, a chwilę potem jego oblicze zasnuwał smutek, gdyż będzie musiał jednocześnie patrzeć na przegrane oblicze swego syna. Tak, wciąż uważał, że młokosowi po stokroć należała się ta nauka. I nie kto inny, jak pan Jędrzej powinien mu ją dać!

A jednak jego duszę trawiły wątpliwości, których nie potrafił się pozbyć. Teraz nie mógł się niestety cofnąć. Kości zostały rzucone i sprawę trzeba było jak najszybciej zamknąć. Ta chwila zbliżała się nieuchronnie, a już dziś zostanie zagrany jeden z ostatnich akordów jego koncertu bezapelacyjnego zwycięstwa. Na biurku pana Jędrzeja telefon zaterkotał sygnałem wewnętrznego połączenia. Prawnik podniósł słuchawkę.

– Tak, pani Doroto?

– Przyszedł mecenas Sawczuk-Keller.

Pan Jędrzej się wzdygnął. Nie przepadał za nim, uważał go za krętacza, który wzenił się w starą prawniczą rodzinę. To prawda, nie mógł mu odmówić pewnego sprytu, dość bezczelnego zresztą, ale nie był to adwokat w jego guście. Stary Keller miał jednak duże zaufanie do swojego zięcia i polecał mu najbardziej skomplikowane sprawy, zwłaszcza gdy klientami byli ludzie, których trudno byłoby posądzać o jakąkolwiek styczność z uczciwością. Pan Jędrzej uważał zresztą, że głównie dlatego wydał za Sawczuka swoją niezbyt ładną i mało rozgarniętą córkę. Potrzebny był mu ktoś taki, kto bez mrugnięcia okiem zajmie się takimi rzeczami, pozwalając staremu mecenasowi poświęcić uwagę innego rodzaju sprawom, przy których towarzystwo bywa sympatyczniejsze. Z tego powodu również Sawczuk-Keller współpracował z panem Jędrzejem przy okazji procesu o kamienicę przy ulicy Olbrachta 102.

– Panie mecenasie, słyszy mnie pan? – upewniła się pani Dorota zaniepokojona długim milczeniem pana Jędrzeja.

– Naturalnie, niech go pani poprosi – powiedział Sakowicz senior, a w duchu pomyślał: „No tak, chce pewnie widzieć mój tryumf i pogratulować mi osobiście. Wolałbym tego uniknąć, ale skoro się nie da”

– Dzień dobry, panie mecenasie – przywitał się ze słodkim uśmiechem na twarzy Sawczuk-Keller, wchodząc do gabinetu pana Jędrzeja. – Cieszę się, że zastałem pana jeszcze przed wyprawą do sądu.

– Rozumiem, że chce się pan tam udać razem ze mną?

– Ależ skąd, mam pełne zaufanie do pańskich umiejętności.

– Bardzo mi miło. – Mecenas Sakowicz uśmiechnął się zdawkowo, gdyż choć łasy był na komplementy, to jednak wolał je słyszeć od osób, które bardziej cenił. – Czemu zatem zawdzięczam pańską wizytę?

– Otóż zaszyły pewne okoliczności, które każą nam zrezygnować z tej sprawy.

– Słucham?!

– Rozumiem, że pan mecenas jest niemile zaskoczony. – Sawczuk-Keller wprost rozplywał się w uśmiechach. – Oczywiście, wypłacimy w imieniu naszego klienta stosowne honorarium powiększone o kwotę, którą pan mecenas uzna za stosowną, rzecz jasna w granicach rozsądku. Ale w obecnej sytuacji pan Kęsoń, przynajmniej na razie, nie chce się ubiegać o zwrot kamienicy przy Olbrachta.

– Ale... przecież ta sprawa jest już prawie wygrana!

– Ta sprawa stała się za bardzo medialna. A teraz, jak pan mecenas wie, nie jest najlepszy klimat dla inwestorów nieruchomości w Warszawie, którzy rzekomo przejęli swoją własność w sposób nieuczciwy. Dlatego mój klient ze względów strategicznych postanowił się wycofać, póki sprawa trochę nie ucichnie i nie skończy się to medialne polowanie na czarownicę.

Jędrzej Sakowicz wpatrywał się w swojego gościa, jakby upewniając się, czy ten sobie z niego nie żartuje. Jednak Sawczuk-Keller, choć wciąż miał na twarzy swój standardowo przyklejony uśmiech, z pewnością nie kpił z niego. A jeśli tak, to rzecz wyglądała absolutnie fatalnie. Nawet nie tyle fatalnie, co tragicznie. To w ogóle jest jakiś horror, którego stary mecenas w życiu nie doświadczył!

– Jemu nie wolno! – zakrzyknął patetycznie Jędrzej Sakowicz.

– Nie rozumiem pana, panie mecenasie. Przecież pan wie, że powód może się w każdej chwili wycofać ze sprawy – stwierdził chłodno Sawczuk-Keller. – I mój klient tak zdecydował. Pozostaje jeszcze załatwienie wszelkich formalności. Oczywiście, jeśli pan mecenas sobie nie życzy, możemy to zrobić sami.

Gdyby nawet Jacek Przypadek nie wiedział, że Paweł Bernaś wciąż uważa się za narzeczonego Matyldy, to wystarczyło kilka chwil spędzonych w należącej do niego fitness fight klubie, żeby nie miał co do tego wątpliwości. Kiedy tylko wszedł do środka razem ze swoją klientką, twarz właściciela z męskiej, napakowanej testosteronem, stała się miękka i łagodna, a oczy wręcz maślane. Bernaś zaraz jednak spostrzegł, że obiekt jego wieloletnich uczuć nie jest sam. I choć akurat w tym miejscu strój do biegania Jacka wyjątkowo pasował, to mistrz mieszanych sztuk walki od razu wyczuł, że ten gość nie przyszedł tu potrenować. Jego twarz stężała i niewykluczone, że wyprowadziłby od razu cios w stronę detektywa, gdyby nie to, że na drodze jego prawego prostego stanęła Matylda. Jeden rzut oka na nią wystarczył, żeby mężczyzna znów rozpułtywał się w uśmiechu.

– Cześć, Mati! – Bernaś rozłożył szeroko ramiona i najchętniej zgniótłby w uścisku motocyklistkę, gdyby ona po prostu nie odwróciła się do niego bokiem i nie nadstawiła policzka do pocałowania. – Co tak rzadko ostatnio wpadasz?

– Trenuję. I wciąż mam rehabilitację.

– Tu byś miała świetne warunki.

– Chcę mieć spokój. A u ciebie kręcą się same znane gęby. Każdy by się tylko dopytywał, czy się dobrze czuję.

– Jasne, masz te pytania w dupie. – Bernaś z uznaniem pokiwał głową. – Zawsze miałeś jaja. Nie to, co ten twój braciszek.

– Właśnie o nim przyszłam porozmawiać...

– Nie ma o kim – odpowiedział chłodno Bernaś i zerknął na Przypadka, który uśmiechnął się do niego przyjaźnie, co zdecydowanie nie spodobało się właścicielowi fitness fight klubu. To spojrzenie dostrzegła jednak Matylda, która pokazała ręką na detektywa i powiedziała:

– Zapomniałam panów sobie przedstawić. Jacek Przypadek i mój znajomy Paweł Bernaś.

– Użycie słowa „znajomy” wyraźnie nie spodobało się właścicielowi fitness fight klubu, ale nie mógł zaprotestować. Za to mógł to odreagować, podając detektywowi rękę i ściskając ją tak mocno, jakby chciał wycisnąć z niej całą krew. Jacek zacisnął zęby, żeby nie syknąć z bólu, i starając się zachować uśmiech na twarzy, powiedział w miarę swobodnie:

– Takie uściski proszę zachować dla kolegów z klatki, gdy się spotkacie w nocy w jednym łóżku.

Sugestia zawarta w słowach Jacka była nad wyraz czytelna, a w dodatku niewiarygodnie obraźliwa dla adresata, lecz Bernaś zdawał sobie sprawę, że nie może odpowiedzieć na nią w sposób, w jaki miał ochotę. Zawsze mógł jednak wzmocnić uścisk Jackowej dłoni tak, aby nie ostała się w niej ani jedna cała kostka. I tak by się zapewne stało, gdyby nie Matylda, która rzekła zdecydowanie:

– Uspokój się! – Bernaś odrobinę rozluźnił uścisk. – Powiedziałam, spokoj – warknęła Matylda, a właściciel fitness fight klubu z niechęcią wypuścił dłoń Jacka. – A ty sobie daruj takie uwagi! – rzuciła do detektywa.

– Uprzedzałem, że mam niekonwencjonalne metody prowadzenia śledztwa.

– I dlatego obrażasz ludzi? – fuknęła.

– Tak. Bo wtedy stają się jeszcze banalniej przewidywalni.

– Opuść sobie swoje mądrości i ogranicz się do pytań.

– A co to, jakieś przesłuchanie? – Bernaś uśmiechnął się krzywo.

– Muszę odnaleźć brata.

– Sam bym go chętnie znalazł, żeby mu skopać tyłek za twój wypadek.

– A może już pan go znalazł i skopał mu ten tyłek? – Jacek jak najdyskretniej zaciskał i rozprostowywał swoją dłoń, usiłując w niej przywrócić krążenie krwi. – Tak trochę za mocno.

– Gwarantuję, że zrobiłbym to, gdyby ten gnój nie rozpułnął się w powietrzu. Dawno mu się to należało. Niepotrzebnie go u siebie trzymałaś. Twój ojciec miał rację: on się do niczego nie nadaje. Zwykła baba.

– To mój brat. – Matylda zaprotestowała bardzo nieśmiało, jakby nie chciała lub nie mogła zaprzeczyć mocniej.

– Nie brój go. Dobrze wiesz, że ponosi winę za twój wypadek. A ja nic więcej nie wiem poza tym, co ci powiedziałem. Ostatni raz widziałem go wtedy na torze, jak się rozpłakał po wszystkim. A potem drań nawet cię nie odwiedził w szpitalu. Tylko gdzieś uciekł.

– Może bał się, że spotka pana przy łóżku Matyldy? – wyraził przypuszczenie Jacek, ale tym razem nie wywołało to protestu Bernasia.

– Na pewno się bał. Zawsze wszystkiego się bał. Jak to baba.

– Dla pana chyba każdy, kto nie wytrzymałby pięciu minut z panem w klatce, jest babą.

– Gdyby tak było, to byłbym jedynym facetem na świecie. – Bernaś uśmiechnął się chełpliwie. – A Mateusz zawsze był miękki. No powiedz mu, Matylda.

– Widziałam, jak potrząsałeś nim po moim wypadku.

– Nie żartuj, byłaś wtedy nieprzytomna. – Chełpliwy uśmiech znikł z twarzy Bernasia, a pojawił się na niej cień strachu. Przypadek pomyślał, że wielu przeciwników właściciela fitness fight klubu dałoby wiele, żeby go takim zobaczyć, lecz nie mieli takiej szansy. Brakowało im broni, którą miała Matylda Duma.

– Gdyby nie Sowa, zrobiłbyś mu krzywdę! Jeśli się dowiem, że tak się rzeczywiście stało, to nie chcę cię więcej widzieć!

Gerhard Sowa, właściciel Ekstra TV, zerknął na wiosenną ramówkę, którą przyniósł mu właśnie jego dyrektor programowy. Westchnął ciężko, gdyż coraz trudniej było wymyślić coś nowego, oryginalnego, co mogłoby zainteresować widzów i reklamodawców. Jeszcze parę lat i wszyscy przeniosą się do Internetu, a tradycyjna telewizja dokona swojego żywota. On

oczywiście był zabezpieczony i inwestował w nowe media. Jednak sentyment sprawiał, że najbardziej był przywiązany do szklanego ekranu i chciał jak najdłużej podtrzymać jego istnienie. I dopiero kiedy nie będzie to już możliwe, przejść na zasłużoną emeryturę. Ramówka, jak można się było domyślić, nie wyglądała imponująco. Jakieś zagraniczne seriale, które widzowie w Polsce i tak już dawno obejrzel, kolejny idiotyczny reality show, który przyciągnie jak zwykle niezbyt rolgarniętych, za to niezłe zarabiających widzów jego stacji. Lecz zbyt dużo już takich głupot było, aby odnieść prawdziwy sukces. Zwłaszcza w czasach, kiedy każdy może sobie umieścić w Internecie własne reality, na dodatek dużo prawdziwsze od tych udawanych, reżyserowanych „tragedii” z telewizji.

Ramówkę uzupełniała jeszcze jedna kontynuacja ich własnego serialu i jedna premiera nowego. Widział już nawet pierwsze nakręcone odcinki. Jego dyrektor programowy, Walczak, rozpływał się w zachwytach i na konferencjach prasowych opowiadał dziennikarzom, jaki to hit z tego będzie. Lecz Sowa zdawał sobie sprawę, że jego stacja wyprodukowała kolejne gówno. I to gówno, za które już dawno powinien zwolnić Walczaka.

Nie robił tego, ponieważ miał do niego sentyment jeszcze z dawnych czasów, gdy obaj zaczęli pracę w państwowej telewizji jako młodzi stażyści. Nie robił tego także dlatego, że mógł sobie na to pozwolić. Gdyby prowadził telewizję w jakimkolwiek cywilizowanym kraju, musiałby się liczyć z konkurencją, która zausze mogłaby wyprodukować coś lepszego. Na szczęście w Polsce każda telewizja produkowała równie beznadziejne seriale, bliźniaczo do siebie podobne, oszczędzając na scenarzystach, jak tylko się dało, i jedynie z rzadka przepłacając własne gwiazdy, których widzowie, zdaniem szefów, pragnęli.

To prawda, raz na parę lat każdej stacji zdarzała się lepsza produkcja. Był to jednak tylko wypadek przy pracy, który przytrafiał się właściwie niechcący. Nikt nie wiedział, czemu tym razem odniesiono sukces, więc nie sposób go było powtórzyć. Dlatego potem wszystko wracało do normy i większość produkcji tak naprawdę powinno się zdejmować po pierwszym sezonie. I tak by zapewne robiono, gdyby było je czym zastąpić. Lecz na ich miejsce czekały kolejne seriale z wydumanymi problemami dotyczącymi garstki ludzi, z fatalną konstrukcją fabuły i ze źle napisanymi dialogami.

Z tego powodu Gerhard Sowa nie liczył właściwie nigdy na swoje seriale i traktował je nieco po macoszemu. Musiały być i już, głównie ze względu na przyzwyczajenia widzów i wymogi prawne koncesji telewizyjnej. Właściciela Ekstra TV bardziej interesowały programy mogące napędzić mu oglądalność i reklamodawców ze względu na swoją kontrowersyjność i tymi zajmował się osobiście, gdyż do dyrektora programowego nie miał w tej kwestii zaufania. W ostatnim roku wypuścił Niepotrzebną prawdę, wspaniały program prowadzony przez dwóch sprawdzonych szołmenów – Bolka Szołtysika i Bartosza Fikę. Reklamodawców ściągnął mu jego wieloletni przyjaciel, multimilioner i lichwiarz Wiktor Klempuch. Program miał naprawdę świetne wyniki i powoli stawał się nawet kultowy. Można go pewnie było jeszcze pociągnąć dwa, trzy sezony, gdyby nie te nieszczęśliwe wypadki.

Tak naprawdę nikt do końca nie wiedział, co się stało. Szołtysik z Fiką twierdzili, że Klempuch chciał ich zabić, a oni na razie muszą sobie zrobić małą przerwę od występów w telewizji. Lichwiarz został skompromitowany przez nagrania ujawnione przez Przypadka i rozpląnął się gdzieś bez pożegnania. Zresztą wciąż jeszcze nie było bezpiecznie się przyznawać do znajomości z nim, a prokuratura zainteresowała się związkami Klempucha z produkcją programu, które ujawnił detektyw. Wprawdzie było to zainteresowanie niezbyt duże i podjęte pod presją opinii publicznej, ale lepiej było chwilowo nie kontynuować

Niepotrzebnej prawdy. Zwłaszcza że miał w rękawie nowego asa. *Wolny wybór.* Nowy, niezwykle program.

No, może nie nowy na świecie, ale w Polsce z pewnością tak. Wprawdzie dopiero dziś miał rozmawiać o nim z szefami dużych koncernów, ale był pewien, że wyłożą odpowiednie pieniądze. Nie będą mieli wyjścia, inaczej w ich macierzystych krajach rozpętałoby się piekło, że nie popierają słusznego, postępowego kierunku. Ale sam na razie wolał nie ogłaszać szczegółów tego programu. Zrobi to w ostatniej chwili, aby różne oszołomskie organizacje nie próbowały go zbyt wcześnie zablokować. A na razie wypuści się tylko trochę plotek. Poza tym jeszcze nie wszystko było dopięte na ostatni guzik...

W drzwiach ukazał się jego sekretarz, Szczepan.

– Rozumiem, że pan redaktor Skrupski przyszedł? – zapytał podwładnego, który kiwnął potakująco głową. – Poproś go. Skrupski był jedyną osobą, poza tymi bezpośrednio zaangażowanymi w sprawę, która wiedziała o nowym programie. Jego gazeta miała zapewnić odpowiednie wsparcie całemu projektowi, który był bliski dziennikarzowi ze względu na jego zaangażowanie w sprawy nieuchronnego i ciągłego postępu. Gerhard Sowa bardzo na niego liczył i nawet się nie skrzywił, widząc jego niedbały strój, który stał w sprzeczności z zadbanym do perfekcyjnej przesady wizerunkiem właściciela Ekstra TV. Rozbawiła go tylko broda „na Lenina”, którą Skrupski nosił od kilku miesięcy ze względu na swoją nową kochankę Karolinę, uwielbiającą wodza rewolucji.

– Cieszę się, że widzę pana redaktora! – przywitał się z uśmiechem Gerhard Sowa. – Musimy zacząć powoli dopinać sprawy *Wolnego wyboru*.

– Pytanie, czy będziemy mieli co dopinać – zakrakał złowieszczo Skrupski.

– A co się stało?

– Siostrzyczka postanowiła odnaleźć braciszka.

– Wiem o tym od dawna. – Sowa lekceważąco machnął ręką. – Próbowalem jej to wybić z głowy, ale nie dała się przekonać. Jeśli chce tracić czas, to trudno, jej sprawa.

– Być może właśnie postanowiła przestać tracić czas i wynajęła fachowca. Zgadnie pan kogo? – Skrupski uśmiechnął się szeroko, pokazując to, czego brakowało w jego uzębieniu.

– Sukinkot – warknął Gerhard Sowa. – Nie pozwolę mu popsuć kolejnego mojego programu.

Podkomisarz Łoś przyjrzał się swojej sylwetce w lustrze na korytarzu i pokręcił niezadowolony głową. Nie było dobrze. Nawet gdy wciągnął brzuch najmocniej jak się dało i tak wypukłość ponad jego pasem była imponujących rozmiarów. Przydałaby się jakoś ostra dieta i więcej ruchu. Na to pierwsze nie mógł liczyć. Lubił kuchnię swojej żony i nigdy nie narzekał na jej jakość, ale wiedział, że każda próba jej zmiany spotka się z dezaprobatą małżonki. Nie dlatego, żeby pani Łosiowa nie uważała, że jej mężowi przydałoby się zrzucić parę kilogramów. Lecz wszelkie sugestie na temat tego, że powinna nieco inaczej gotować, potraktowałaby niechybnie jako krytykę swojego kulinarnego kunsztu. Dlatego policjant nie odważyłby się ich wyrazić.

Pozostało więc wprowadzić trochę więcej ruchu. Podkomisarz sięgnął do szafy po swój wysłużony czerwony dres, nieużywany już od kilku lat. Na szczęście tego rodzaju ubrania mają to do siebie, że są rozciągliwe, aczkolwiek Łoś musiał przyznać, że gumka od spodni wyraźnie skurczyła się od ostatniego razu. Nadal jednak dres jakoś na niego pasował, dlatego włożywszy go, chwycił smycz swojego jamnika Cywila i ruszył do wyjścia. Zanim jednak

doszedł do drzwi, otworzyły się one i ukazała się w nich pani Łosiowa wracająca z zakupów. Zmierzyła męża podejrzliwym wzrokiem.

– A ty co, nie masz już porządnym ubrań, żeby Cywila wyprowadzić?

– Chcę przy okazji pobiegać.

– Oszalałeś?!

– Co w tym złego? Muszę dbać o kondycję. Jestem w końcu policjantem.

– Ale Cywil to nie chart, tylko jamnik. – Pani Łosiowa zdecydowanym gestem zabrała mężowi smycz.

– I co z tego? Przecież ja na krótko, da radę...

– To najpierw idź pobiegać, a potem wrócisz psa wyprowadzić.

– Nie wiem, czy dam radę jedno i drugie.

– Dasz, dasz. Skoro ci na kondycji zależy, to na pewno sobie poradzisz – dodała ze złośliwym uśmiechem, który jednak zniknął z jej twarzy, zanim podkomisarz zdążył dotknąć klamki. – A po co ty właściwie chcesz dbać o kondycję?

– W moim wieku...

– Ty już jakiś czas masz ten swój wiek, a o kondycji nic nie wspominasz. – Żona policjanta spojrzała na męża podejrzliwie. – O co chodzi, Łosiu?

– No... Inspektor Zasada wspominał, że w końcu dostanę ten awans na komisarza.

– A co, mundury na komisarzy szyją szczuplejsze niż na inspektorów? Ten twój Zasada bardziej brzuchaty od ciebie.

– Awansu nie dostanę, jeśli coś z Przypadkiem zawalę. A wiesz, jego się nie da śledzić inaczej niż w ruchu.

– Od takich biegowych zabaw zawsze miałeś Smańkę. Gdy kiedyś sam próbowałeś, to mało nie dostałeś zawału.

– No i właśnie dlatego muszę dbać o kondycję. Nie mogę wszystkiego zrzucić na Smańkę.

– Do tej pory śledziłeś go bez biegania. – Pani Łosiowa nie miała już wątpliwości, że musi przeprowadzić solidne śledztwo.

– Teraz ma akurat taką sprawę, że się inaczej nie da...

Podkomisarz Łoś schylił się, żeby poprawić źle zawiązany but. Tak naprawdę jednak chciał uniknąć podejrzliwego wzroku małżonki, która przecież znała go jak nikt inny i mogła się domyślić prawdziwej przyczyny dbania o kondycję. Pewnie Smańko, któremu oświadczył dzisiaj, że przejmuje bezpośrednio obserwację Przypadka, też wiedział, o co chodzi, ale jego akurat podkomisarz mógł mieć w nosie. Co innego żona. Ona pod żadnym pozorem nie powinna się tego dowiedzieć.

– Coś kręcisz, Łosiu.

– Kochanie, daję słowo, że zacząłem dbać o kondycję w związku z tą nową sprawą Przypadka – odpowiedział szczerze podkomisarz, gdyż była to absolutna prawda, aczkolwiek pozbawiona najistotniejszego szczegółu. Wyczuła to również pani Łosiowa.

– Nie wątpię, że to ma coś wspólnego z panem Przypadkiem. Tylko nie chcesz mi dokładnie powiedzieć co.

– Ależ kochanie... – Łoś struchlał, przełknął ze strachu ślinę i patrzył z niepokojem na żonę, która zaczęła krążyć wokół niego, jak gdyby szukając miejsca świadczącego o źródle kłamstwa.

„A jeśli rzeczywiście się domyśli? – pomyślał przerażony. – Nie, nie powinna. Ten Przypadek co rusz ma jakąś sprawę związaną z piękną kobietą. A że akurat teraz jest to ta Matylda... Boże, co za babka! Nie dość, że piękna, to jeszcze w dodatku jeździ na motorze jak szatan. No i potrafi zdrowo przyłożyć!”

Gdy tylko Smańko powiedział w komendzie o tym, kim się teraz będą z podkomisarzem zajmowali, koledzy zaczęli mu oferować swoją pomoc. Wprawdzie zawsze trzymali się z daleka od spraw prowadzonych przez Przypadka, tym razem jednak wyjątkowo przyznali, że mogą się poświęcić. Ale Łoś nie życzył sobie ich pomocy...

– Wiem! – wykrzyknęła nagle pani Łosiowa i patrząc na męża z wyższością i pogardą, dodała: – Wiem wszystko.

– Ale kochanie, to nie jest tak, jak myślisz – zapewnił żonę podkomisarz. – Ja go tylko obserwuję...

– Masz mnie za idiotkę? – zapytała pani Łoś. – Teraz już wszystko jasne – oświadczyła i oskarżycielsko wyciągnęła palec w kierunku męża. – Ty go po prostu lubisz! Dlatego tak ześwirowałeś, gdy ci zabrali jego sprawę! A teraz się do niego upodabniasz, chcąc biegać jak wariat!

Warsztat samochodowy Edmunda Dumy zdecydowanie różnił się od innych tego typu przybytków. Oczywiście, spotyka się dziś miejsca naprawy samochodów, w których panuje względny porządek, a wszędzie nie walają się sterty różnych części samochodowych, zarówno tych potrzebnych, jak i zupełnie zbędnych. Lecz to miejsce sprawiało wrażenie laboratorium kosmicznego, w którym muszą być zachowane niemal sterylne warunki. Wszystko tu lśniło i pachniało czymś, co zdecydowanie nie przypominało woni smaru samochodowego.

Dlatego kiedy Jacek razem z Matyldą wszedł na podwórko warsztatu i zobaczył tam piękną, długonogą blondynkę z kilkoma skoroszytami w dłoni, ubraną tak elegancko, jakby miała zamiar zaraz wejść do gabinetu prezesa wielkiej korporacji, uznał, że ona tu jak najbardziej pasuje. W przeciwieństwie do swojej klientki, która syknęła:

– Zabiję tego starego lowelasa!

Nie wiadomo, czy blondynka to usłyszała, w każdym razie spojrzała w ich stronę. Zamarta na chwilę, a potem, odwróciwszy się na pięcie, nienaturalnie przyspieszonym krokiem, potykając się na wysokich obcasach i zapewne żałując, że ma spódnicę mocno krępującą jej ruchy, wróciła, skąd przysłała. Jacek patrzył może za nią nieco dłużej niż Matylda, ale w końcu ruszył za klientką, szarpnięty za ramię.

Biuro Edmunda Dumy było taka samo idealnie sterylne jak jego warsztat. Na półkach lśniło dodatkowo wiele nagród branżowych oraz kilka starych pucharów, zdobytych jeszcze w młodości, gdy uczestniczył w rajdach samochodowych. Stryj Matyldy siedział teraz za biurkiem i jadł swoje ulubione danie: tarnogrodzkiego pieroga. Widząc jednak bratanicę, podniósł się od razu, co pozwoliło Jackowi zobaczyć, że jak na faceta po pięćdziesiątce sylwetkę ma idealną, więc nic dziwnego, że może się podobać młodszym kobietom.

– Cześć, Matyldko. Co tak rzadko odwiedzasz stryjka? Widzę, że jesteś w coraz lepszej formie. Co cię tu sprowadza?

Edmund Duma najchętniej utopiłby bratanicę w uściskach, ale ona od razu wskazała na Jacka i oświadczyła sucho:

– Szukam Mateusza. On mi pomaga.

– Jak zwykle wylewna i rodzinna. – Pan Edmund uśmiechnął się kpiąco, lecz jego żart nie zrobił na Matyldzie żadnego wrażenia. Dlatego podał rękę Jackowi i zaproponował: – Może się poczęstujecie? – Wskazał na pieroga, który wyglądał raczej jak ciasto lub chleb razowy. – Pan pewnie nie wie, co to jest. To słynny pieróg tarnogrodzki z rodzinnych stron mojej żony. Wyjątkowa rzecz. Niełatwo się go robi. Najpierw trzeba ugotować garnek ziemniaków, odlać

wodę i ziemniaki poddusić. Potem wsypać trzy szklanki kaszy gryczanej, tak zwane połówki, wymieszać z ziemniakami, przykryć garnek pokrywką, owinać kocem lub ciepłą kurtką, aby się kasza z ziemniakami zaparzyła. Najlepiej zostawić to na całą noc...

– Struju, nie przyszedłszy tu słuchać przepisu na pieróg.

– Dlaczego? – zdziwił się Jacek. – To bardzo interesujące.

– No! – przytaknęła właściciel warsztatu, ciesząc się, że może kontynuować. – Następnie trzeba dodać dwie kostki białego sera, jedną margarynę, śmietanę, kefir lub zsiadłe mleko. Wymieszać i dodawać po jednym jajku. Żona daje siedem. Na końcu przyprawić solą, pieprzem i suszoną miętą. Wszystko do smaku. – Edmund Duma tak bardzo był zajęty przekazywaniem Przypadkowi przepisu na tarnogrodzki pieróg, że nie zauważył, jak jego bratanica coraz bardziej się gotuje. – Później bierzemy blachę, smarujemy dokładnie margaryną spód i boki, posypujemy bułką tartą. Nakładamy farsz na blachę, wyrównujemy. Wierzch pieroga smarujemy rozbełtanym jajkiem, ale nie dajemy go zbyt dużo. Następnie posypujemy mąką, znowu wygładzamy. A już na koniec lekko posypujemy bułką tartą.

– Kim jest ta cizia na podwórku?! – wrzasnęła nagle Matylda.

– Mówisz o Krystynie? – Edmund Duma spojrzął na nią zdziwiony i odparł spokojnie: – Moja nowa księgowa.

– Księgowa, tak? Szkoda, że nie jest podobna do tej poprzedniej, z wąsami i brzuszkiem.

– Niestety, pan Kazimierz przeszedł na emeryturę. Musiałem się rozejrzeć za kimś nowym.

– A nie mogłeś się rozejrzeć za kimś mniej atrakcyjnym?

– Dałem ogłoszenie, zgłosiła się ta, to wziąłem. Nie jest droga.

– A co na to ciocia?

– Zapytała tylko, czy to na pewno dobra księgowa.

– A dobra? – zainteresował się Jacek.

– Jasne. Bardzo skrupulatna, dokładna, zrobiła mi naprawdę porządek w papierach.

– To ciekawe. Superlaska, dobra księgowa i nie jest droga? – Jacek spojrzął kpiąco na właściciela warsztatu.

– Tak, bo mam dla niej coś specjalnego. – Pan Edmund się uśmiechnął pewny swego. – Może sobie podłubać w autach, a ona to uwielbia. I niech pan nie mówi, że nie wierzy w piękne kobiety, które uwielbiają dłubać w pięknych maszynach, bo pan obrazi moją bratanicę. – Pogroził detektywowi palcem.

– Dajmy jej już spokój. Powiedz mu, co wiesz o Mateuszu.

– Już ci mówiłem, że nic. Zaraz po wypadku przyszedł się pożegnać i powiedział, że wyjeżdża na dłużej, może na zawsze. Próbowałem go przekonać, że to bez sensu, bo nawet jeśli zawiął przy tym wypadku, to trudno, zdarza się, może najwyżej zmienić zawód. Ale on odpowiedział, że musi w swoim życiu zmienić wszystko i wyrusza gdzieś do Azji. Nic więcej nie wiem. A tobie radzę dać mu już spokój.

– Powiedziałam ci przecież, muszę mu przekazać słowa ojca.

– Po co? Jak znam mojego świętej pamięci braciszka, nie powiedział niczego miłego. Daj spokój, nie szukaj Mateusza.

– Muszę. – Matylda spojrzała na Przypadka. – Chcesz o coś zapytać?

– Tak – przytaknęła Jacek. – Jak się piecze ten pieróg?

– W piecu, w temperaturze około stu osiemdziesięciu stopni, prawie przez dwie godziny, to wszystko zależy od pieca – odpowiedział stryj Edmund, nie mniej zdziwiony od Matyldy, która zarządziła krótko:

– Dosyć tego. Idziemy.

Jacek posłusznie wyszedł za swoją klientką. Pan Duma wyjrzał przez okno i zauważył, jak Matylda, nie zamieniwszy z detektywem ani słowa, wsiada na swój motocykl i odjeżdża. Ten zaś spokojnie zrobił kilka skłonów, przysiadów i podskoków, a następnie wybiegł truchtem na ulicę. Minutę później do jego gabinetu zajrzała atrakcyjna blondynka i spytała:

– Domyśla się czegoś?

– Tak.

– O Boże, naprawdę? To straszne! – krzyknęła spanikowana.

– Podejrzewa, że mamy romans – parsknął pogardliwie właściciel warsztatu.

– Nie żartuj, może się tu kręcić i węszyć...

– Przecież wiesz, że ona mnie odwiedza raz na rok. – Edmund machnął lekceważąco ręką.

– A jeśli wpadnie na trop... Mateusza? – zapytała zaniepokojona Krystyna.

– Nie ma takiej możliwości. – Nagle spoważniał. – Dobrze wiesz, że Mateusza już nie ma.

I nigdy nie będzie.

Matylda zaparkowała swój motocykl przed kamienicą na Koneckiej 40 i zerknęła na zegarek. Już powinien być, specjalnie zrobiła parę kótek po mieście, żeby zdążył dobiec od warsztatu stryja Edmunda. No, jest wreszcie! Ale chyba mu się nie spieszy. No tak, truchta jakby coraz wolniej. A teraz jeszcze bezczelnie nie podchodzi do niej, tylko rozciąga mięśnie oparty o ścianę kamienicy.

– Co to ma być?

– Końcówka mojego dzisiejszego treningu – odparł Jacek i ze zdziwieniem zauważył, że z jego ust leci para. – Ochłodziło się dziś. W nocy może spaść śnieg. Może wejdziemy do mnie?

– Po co? Zupełnie niepotrzebnie cię wynajęłam. Mówiłam, że nie ma sensu ich o nic pytać, tylko trzeba brać się do szukania Mateusza. Ale ty się uparłeś. I po co?! Żeby wkurzyć Pawła, a ze stryjem porozmawiać o przepisie na pieróg tarnogrodzki.

– Czy twój stryj jest pasjonatem gotowania?

– W życiu. Nawet nie wiem, czy potrafiłby usmażyć sobie jajecznicę. A co to ma za znaczenie?!

– Wiem, że to banał, ale naprawdę ślicznie wyglądasz, gdy się złościsz.

– Masz szczęście, że lekarz zabronił mi walczyć, bo jednym kopem wpasowałabym cię w te szklane drzwi – oświadczyła twardo.

– Możesz śmiało to zrobić, nie będę się bronił. – Jacek rozłożył ręce, dając tym samym znać, że czeka na cios.

– No i co cię tak śmieszy?! Po co w ogóle brałeś to zlecenie, jeśli nie masz zamiaru nic robić?

– Tak piękna kobieta jak ty nie powinna o to pytać. – Jacek się uśmiechnął, a Matylda wsiadła na motocykl. – Już chcesz jechać? – Detektyw przytrzymał kierownicę jej maszyny.

– Myślisz, że naprawdę poderwiesz mnie na takie tanie chwytły? Może jeszcze opowiesz jakąś łzawą historię o zdjęciu Małgosi w twojej kuchni. Znałam ją, to świetna babka była i pewnie wciąż by żyła, gdyby cię nie spotkała – rzuciła ze złością.

– Jedź już. – Przypadek puścił kierownicę motocykla Matyldy. – Odezwę się za parę dni, jak już będę coś wiedział.

– Niby jak masz zamiar się tego dowiedzieć?

– To już moja sprawa. Muszę tylko znaleźć ludzi, których zawsze zatrudniam, gdy muszę kogoś poobserwować. I nie złość się już więcej na mnie – poprosił.

Matylda nie odpowiedziała, tylko odpaliła swój motocykl i odjechała. Jacek obserwował, jak wspaniale się na nim prezentuje, jak sprawnie składa się w zakręt, gdy zjeżdża w prawo w ulicę Rakowiecką.

– Chyba ją porządnie zdenerwowałeś, bezwarunkowo. – Usłyszał za plecami głos pani Irminy. Odwrócił się.

– Nie miałem wyjścia. Ona uważa, że musi ze mną wszędzie chodzić i razem rozwiązywać sprawę. A z nią na plecach nie dam rady tego zrobić. Chociaż stara się zachować chłód, na wszystko reaguje bardzo emocjonalnie.

– Jak to kobieta.

– Obraziłaby się, gdyby to usłyszała. Dla niej największym komplementem jest usłyszenie, że ma męski umysł. – Jacek się uśmiechnął. – Przepraszam, ale nie mogę pani towarzyszyć na spacerze, chłodno dziś, a ja się spociłem.

– Rozumiem. To powiem ci jeszcze tylko, czego się dowiedziałam na temat pana Gerharda Sowy. Podobno planuje nowy, rewolucyjny program.

– No cóż, musi coś wstawić w miejsce *Niepotrzebnej prawdy*. Co tym razem?

– Otóż dokładnie nie wiadomo co. Wszystko trzymają w najgłębszej tajemnicy, a mają zamiar zacząć reklamować go dopiero przed startem pierwszego odcinka.

– Czegoś jednak udało się pani dowiedzieć?

– No oczywiście, bezwarunkowo. Choć to nic pewnego – zastrzegła się. – Mówią, że ma się nazywać *Wolny wybór*. I że ma być o eutanazji. Czyli że ludzie mają decydować, czy chcą umrzeć, czy nie. Podobno Sowa liczy na to, że to będzie hit.

Jedno spojrzenie wystarczyło pani Lidii, żeby wiedzieć, iż kolejne dzisiejsze spotkanie z potencjalnym współnikiem nie było udane dla pana Fryderyka. Dlatego miała potężny problem, co zrobić z wielką kopertą pozostawioną dla pryncypała przez Agnieszkę Storczyk. Przeczynała bowiem, że jej zawartość nie poprawi mu humoru, a wręcz przeciwnie, może go jeszcze bardziej zepsuć. Miała więc ochotę schować kopertę na dno szuflady i udać, że w ogóle nigdy jej nie otrzymała.

Kiedy jednak pani Lidia pomyślała, jak spojrzeć na nią Storczyk, gdy następnym razem pojawi się w kancelarii, przeszedł ją zimny dreszcz. Nie, przed tą małą diablicą nic się nie ukryje. Wprawdzie przyszła aplikantka nie może się na nią poskarżyć panu Fryderykowi, lecz wystarczy, że powie kilka słów i odkryje, dlaczego pani Lidia wygląda dziś nie najlepiej. Albo też, co gorsza, domyśli się jeszcze innych rzeczy i może być bardzo nieprzyjemnie. Jak zawsze zresztą, gdy otwiera usta. Ta Storczyk miała wręcz niewiarygodną umiejętność robienia przykrości innym, a ze względu na swoją domyślność przychodziło jej to łatwo.

Tak, chyba lepiej wręczyć mu tę kopertę. Zwłaszcza że w gabinecie czeka na niego była żona, a pani Lidia zauważyła, że każda jej wizyta sprawia mecenasowi Przepadkowskiemu szczególną przyjemność. Dlatego mimo całych swych wątpliwości wręczyła mu przesyłkę od Storczyk.

– Od pani Agnieszki – powiedziała i dzielnie zniosła karcące spojrzenie pryncypała, a następnie dodała: – Pani Felicja czeka. Zgodnie z przewidywaniami sekretarki ta wiadomość rozjaśniła oblicze mecenasa. Dziarskim krokiem, jakby ubyło mu co najmniej kilkanaście lat, wszedł do swojego gabinetu. Uśmiechnął się do byłej żony, która wstała na jego widok, i chwycił jej dłoń do ucałowania.

– Jak to miło, że znów wpadłaś. Czyżbyś za mną tęskniła? – Mrugnął okiem jak psocący brzdąc.

- Niepokoję się o siebie.
- No, to nawet jeszcze lepiej niż tęsknota.
- Fryderyku, nie przyszedł tu żartować, ale poważnie porozmawiać – skarciła go.
- A o czym?
- O tej twojej nowej aplikantce.

- Jeszcze nią nie jest. – Pan Fryderyk spochmurniał w jednej chwili. – I powiedziałem ci przecież, że nic mnie z nią nie łączy. Nie wiem zatem, o czym chcesz rozmawiać.

Mecenas Przypadek tak bardzo nie miał ochoty na rozmowę na ten temat, że udał, iż zajmuje go koperta przekazana mu przez panią Lidię. Otworzył ją, wyjął zawartość, a gdy tylko zobaczył nagłówek, skrzywił się jak po wypiciu szklanki soku z cytryny. Wielkimi literami było tam bowiem napisane: JAK WYGRAĆ SPRAWĘ O ZIEMIĘ DLA SUPER TOBACCO.

- Coś ci się stało? – zapytała pani Felicja.

- Nie, nic. Ostatnio mam bardzo dużo pracy, a wciąż nie mogę znaleźć współnika. To czemu tu do mnie przyszedłaś?

- Porozmawiać o twojej przyszej aplikantce, która się tu ciągle kręci.

- Ostatnio w ogóle jej nie widuję – odparł pan Fryderyk.

- W takim razie po co ci ona?

„No właśnie, po co? Powinienem od razu ją wyrzucić. Najwyżej by mnie zaskarżyła o zaległe alimenty i tyle. I tak to może zresztą zrobić. Co z tego, że jej będę płacił pensję, dla niej to nic nie znaczy. Jest na mnie chyba cały czas wściekła za to, że nie miała nic z tego, co powinna. A co ja jestem winien? Jej matka nie wspomniała mi o niej nawet słowem. Po prostu któregoś dnia oświadczyła, że więcej się nie będziemy spotykać, bo ona wychodzi za mąż i się wyprowadza do Łodzi. Gdybym wiedział, że ta mała jest na świecie, przecież bym na nią jakoś płacił. No ale fakt, nie ożeniłbym się z jej matką. Ona też chyba wiedziała, że nie ma na to szans, i dlatego nie powiedziała mi o dziecku, tylko się wyprowadziła z Warszawy”

- Fryderyku, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Oczywiście, ale wybacz, mam tyle pracy. Muszę przejrzeć te dokumenty. – Spojrzał znów w papiery od córki i zaczął czytać, ale bardzo nieuważnie. Tak naprawdę rozważał ciągle, czy powinien w tej chwili powiedzieć Felicji o Agnieszce. Mógłby się jej pozbyć, przyjmując jeszcze kogoś sensownego, kto odwalaliby za niego robotę. I nie musiałby czytać jej durnych wypocin. Co ona tu wymyśliła? Że jak to trzeba załatwić? Hmm, interesujące, na to by nie wpadł. No dobrze, ale co potem? O, to też przewidziała. Świetne rozwiązanie. No ale w końcu to jego córka, trochę we krwi tego prawa odziedziczyła. A ciekawe, co wymyśliła na tę najtrudniejszą kwestię? No nie, to wprost genialne!

- Fryderyku, mówię do ciebie.

- Tak? – Pan Fryderyk wciąż był pochłonięty poznawaniem strategii przygotowanej przez Agnieszkę.

- Z tobą się w ogóle nie da rozmawiać.

- Chciałaś porozmawiać, tak? – spytał niemal półprzutomnie mecenas Przypadek. W jego głowie kłębiło się mnóstwo myśli, krew napłynęła do twarzy i musiał poluzować krawat.

- Przecież od początku ci to mówię. Czy ty się dobrze czujesz? Zrobiłeś się cały czerwony na twarzy.

- Felicjo, powiedz mi, proszę, czy naprawdę nie ma nadziei na to, żebyś mi dała jeszcze jedną szansę?

– Fryderyku, nie przyszłam rozmawiać z tobą o czymś, co już dawno sobie wyjaśniliśmy. Chodzi mi o twoją przyszłą aplikantkę...

– Dobrze zatem, Felicjo, wyjaśnię ci to, lecz pod warunkiem, że nikomu nic nie powiesz. Przynajmniej na razie. Musisz mi to obiecać – zażądał stanowczo mecenas Przypadek, a jego była żona spozrzała na niego ze zdziwieniem.

– Jeśli tak ci zależy, to... obiecuję – dokończyła z lekkim wahaniem.

– Moja przyszła aplikantka, Agnieszka Storczyk, jest moją córką i zapewne kiedyś zostanie współniczką.

Jacek czuł, że dzisiejszy trening nie zakończy się jak wszystkie inne. Czyjeś czujne oczy obserwowały go przez większość biegu, czekając tylko na okazję, gdy znajdzie się w jakimś zaułku, gdzie jedyną drogą ucieczki pozwoli zagrozić barczysta postać mistrza mieszanych sztuk walki. I gdy taka okazja się nadarzyła, natychmiast została wykorzystana.

– Nie bój się. – Bernas wpatrywał się w Jacka z satysfakcją. – Nie spuszczę ci łomotu.

– Nie boję się – odpowiedział spokojnie Jacek i właściciel fitness fight klubu musiał w duchu przyznać, że tak chyba rzeczywiście jest. Zdziwiło go to, bo Przypadek nie miał najmniejszych szans na ucieczkę i dobrze już przecież poznał siłę jego mięśni.

– Zatem nie jesteś taki bystry, jak o tobie mówią.

– Mógłbym wprawdzie przekonać pana błyskawicznie, że jest inaczej, ale wątpię, żeby taka góra mięśni była w stanie docenić zalety umysłu. – Jacek uśmiechnął się pogodnie, a na twarzy i szyi jego rozmówcy pokazały się wszystkie możliwe żyły.

– Posłuchaj, gnoju! – Bernas powoli cedził słowa. – Nie przyszedłem ci tu spuścić łomotu, ale to nie znaczy, że tego nie zrobię.

– Gdyby pan to zrobił, nie mógłbym najpierw panu powiedzieć, gdzie jest Mateusz...

– Pudło. Ja nie chcę oglądać tego gnoja, ale nie chcę też, żeby Mati zauracała sobie nim głowę. Więc jak ci spuszczę łomot, to ty po prostu przestaniesz go szukać.

– Za to Mati nie będzie chciała pana więcej widzieć na oczy i to musi być jasne nawet dla takiej góry mięśni pozbawionej mózgu.

Bernas złapał Jacka za ramię i z największym trudem powstrzymał się, żeby nie zacisnąć na nim dłoni.

– Dobra, zagrajmy w otwarte karty. Jeśli znajdziesz tego mazgaja, to ja pierwszy muszę się dowiedzieć, gdzie on jest.

– Niestety, wynajął mnie kto inny i zapłacił już zaliczkę.

– Ja dam więcej. A potem możesz wziąć jeszcze swoją działkę od Mati.

– Obawiam się, że nie jest pan w stanie przebić oferty mojej klientki.

– Gościu, co ty chrzanisz?! Wiesz, ile ja mam kasy?! – Bernas wyjął z kieszeni małą elegancki za to bardzo pojemny portfel i zaprezentował Jackowi dość imponującą kolekcję kart kredytowych. Choć przede wszystkim pokazał gruby plik banknotów stułotowych, których miał chyba ponad setkę, gdyż wciąż wierzył w siłę tradycyjnego pieniądza. – Chcesz potrzymać?

– Za tyle, to ja nawet z łóżka nie wstaję.

W to, że ktoś obraził jego samego, właściciel fitness fight klubu, choć z trudem, ale mógł uwierzyć, lecz to, że ktoś podszedł bez szacunku do jego pieniędzy, było dla niego niepojęte. Gdyby nie to, że nadal miał zamiar prowadzić rozmowę z Jackiem, najchętniej wepchnąłby mu teraz wszystkie banknoty do ust i kazał je zjeść co do jednego.

– Gadaj, ile chcesz, gnoju!

– Nie przekonał mnie pan.

– Przecież jeszcze nie powiedziałeś ceny?

– Nie przekonał mnie pan o czym innym. Wykombinował pan pod tą warstwą mięśni, że jeśli będzie chciał mi zapłacić za znalezienie Mateusza, to uwierzę, że nie ma pan nic wspólnego z jego zniknięciem. W sumie jak na pana to nawet sprytne, ale tak jak mówię, nie ma takiej stawki, która mogłaby przebić ofertę Matyldy.

– Dam milion złotych. – Bernaś spodziewał się, że Przypadek zblednie z wrażenia, zacznie go przeproszać za niegrzeczne zachowanie i obieca poprawę. Niestety, usłyszawszy zaproponowaną kwotę, detektyw tylko się uśmiechnął.

– To za mało.

– Łiesz, gnoj! Mati na pewno nie stać nawet na tyle.

– Matylda może zaoferować znacznie więcej. I jak mówiłem, dała mi już zaliczkę. A po sprawie obiecała wypłacić resztę, po której nie będę mógł wstać z łóżka przez tydzień.

Cienka czerwona linia została przekroczona. Oczywiście Bernasia zaszyły mgłą, za którą czaiła się chęć mordu. Jacek wprawdzie uniknął pierwszych dwóch ciosów, które z powodu napadu wściekłości były chybione, ale pozostawało tylko kwestią czasu, aż pięść lub noga właściciela fitness fight klubu zetkną się z jakąś częścią ciała Jacka. I tak by się niechybnie stało, gdyby powietrza nie przeszył strzał ostrzegawczy ze służbowej broni podkomisarza Łosia.

– Stój, nie ruszaj się!

W obecnym stanie ducha wykonanie tego polecenia było dla Pawła Bernasia niezwykle trudne. Zwłaszcza że postanowił nie walić już na oślep, tylko udało mu się schwycić Jacka za koszulkę i szykował się do zadania pierwszego z serii morderczych ciosów. Słyszając jednak strzał, wstrzymał rękę, nie puszczając na wszelki wypadek detektywa, i obejrzał się za siebie. Zobaczył wycelowaną w siebie broń w ręku wąsatego pana w staromodnym czerwonym dresie, który jednocześnie pokazywał mu swoją odznakę służbową.

– Puść go! – zażądał podkomisarz.

– Pan wie, kim ja jestem? – Bernaś uśmiechnął się z wyższością.

– A pan wie, z czego do pana celuję? – odpałił mu policjant, który swoją odzywką zrobił chyba większe wrażenie na Przypadku niż na Bernasie.

– Ten pan obraził kobietę. Chciałem go tylko nauczyć kultury. To chyba nie powód, żeby mierzyć do mnie z pistoletu.

– Niestety, to świetny powód nawet do aresztowania – odpowiedział policjantowi Przypadek. – Pan podkomisarz na pewno pana zna i wie, że trenuje pan sztuki walki, więc użycie przez pana pięści to w zasadzie jak napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

– To prawda – pokiwał głową Łoś. – Chyba dzisiaj rozda pan parę autografów w areszcie.

Bernaś, ciężko oddychając, spojrział na policjanta wyjmującego z kieszeni kajdanki. Chyba jednak nie docenił tego Przypadka. Tak, gnój na pewno był taki odważny, bo wiedział, że obserwuje go policjant, który go uratuje. Lecz gdy ten pies będzie go przesłuchiwać, detektywem zajmą się jego kumple. I bez cienia wątpliwości nikomu już nigdy się nie uda odnaleźć tego mazgaja.

Naprzeciwko wypieszczonego czy wręcz wymuskanego warsztatu należącego do Edmunda Dumy znajdował się niewielki skwerek, który latem zielenił się cudnie i bez problemu można się było schować wśród gęstwiny krzaków, żeby obserwować, jakie piękne auta wjeżdżają do środka. Teraz jednak, choć słońce od czasu do czasu przygrzewało ciepłkiem, w którym dawało się już poczuć wiosnę, wszystkie gałęzie były smutne, puste

i niczego wśród nich nie dałoby się ukryć. Dlatego Saganek z Siwobrodym, bezdomni zbieracze złomu zaprzyjaźnieni z Jackiem, nie mieli wyjścia, musieli przysiąc na ławce i po prostu patrzeć przed siebie.

– Słyszałeś, że profesor odzyskał tę budę na Olbrachta? – zapytał Saganek, drapiąc się po orlim nosie. – Może odstąpi nam po starej znajomości jeden lokal? Albo postawi chociaż jakiegoś jabolka?

– To prędzej. – Siwobrody rozpuścił białe przetłuszczzone włosy i spiął je z powrotem brudną gumką. – Już wystarczy, że tam będzie jeden bezdomny właściciel mieszkał, gdybyśmy się tam wprowadzili, to ludzie by mieszkań nie kupili.

– Pewnie tak. To może chociaż zaprosi do siebie, żebyśmy sobie tego jabolka wypili? – rozmarzył się Saganek, gładząc się po tyłej głowie, ale myśli jego kolegi były już zajęte czym innym. Dla nikogo nie było bowiem tajemnicą, że Siwobrody, mimo intensywnego spożywania napojów alkoholowych, wciąż zachował dużo męskich sił życiowych i ochoty na ich użycie.

– Ciekawe, kiedy ta laska się znowu pokaże? – Oblizał wargi spierzchnięte na pewno nie od nadmiaru słońca. – Gorący towar, nie? – Stuknął Saganka. – Dzisiaj góra dziesięć stopni, a ona zasuwa w tej swojej miniówie tam i z powrotem.

– Wczoraj ją widziałem w jakimś robolskim ubraniu, jak coś dłubała przy jakimś wozie. – Saganek wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do kolegi nie był szczególnie wrażliwy na kobiece piękno, szczególnie od czasu, kiedy słynna królowa warszawskich bezdomnych i niedoszła władczyni Zanzibaru, zwana pieszczotliwie Makbetką, zamieszkała w ciepłutkim więzieniu.

– Co ty chrzanisz, taka lala? Tymi rączkami się dłubała w smarze?! – Siwobrody nie mógł uwierzyć.

– Tak. Idę coś zjeść. Wystarczy, że ty ich teraz popilnujesz...

– Czekał, czekaj, ta laska wyszła...

– To się na nią gap, jak ci się chce...

Rada Saganka była w zasadzie niepotrzebna, gdyż Siwobrody i tak z błyskiem w oku wpatrywał się w Krystynę, która na środku podwórza spotkała się z Edmundem Dumą. O czymś teraz rozmawiali, a raczej się kłócili, intensywnie gestykułując. Niestety, odległość dzieląca ich od bezdomnych była zbyt duża, żeby ci mogli cokolwiek usłyszeć, dlatego Saganek stwierdził z żalem:

– Szeł nas powinien zaopatrzyć w jakiś sprzęt podsłuchowy.

– Akurat, zanim byś doszedł na miejsce, tobyś na złomie wszystko sprzedał – stwierdził Siwobrody, nie odrywając wzroku od Krystyny.

– Bez tego nic nie usłyszymy...

– Spokojnie, może da się coś na to zaradzić – powiedział Siwobrody, splunął w dłoń i za jej pomocą przyliżał swoje białe włosy na czuprynie.

– Co chcesz zrobić?

– Podejdę bliżej...

– Przecież tam porządek jak w laboratorium. Z kilometra cię poczują...

– Powiem temu gościowi, że mam do opchnięcia kilka niezłych reflektorów.

– Na pewno ci uwierzy – prychnął kpiąco Saganek.

– Nieważne, czy uwierzy, grunt, że będę blisko i może coś usłyszę...

– Zdekonspirujesz nas.

– Oj, Saganek, nie nauczyłeś się, że ludzie nas jednego od drugiego nie odróżniają?

– Twój siwy łeb zawsze poznają. Powiniennem z Koziołkiem tu przyjść... Albo z Walizeczką.

– Nie bój nic, czegoś się dowiem. I może przy okazji tę laskę przygrucham.

Siwobrody ruszył w stronę warsztatu, ale Saganek złapał go za łokieć i zatrzymał.

– Ty już zupełnie na głowę upadłeś! Zostaw ją w spokoju!

– Spokojnie, nie z takimi szprychami dawałem sobie radę.

– Spójrzjij na siebie. Wyglądasz gorzej niż ja!

– Za to lepiej pachnę. Tydzień temu brałem prysznic w schronisku. Ciuchy mam prawie świeże, dwa tygodnie temu włożone. W zasadzie mógłbym robić za tego tam... No jak to się mówi? O, wiem! Hipstera. Mówię ci, będzie dobrze. Puszczaj.

Saganek uczeplił się wprawdzie łokcia swojego kompana, ale ten był zdecydowanie silniejszy, a ponadto teraz mocy dodawał mu widok Krystyny w minispódniczce. Dlatego już po chwili Siwobrody, pozbywszy się kompana energicznym odepchnięciem, dziarsko maszerował w kierunku warsztatu samochodowego. Saganek zaś szukał jakiegoś miejsca do ukrycia, lecz, jak autor wspominał wcześniej, w późnolutowej aurze nie było to łatwe. Dlatego jedyne, co mógł zrobić, to przykucnąć za ławką, na której przed chwilą siedzieli, i obserwować rozwój wypadków.

Tymczasem Siwobrody zbliżał się do właściciela warsztatu i Krystyny, których rozmowa wyraźnie nabierała temperatury, gdyż gestykulacja przybrała na sile. Nie zauważyli i nie poczuli nawet, że bezdomny idzie w ich stronę. On zresztą, zanim tak naprawdę się do nich zbliżył, zatrzymał się, a po chwili zawrócił w kierunku skwerku. Zdziwiony Saganek wstał i czekał przez moment na kompana.

– Co, rura ci zmiękała? – zapytał nie bez satysfakcji właściciel orlego nosa.

– Musimy iść do szefa – odpowiedział mu bładz jak ściana Siwobrody.

– Co się stało?

– Nie zgadniesz, co powiedzieli ta blondyna i ten gość...

Jacek musiał przyznać, że chociaż pięść, którą właśnie dostał potężny cios w szczękę, należała do kobiety, to nie bolało go to nic a nic mniej, niż gdyby otrzymał uderzenie od śmierzącego potem osiłka. Wylądował na ścianie naprzeciwko swoich drzwi i pewnie by się osunął na podłogę, gdyby nie dłoń, która go podtrzymała. Niestety, ta dłoń tak mocno przycisnęła również jego gardło do ściany, że niemal stracił oddech. Zdołał jednak ostrzec przeciwnika resztką sił:

– Lekarz zabronił ci się biiiiic...

– Jak śmiałeś powiedzieć, że pójde z tobą do łóżka za odnalezienie Mateusza?! – Matylda nie zwróciła najmniejszej uwagi na ostrzeżenie detektywa.

– Rozmawiałaś z podkomisarzem Łosiem?

– Powtarzam: jak śmiałeś powiedzieć, że pójde z tobą do łóżka w zamian za odnalezienie Mateusza? – Kobieta jeszcze mocniej zacisnęła swoją dłoń na gardle detektywa.

– Nie ustaliliśmy szczegółów wynagrodzenia – wycharczał na swoją obronę Jacek.

– Ale o tym też nie wspominaliśmy! – krzyknęła Matylda. – Powiedziałam tylko, że zapłacę tyle, ile będziesz chciał.

– Czyli miałem prawo wyznaczyć cenę – stwierdził Jacek i od razu tego pożałował. – Auuu!

– Zwalniam cię! – Matylda rozluźniła uścisk i odwróciła się na pięcie.

– Szkoda, bo jestem już coraz bliżej znalezienia twojego brata.

Motocyklistka, która miała zamiar wyjść, zatrzymała się w drzwiach. Odwróciła się i spojrzała na Przepiórkę. Miała ochotę przyłożyć mu jeszcze raz, bo dawno już nie spotkała faceta, który tak bardzo by ją irytował. Zupełnie nie mogła pojąć, jak ktoś taki podoba się wielu kobietom. Szczupły, ale słabo zbudowany. Bystry, za to okropnie wkurzający. I jeszcze ten ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwy wyraz twarzy, który najchętniej zgasiłaby prawym prostym. Zamiast tego zapytała:

- Co wiesz?!
- Na pewno chcesz go znaleźć?
- Oczywiście. Jak możesz pytać?!
- Nawet jeśli nie żyje?

Twarz Matyldy skamieniała na moment. Tę myśl starała się od siebie odgonić jak najdalej. Nie przyjmowała jej do wiadomości, choć gdzieś głęboko w zakamarkach jej świadomości jakoś istniała, czając się wciąż w ukryciu. A teraz wyszła na wierzch.

- Mów.

- Skoro jestem zwolniony, nic nie muszę mówić – odpowiedział Jacek, na wszelki wypadek odsuwając się od swojej byłej klientki.

- Zapłacę ci, ile chcesz, pod warunkiem że mówimy o pieniądzach.

- Mówimy wyłącznie o pieniądzach. Nie gniewaj się, ale nie jestem zainteresowany niczym więcej.

Matylda spojrzała na detektywa zdumiona. Nie wierzyła mu, gdyż jeszcze nie spotkała mężczyzny, który nie byłby zainteresowany czymś więcej. Dlatego mimo lekkiego nieprzyjemnego zaskoczenia, które ukłuło ją nieco, nie drążyła tematu, bo w tej chwili bardziej ciekawiło ją coś innego.

- To po co mówiłeś o tym Pawłowi?!

- Dzięki temu on siedzi w pace, a ja mogę spokojnie szukać Mateusza.

- Teraz to musisz uważać, żeby nie dostać łomotu od jego kumpli. A on na pewno polecił cię ich uwadze.

- Pewnie tak. Ale raczej wiedzą już też, że pan Bernas siedzi w pudle, bo nie zauważył, że jestem pod stałym nadzorem policji. A to nie są kozaki, które lubią zadzierać ze stróżami prawa. Jak ich będzie naciskał, żeby spuścili mi łomot, to się zawsze wykręcą tym, że akurat jakiś inny policjant był obok mnie.

- Skąd wiesz?

- Bo ludzie są banalnie przewidywalni, szczególnie tacy, którzy częściej używają mięśni zamiast szarych komórek. A Bernas nie wyjdzie za kaucję wcześniej niż za tydzień. Do tego czasu powinienem już wiedzieć, co się stało z twoim bratem.

- Naprawdę? Jak?

- Czujesz? – Jacek pociągnął nosem, jakby szukał delikatnego aromatu wspaniałych róż. Matylda zrobiła podobnie, ale zapach zdecydowanie nie przypadł jej do gustu.

- Nie myjesz się?

- Nie. To zapach mojego człowieka, który wyszedł stąd kwadrans temu. Idealnie wtapia się w szarą rzeczywistość, choć rzeczywiście nie pachnie najlepiej.

- I co on ustalił?

- Pamiętasz tę blondynkę, którą widzieliśmy u twojego stryja? – Matylda kiwnęła potakująco głową. – Mój człowiek słyszał, jak mówiła mu, że zabiła Mateusza.

- A co on na to?

- Żeby nie gadała głupot, bo jego zabiły wyrzuty sumienia.

Paweł Bernaś ze sporym zdziwieniem przyglądał się przesłuchującemu go policjantowi. Ten wydawał się w ogóle niezainteresowany jego obecnością, bo cały czas robił skłony, przysiady i ćwiczenia rozciągające, jakby przygotowywał się do biegu. Zresztą gwiazdor programów o sztukach walki pomyślał zgryźliwie, że jest to w sumie zrozumiałe, biorąc pod uwagę jego brzuch. Gdyby wtedy policjant nie celował do niego z broni, to bez trudu uciekłby mu spacerkiem.

– No, panie Bernaś, powie pan w końcu, dlaczego chciał pobić spokojnego obywatela? – zapytał lekko już zasapany samą rozgrzewką podkomisarz Łoś.

– Powiedziałem, sugerował, że spał z moją dziewczyną...

– Tak się akurat składa, że z nią rozmawiałem, a ona nie potwierdza tego, że jest pańską dziewczyną.

– Mamy kryzys. Wszystko przez ten jej wypadek i zniknięcie brata. Niepotrzebnie wynajęła tego dupka, Przypadka.

– A co, boi się pan, że coś wyjdzie na jaw?

– Ja się niczego nie boję – stwierdził spokojnie i dobitnie Bernaś.

– A powinien pan. Naprawdę pan nie rozumie, że za napaść z użyciem groźnego narzędzia może pan zdrowo beknąć?

– Poradzę sobie.

– Jak pan uważa. To w zasadzie z mojej strony wszystko. Resztę przesłuchania poprowadzi starszy aspirant Smańko. – Wskazał na podwładnego, który był w tej chwili tyłem zdziwiony, co przestraszony. – Ja muszę biec na dalszą obserwację.

Łoś wybiegł z pokoju przesłuchań, zostawiając w nim Smańkę z podejrzanym. Bernaś pomyślał od razu, że to może dobrze, bo starszego aspiranta owinie sobie zaraz wokół palca, co z podkomisarzem nie było łatwe. Zauważył strach młodszego policjanta i postanowił to wykorzystać.

– Nie lepiej mnie puścić? Po co policji takie kłopoty? I tak adwokat wyciągnie mnie stąd za parę dni, ja przeproszę i po sprawie, bo temu Przypadkowi nic się nie stało...

– Na razie jest pan jednak aresztowany – stwierdził Smańko głosem wpadającym w falset, co jak na dorosłego mężczyznę nie było normalne.

– Ale przecież pan mnie może zwolnić. – Bernaś wstał, więc teraz starszy aspirant mógł w całej okazałości podziwiać jego muskularną sylwetkę.

– Musimy wyjaśnić parę spraw – powiedział policjant, opanowując drżenie głosu.

– Wszystko już wyjaśniłem.

– Proszę usiąść! – Smańko sam się zadziwił swoją stanowczością.

Bernaś, choć niechętnie i z ociąganiem, wrócił na krzesło.

„Próbuje podsłuchiwać – pomyślał. – Ale nic na mnie nie mają, poza tym, że chciałem przyłożyć temu gnojowi!”

– Mamy zeznania pana Przypadka, że zanim doszło do użycia niebezpiecznego narzędzia, chciał go pan rzekomo wynajść do poszukiwania brata swojej dziewczyny.

– Mój błąd. Nie powinienem z tym głównym w ogóle rozmawiać.

– On jednak twierdzi, że zrobił to pan, aby odsunąć od siebie podejrzenia o udział w zniknięciu, a być może zabójstwie Mateusza Dumy.

– Więc tym bardziej nie powinienem w ogóle z nim gadać, skoro gnój takie głupstwa pieprzy.

– Jest pan przesłuchiwany, dlatego proszę ściśle odpowiadać na pytania. – Starszy aspirant wysunął lekko szufladę biurka i dostrzegł tam służbową broń, co dodało mu pewności siebie. – Po co chciał pan wynajść detektywa Przypadka do znalezienia Mateusza

Dumy? I tylko proszę nie zaprzeczać, że tak było, bo pan podkomisarz wszystko dokładnie słyszał.

– Chciałem pomóc dziewczynie. Tęskni za braciszkiem. – Bernaś uśmiechnął się kpiąco, ale Smańko poczuł się już na tyle pewnie, że szybko skontrolował:

– Proszę pamiętać, że za fałszywe zeznania grozi panu odpowiedzialność karna. A teraz pan kłamie.

– A jak mi pan to udowodni?

– Bardzo prosto. Pana rzekoma dziewczyna, która zaprzecza waszemu związkowi... – Na twarzy Bernasia pojawiła się niepokojąca żyła, dlatego Smańko na wszelki wypadek namacał pistolet w szufladzie. – Tak więc pani Matylda Duma sama wynajęła detektywa w tym celu, nie było więc potrzeby, żeby robił to pan. Chyba że chciał pan przekonać detektywa Przypadka o swojej niewinności lub też znaleźć pana Mateusza i uniemożliwić mu spotkanie z siostrą.

Bernaś spojrzął spode łba na starszego aspiranta. Chyba nie docenił tego policjanta. Nic jednak nie odpowiedział, bo bał się, że palnie coś głupiego.

– To co, odpowie pan na pytanie, czy resztę zeznań chce pan złożyć w charakterze podejrzanego o zabójstwo Mateusza Dumy?

– Smańko miał świadomość, że stawia zarzuty nieco na wyrost, lecz przedziwną satysfakcją sprawił mu strach na twarzy osiłka.

– Jakie zabójstwo?! Przecież on żyje!

– Może pan to udowodnić?

Patrzył przez lornetkę, jak na podwórku swojego domu niemal całkowicie rozebrała na części pierwsze motocykl, a potem, czyszcząc i polerując je dokładnie, złożyła go z powrotem. Jak pucowała każdy element, aby wyglądał tak, jakby dopiero co wyszedł z fabryki. Jak po skończeniu pracy przyglądała się swojej maszynie z satysfakcją. Jak przesuwiała palcami po siedzeniu, kierownicy, lusterkach, jakby pieściła mężczyznę, w którym jest zakochana bez pamięci.

Tak robiła zawsze, gdy była bardzo zdenerwowana. Nic jej tak nie uspokajało. I to od dziecka, gdy właściwie mieszkała w warsztacie taty. Godzina dłubania dawała jej największą radość, a ojciec patrzył na nią z dumą. Już wtedy Mateusz zazdrościł jej tego spojrzenia. Czasami nawet nienawidził jej za to. Ale potem się wstydził tego, kiedy stawała przed nim jak bezradna dziewczynka i prosiła go o pomoc. Przecież to była jego siostrzyczka. I to nieważne, że to on zna się lepiej na maszynach, choć ojciec uważa, że jest odwrotnie.

Wszystko przez to, że bał się jeździć szybko. Absurd, przecież to nie powinno mieć związku, co ma wspólnego bycie świetnym kierowcą i dobrym mechanikiem?! Ale dla ojca tak było. I dla wielu innych też. A wszystko przez ten wypadek, który miał jako dziesięcioletek na torze kartingowym. Niby nic wielkiego się nie stało, ale strachu się najadł. I od tej pory bał się szybkości, jeździł zawsze bardzo ostrożnie.

A Matylda się nie bała. Zawsze wchodziła w każdy zakręt z największą prędkością i nie myślała o konsekwencjach. Może dlatego, że nigdy nic się jej nie stało i wciąż wszystko udawało. Tata chwalił się nią przed wszystkimi. A o nim coraz częściej mówił, że jest babą. Za każdym razem, gdy się czegoś przestraszył, nie miał cienia litości ani odrobiny czułości.

Ojciec sam był jak Matylda. Zawsze jeździł ostro, ryzykancko i wciąż wychodził cało ze wszystkich poślizgów. Aż do chwili, gdy pięć lat temu wypadł z zakrętu na drzewo. On i matka zginęli na miejscu. I choć zniknął ktoś, komu zawsze starał się udowodnić, że jest

prawdziwym mężczyzną, to umarła z nim także jedyna osoba, która go tak naprawdę rozumiała. Tylko ona знаła tajemnicę szklanego dzbanka, który Matylda zabiła, szalejąc po mieszkaniu na rowerze. Bardzo się wtedy przestraszyła i gdy nadszedł ojciec, Mateusz wziął winę na siebie. Ojciec przełożył go przez kolano i wymierzył solidnego klapsa. Na szczęście tylko jednego, bo siostra krzyknęła, że to jednak ona stłukła dzbanek. Ojciec nie uwierzył, uważał, że Matylda go broni. Gdy Mateusz potwierdził wersję siostry, ojciec znów krzychał, że Mateusz jest babą, która zamiast powiedzieć prawdę, chowa się za innymi...

Raz jeszcze spojrzął na Matyldę przez lornetkę. Z tego mieszkania, które wynajął kilka miesięcy temu, miał wspaniały punkt widokowy. Mógł patrzeć na siostrę, jak wraca do zdrowia albo jak dziś czyści swój motocykl. Tym razem jednak ta czynność nie przyniosła jej satysfakcji. Nadal była smutna. Musi w końcu napisać do niej choć krótki list. Usiadł przy stole, wyjął z komputerowej drukarki białą kartkę, sięgnął po długopis z szafki i zaczął pisać:

„Droga Siostrzo, na początku chciałbym cię przeprosić za moje nagłe zniknięcie. Wybac, nie miałem wyjścia. Proszę cię jednak, uszanuj moją decyzję i nie szukaj mnie więcej. Zresztą mnie już prawie nie ma, a wkrótce zniknę na zawsze. Tak będzie najlepiej, bo Mateusz nie jest nikomu niepotrzebny!”

Gerhard Sowa, jakby lekko zdziwiony, złapał się za klatkę piersiową. Miał dziwne uczucie, że coś go gniecie i nie pozwala oddychać. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej. Zawsze bardzo dbał o siebie, badał się regularnie, nie miał żadnych problemów ze zdrowiem. A tu nagle coś takiego. To chyba nie zawał, tylko jakaś niestrawność. Ostatnio było u niego wprawdzie trochę nerwowo, ale nie aż tak. A jedzenie...

No cóż, parę razy dał się namówić na niezdrowe rzeczy.

Szefowie koncernów, z którymi się spotykał, nie zawsze cenili dietetyczne, naturalne produkty, a on chciał być miły. Wcześniej nieraz miał poczucie, że gdy pouczał ich o konieczności dbania o siebie i właściwego odżywiania, był traktowany jak niegroźny snob. Gdy nakazywał to podwładnym, ci musieli go słuchać, ale inni potakiwali mu i wcinali na jego oczach różne śmieci, przygotowując go tym samym o niemal fizyczne cierpienie, pokrywane grymasem mającym przypominać uśmiech. Teraz bardziej niż kiedyś zależało mu na nich, dlatego się dopasował.

Nacisnął kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni przestrzeń między kciukiem i palcem wskazującym dłoni lewej, a potem zrobił na odwrót. Poczul ulgę w klatce piersiowej i usłyszał bulgotanie gdzieś głęboko w trzewiach. Czyli to jednak trawienie. To dobrze, ale chyba będzie musiał sobie zrobić niedługo szczegółowe badania. Ten program kosztował go jednak strasznie dużo nerwów. To dziwne, przecież – gdyby tak się głębiej zastanowił – nie powinien być dla niego aż tak ważny. A jednak bardzo mu na nim zależało. Stacja nie miała ostatnio rewelacyjnych wyników finansowych. Musiał nawet pozbyć się niewielkiej części udziałów, żeby zapewnić dopływ kapitału. Wierzył, że nie najlepsza passa minie. Jeśli nie, to będzie musiał...

Nie, o tym nie chciał myśleć. Ekstra TV to było jego ukochane dziecko, które chciał zostawić w spadku swoim dzieciom. Od dawna szykował je do przejęcia schedy. Ale jak tak dalej pójdzie... Nie, musi się udać! Ten Przypadek nie może mu przeszkodzić. Szefowie koncernów się zgodzili, że ich dział marketingu wyłożą grube pieniądze na *Wolny wybór*. Tylko trzeba go perfekcyjnie zrobić. Musi mieć pięknych, zdrowych i przekonujących uczestników. A przynajmniej jednego...

– Panie prezesie, wszystko w porządku? – Bruno Sieczka, wielki jak szafa gdańska szef osobistej ochrony właściciela Ekstra TV podszedł do niego. Gerhardowi Sowie w trakcie każdej przebieżki zawsze towarzyszyło dwóch, trzech byłych komandosów, zatrudnianych przez niego, biegnąc w dyskretnej odległości, żeby nie przeszkadzać biznesmenowi. – Tak pan stanął...

– Tak, wszystko w porządku. Coś mi tylko przyszło do głowy. – Spojrzał na dwóch ludzi stojących za plecami Sieczki.

– Kto dziś pilnuje Dumy?

– Stefan i Marian.

– Dołóż im trzecią osobę.

– Przecież w razie czego dwóch sobie z nim poradzi bez problemu – zdziwił się Sieczka.

– Nie dyskutuj, tylko wykonaj – warknął właściciel Ekstra TV, a szef jego ochrony nie protestował już, tylko pokiwał potakująco głową. – Na stałe ma go teraz pilnować trzech ludzi. Nic mu się nie może stać i nic nie ma prawa się wydarzyć. Inaczej spotka was coś dużo gorszego niż tylko zwolnienie.

– Tak jest, panie prezesie.

– A jeśli w okolicy zacznie się cokolwiek dziać, to znaczy pojawi się tam jego siostra albo ten Przypadek, macie mnie poinformować natychmiast...

– Przecież zawsze to robiliśmy.

– Tak. Ale teraz musicie mi o tym powiedzieć o każdej porze dnia i nocy! Bernas nie przez pomyłkę trafił do więzienia. Ten Przypadek musi być coraz bliższy rozwiązania tej sprawy.

Dziś Jacek wprawdzie nie wylądował na przeciwległej do wejścia ścianie swojego korytarza, choć wściekłość biła z twarzy Matyldy nie mniejsza niż ostatnim razem. Cisnęła w detektywa kartką papieru i trzasnęła za sobą drzwiami.

– Popatrz, ile warci są ci twoi ludzie. Mateusz żyje!

– Jesteś pewna, że to on napisał ten list? – zapytał Jacek, patrząc na kartkę.

– Tak, to jego charakter pisma. Staranny, wypieszczony, znam go bardzo dobrze. Nikt nie robi takiego idealnie okrągłego „o” jak on. To drań!

– Mateusz?

– No a kto? To ja tu odchodzę od zmysłów, nie wiem, czy ktoś go nie zabił, nie porwał albo co tam jeszcze, a ten drań sobie gdzieś obok spokojnie żyje i nie raczy się do mnie odezwać!

– Przecież napisał...

– Szukam go prawie pół roku. Odezwał się dopiero teraz, gdy ciebie zatrudniłam!

– Świetnie, zatem przyczyniłem się do jego odnalezienia. Czyli moja rola tu się kończy. Wypiszę ci fakturę i będziemy kwita. To znaczy, kiedy zapłacisz. Mam nadzieję, że nie będziesz się ociągać.

– Co ty gadasz? Przecież na razie się nie znalazł... tylko napisał. A ty miałaś go odnaleźć, żebyśmy mogła mu coś powiedzieć od ojca...

– Na pewno nadal tego chcesz?

– Jasne, że chcę. Musisz go tylko znaleźć.

– Wolałbym nie – odpowiedział detektyw i widać było, że jest naprawdę zakłopotany.

– Jak to, przecież się zobowiązałeś?

– No tak, ale nie przypuszczałem wtedy, gdzie on jest uwięziony.

– Uwięziony?! Przecież napisał do mnie list. Gadaj, o co ci chodzi!

– Przepraszam cię, Matyldo, ale chyba nie dam rady go znaleźć. Z honorarium oczywiście rezygnuję. – Jacek otworzył drzwi, ale jego gość nie miał zamiaru wychodzić.

– Jak to rezygnujesz? Podbijasz stawkę, tak?!

– Niczego nie podbijam. W tej chwili nie ma takich pieniędzy, które zmusiłyby mnie do wskazania kryjówki twojego brata.

– To tak?! Chcesz, żebym poszła z tobą do łóżka? Tak?!

– Nie. – Jacek się uśmiechnął. – Wybacz, ale jestem trochę zajęty, mój przyjaciel ma wkrótce ślub. Dzwoniła do mnie przed chwilą moja była udawana narzeczona, mamy być razem świadkami, musimy się wcześniej spotkać...

– Dobrze, pójdę z tobą do łóżka, jeśli mnie zaprowadzisz do Mateusza. Daję słowo!

– Nie gniewaj się, ale nie jesteś w moim typie, dlatego nie jestem zainteresowany. – Przypadek próbował delikatnie wypchnąć Matyldę z mieszkania, lecz nawet gdyby zrobił to bardziej zdecydowanie, nie miałby odpowiedniej siły, aby liczyć na sukces.

– Jak to nie jestem w twoim typie?! – Matylda nie była już wściekła, a jedynie bezgranicznie zdumiona. Coś takiego zdarzyło jej się słyszeć pierwszy raz w życiu i była szczerze przekonana, że choć kobiety mogą za nią nie przepadać, to jest absolutnie w typie każdego faceta na świecie. – Jaja sobie ze mnie robisz? Pewnie kompletnie nie masz pojęcia, gdzie jest Mateusz, i dlatego się wycofujesz.

Na schodach pojawili się Roman i Gabrysia wracający ze spaceru ze swoim pupilem. Niewątpliwie musieli słyszeć ostatnie słowa, gdyż wprawdzie obaj wyjęli klucze do swego mieszkania, lecz żaden z nich nie mógł trafić nimi do dziurki, tak bardzo byli wpatrzeni w detektywa i jego pięknego gościa. Jacek nie miał wyjścia, pozdrowił sąsiadów skinieniem głowy i zamknął drzwi.

– Zrozum, Matyldo, jesteś naprawdę piękną kobietą, ale... nie w moim typie. Ja wolę takie mniej męskie i bardziej kobiece kobiety. Takie, które chcą być po prostu kobietami.

– Słodkie idiotki, którym można wszystko wmówić?!

– Znałaś przecież Małgosię Urbanek. Czy określiłabyś ją jako słodką idiotkę?

– Ona była w twoim typie? – zapytała po chwili milczenia Matylda, a Jacek pokiwał twierdząco głową i dodał:

– Nawet bardzo w moim typie. Była pierwszą, która pozwoliła mi zapomnieć... – Urwał. – Nieważne.

– Rozumiem. Tylko naprawdę nie wiem, czemu nie chcesz mi pomóc.

– Widzisz, Matyldo, sporo osób uważa, że ja mam jakiegoś hopla na punkcie prawdy. I że będę chory, jeśli jej nie ujawnię. A mnie bawi jedynie zakłamanie niektórych ludzi, więc lubię im zagrać na nosie i pokazać, jak są banalnie przewidywalni. Tu nie zachodzi taka okoliczność...

– Ale ja mu naprawdę muszę coś powiedzieć. To ważne...

– Bo tatuś ci kazał? – Jacek uśmiechnął się kpiąco.

– Tak – odpowiedziała Matylda, nie patrząc detektywowi w oczy.

– No dobrze – westchnął ciężko Przypadek. – Skoro tatuś kazał, to zrobię to dla ciebie gratis. Tylko ostrzegam, to może nie być przyjemny widok.

– Dokąd idziemy?

– Jak to dokąd? Do Mateusza.

– Wiesz, gdzie się ukrywa?

– Tak. Coś tam podejrzewałem już wcześniej, ale ten list dał mi pewność. – Jacek wyszedł na korytarz, na którym wprawdzie nie było już Romana ani Gabrysi, ale tylko fizycznie, gdyż wszystko uważnie śledzili, odpychając się od wizjera w swoich drzwiach. Na razie mogli

tylko dostrzec fragment sylwetki detektywa, jego klientka bowiem wciąż tkwiła w środku mieszkania pod numerem czternastym. – Przestraszyłaś się?

– Nie... Ale nie myślałam, że to tak już od razu...

– Miejmy to z głowy. Chyba że nie chcesz wypełnić woli tatusia?

– Chcę – powiedziała twardo.

Edmund Duma czyścił właśnie lnianą szmatką szafkę w biurze, w której przechowywał większość dokumentów, kiedy drzwi jego gabinetu się otworzyły, choć właściciel warsztatu mógłby przysiąc, że nie słyszał pukania. Jednak gdy się odwrócił i zobaczył twarz swojej bratanicy, zrozumiał, że nie może zapytać o to, czy zapomniała o dobrych manierach.

– Gdzie on jest?!

– Matylda, uspokój się...

– Nie mam najmniejszego zamiaru. Wiem wszystko! – Pokazała dłonią na Przypadka, który wszedł za nią. Detektyw wyjątkowo nie był ubrany w strój do biegania, gdyż uznał, że dla dobra sprawy musi dotrzeć na miejsce ze swoją klientką jej motocykłem. – Muszę z nim porozmawiać. Dawaj go tu! Przecież i tak mi się teraz nie schowa.

– No dobrze, jak chcesz. – Edmund Duma sięgnął po słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny. Po chwili powiedział: – Przyjdź do mnie szybko.

Minutę później w drzwiach gabinetu właściciela warsztatu stanęła Krystyna. W pierwszej chwili, widząc Matyldę, chciała się cofnąć. Stanęła jednak i wpatrywała się w motocyklistkę.

– Jednak musiałaś mnie znaleźć...

– O Boże, twój głos... Mateusz, co ty ze sobą zrobisz?!

– Po prostu wracam do normalności. Zawsze wszyscy mówili, że jestem babą... no to nią jestem... coraz bardziej...

– Co ty opowiadasz? Kto ci zrobił taką wodę z mózgu?!

Do gabinetu wpadł nagle Gerhard Sowa, potrącając Mateusza i potykając się o dywan. Gdyby nie to, że Przypadek podał mu pomocną dłoń, najpewniej upadłby na podłogę. Jednak dzięki detektywowi udało mu się zachować pion. Rozejrzał się uważnie po zebranych, jakby chcąc się zorientować w sytuacji, i powiedział do blondynki:

– Nie daj sobie wmówić, że podjąłeś złą decyzję! Jesteś już prawie kobietą!

– Czyli to twoja sprawka?! – Matylda spojrzała na Sowę chłodno, a on przez moment pożałował, że spieszył się tu tak bardzo, iż nie zaczął na ochroniarzy. Wiedział jednak, że i tak za chwilę nadbiegną, więc cofnął się tylko w stronę drzwi, aby w razie czego być bliżej odsieczny.

– Nic już nie możesz zrobić.

– Bo co?! – Matylda zrobiła dwa kroki w stronę Sowy, a ten chwycił za drzwi. – Nie dasz mi programu, tak? Wsadź go sobie w dupę! I odwal się od mojego brata!

– To będzie raczej trudne, bo pan Gerhard zapewne sporo już zainwestował i jest zdeterminowany, żeby wprowadzić swój nowy program na antenę Ekstra TV – odpowiedział jej Przypadek. – To się ma nazywać *Wolny wybór*, prawda? Wiedział pan, że nie da się tego całkiem utrzymać w tajemnicy, dlatego pozwolił pan rozpuszczać pogłoski o tym, że to niby program o eutanazji. Na to by pan jednak nie poszedł, w Polsce takie coś jeszcze nie mogłoby powstać. Ale dzięki temu powoli pan nakręcał zainteresowanie nowym hitem swojej stacji, czyli programem o zmianie płci. Na Zachodzie żadna nowość, ale tutaj mogłoby się zrobić

wielkie halo, że to przełamywanie tabu i tym podobne bzdury. No i mógłby pan liczyć na reklamodawców z międzynarodowych koncernów.

– No i co z tego?! – zdziwiła się Matylda.

– Nic. Ale kiedy usłyszałem ten tytuł, *Wolny wybór*, od razu pomyślałem, że może chodzić o zmianę płci. A gdy pan Mateusz napisał list do siostry...

– Jak mogłeś?! – obruszył się Sowa. – Miałeś się z nią nie kontaktować! Tak jest w umowie!

– Proszę nie przerywać panu detektywowi. – Matylda zrobiła krok w stronę Sowy, który ze zdenerwowaniem patrzył w kierunku schodów, spodziewając się zobaczyć tam swoich ochroniarzy. Czyżby te matołki nie zauważyły tu jego samochodu? Jeśli tak, będzie się musiał z nimi policzyć.

– Tak więc, kiedy pan Mateusz napisał w liście, że wkrótce już go nie będzie, zrozumiałem, że pewnie ma wziąć udział w pańskim programie. Wcześniej zaś moi ludzie usłyszeli, jak pani Krystyna w gniewie mówi, że zabiła Mateusza. Wtedy było już jasne, gdzie jest uwięziony. I że na pewno bardzo panu na nim zależy, bo inaczej program upadnie...

– Mamy innych uczestników – prychnął Sowa.

– Ale jak znam życie, ci inni nawet po zmianie płci bardziej będą przypominać facetów niż babki. Dlatego zależało panu na kimś, kto byłby piękny i nigdy wcześniej nie był znany z bycia transwestytą i z przebieranek. Stąd wybór Mateusza, który po wypadku siostry przeżył załamanie nerwowe...

– Ty draniu... – Matylda ruszyła w stronę Sowy, ale ten już wybiegł z gabinetu i rzucił ze schodów:

– Tylko nie zmieniaj decyzji, bo zapłacisz wysoką karę!

– Proszę się nie bać, nic panu nie grozi. – Jacek się uśmiechnął. – Sowa nie odważy się pana skarżyć, bo przy okazji mógłby wypłynąć, jak pana przekonał do tej decyzji.

– Ale ja... Przecież ja i tak jestem babą. – Mateusz się rozplakał, rozmazując makijaż na twarzy.

– Co ty gadasz?! – obruszyła się jego siostra. – Zawsze byłeś facetem...

– Nie, to ty nim byłaś.

– Głupstwa opowiadasz! Pamiętasz, jak rozbiłam ten dzbanek? Popłakałam się, a ty wzięłaś winę na siebie. Tak się zachowuje facet. A ty nim jesteś. Pewnie wrażliwszym od innych, ale to nie czyni z ciebie kobiety. Tak samo jak to, że potrafię komuś dać w pysk, nie robi ze mnie faceta. Spójrz na mój motocykl. Wściekle czerwony, idealnie pasuje do mojego lakieru do paznokci. A ile mam na nim lusterek?

– No nie wiem – zawahał się Mateusz. – A jak pan myśli? – Spojrzał na Przypadka.

– Nie wiem, jak daleko u pana sprawy zaszły – odpowiedział dyplomatycznie detektyw.

– W zasadzie nie tak bardzo. Biorę hormony, ale reszta miała być robiona w trakcie programu. A zaraz potem miałem obiecać, że stacja zafunduje mi życie z dala od Polski.

– No więc powiem tak. Nie jestem specjalistą od zmian płci. Ale tak na zdrowy rozum, jeśli dzięki medycynie można z, w zasadzie, faceta zrobić kobietę, i vice versa, to wydaje mi się, że dużo łatwiej dzięki tej medycynie z, w zasadzie, faceta zrobić całkiem faceta...

– Z jakiego „w zasadzie”? – oburzyła się Matylda. – Mateusz jest w stu procentach facetem. Wystarczy, że przestanie brać te hormony i włoży zwykłe ciuchy...

– To nie takie proste, siostrzyczko – zaprotestował smutno Mateusz. – Pamiętasz, co tata mówił...

– Tata się mylił! I teraz już to wie. Pewnie stryj ci powiedział, że spotkałam go po wypadku...

– Tak, ale szczerze mówiąc, wątpię w to.

– A mam ci opowiedzieć, jak Bernas tobą potrząsał nad moim ciałem i puścił cię dopiero wtedy, gdy podbiegł Sowa?

– Mogli ci to powiedzieć...

– I myślisz też, że ktoś mi powiedział, jak się próbowałeś przeciskać, mówiąc: „Przepuście mnie do niej, przepuście mnie”, a potem jak błagałeś, żebym nie umierała?

– A jak cię trzymałem za rękę przy usiadaniu do karetki? – zapytał przejęty i przekonany już Mateusz.

– Nie. Wtedy wróciłam do siebie, czułam ból, potem chyba straciłam przytomność. Ale gdy byłam na granicy i spotkałam tatę, to on powiedział, że jest z ciebie dumny i żebym nie próbowała cię oskarżać o ten wypadek, bo to wszystko dlatego, że za mocno przycisnęłam i za wąsko weszłam w zakręt...

– Naprawdę tak powiedział? – Oczy Mateusza się zaszklily. Ale nie był to ten właściwy dla niego ostatnio rodzaj histerycznych łez wypadających na jego policzki w nieładzie. To było delikatne wzruszenie, które starał się opanować.

– Tak. I dlatego musiałam cię odnaleźć.

Mateuszowi, choć z największym trudem, ale udało się opanować łzy. Stał jeszcze przez chwilę niepewnie, z rozterką patrząc na twarze zebranych. Oni również wpatrywali się w niego w napięciu, czekając, co teraz powie. A on zerknął jeszcze na swoją minispódniczkę i oświadczył:

– Pójdę się przebrać.

– Dam ci twoje rzeczy. – Edmund Duma ruszył za bratankiem, a w jego gabinecie zostali już tylko Matylda i Jacek, który z kpiącym uśmiechem patrzył na swoją klientkę.

– Jeśli rzeczywiście spotkałaś się z ojcem, to zdajesz sobie sprawę, że on gdzieś koło twojego ucha rzuca właśnie na ciebie gromy z zaświatów? – zapytał z niewinną miną.

– Zrobiło mi się żal Mateusza.

– Kłamiesz. Od początku chciałaś mu to powiedzieć. Dopiero w trakcie ostatniej rozmowy z ojcem zrozumiałaś, jak był niesprawiedliwy dla Mateusza. I chciałaś wynagrodzić bratu to wszystko.

– Odwal się, jasnowidzu – prychnęła Matylda, ale bez złości, a nawet jakby zadowolona, że ktoś oprócz niej będzie znał jej tajemnicę. – I pamiętaj, jeśli wygadasz komukolwiek, to spuszczę ci taki łomot, że się nie pozbierasz!

– Z natury jestem romantykiem i nie lubię psuć pięknych zakończeń – Jacek uśmiechnął się szeroko a ten jego uśmiech pozbawiony był jego słynnego dobrotliwo-ironicznie-pobłażliwego wyrazu.

Może dlatego Matylda pomyślała, że to w gruncie rzeczy interesujący facet. Raczej nie taki, z którym chciałaby się związać na dłużej. Ale kilka spotkań i rozmów z nim mogłoby być interesujące. I pierwszy raz poczuła odrobinę żalu, że nie jest w jego typie.

Pani Helena była prawdopodobnie jedyną osobą w rodzinie Sakowiczów zadowoloną z takiego zakończenia przebiegu procesu o kamienicę przy Olbrachta 102. Nawet Błażej, pomimo korzystnego dla niego wyniku, nie przejawiał w rozmowie z nią przesadnej radości, utyskując, że pozbawiono go szansy efektownego zwycięstwa. Lecz jej to nie interesowało, gdyż miała nadzieję, że teraz w końcu wszystko wróci na swoje miejsce i będzie tak jak dawniej.

Pierwszym zaś krokiem do normalności będzie wizyta w mieszkaniu przyszłej synowej. Wprawdzie nie spodziewała się, że obaj panowie będą dla siebie od razu mili, ale tacy nigdy nie byli. Zawsze wykazywali wobec siebie pewien dystans podparty angielską flegmą, który nie pozwalał im zbyt gwałtownie okazywać wzajemnych uczuć, choć pani Helena nie miała cienia wątpliwości, że w razie potrzeby skoczyliby za sobą w ogień. Na co dzień jednak wciąż byli wobec siebie nieco uszczypliwi, stonowani i chłodni. Skoro jednak tacy właśnie będą, to będzie znaczyło, że wszystko jest jak dawniej. Pani Helena w spokoju otworzyła więc szafę i wybierała sobie teraz strój, który chciała włożyć na wizytę. Jak zwykle wybrała dwa warianty, które miała zamiar zaprezentować mężowi do akceptacji. Pan Jędrzej nie miał bowiem w tych kwestiach nawet głosu doradczego i zawsze zgadzał się z opiniami żony. Ona zresztą, prezentując stroje, nie pytała go o zdanie, tylko na głos wymieniała ich zalety, co pozwalało jej dokonać właściwego wyboru.

Schodząc na dół, do gabinetu męża, spodziewała się zastać go w samej bieliźnie i ewentualnie w koszuli wpatrującego się w dwa czarne garnitury i próbującego ocenić, który z nich ma ciemniejszy odcień. Z dokonaniem wyboru jak zwykle zdawał się czekać na nią, a ona wskazywała ten pierwszy z brzegu, gdyż garnitury wizytowe pana Jędrzeja były i tak po prostu czarne. Inny kolor na tego typu okazje nie mieścił się bowiem w światopoglądzie mecenasa i żona mogła ożywić jego strój jedynie kolorem koszuli, muszki lub parasola.

Teraz jednak, ku jej zdumieniu, mecenas był ubrany w swój normalny weekendowy ubiór, szerokie spodnie, liliową koszulę i ulubioną muszkę w koniki polne, którą pani Helena pozwalała mu nosić wyłącznie w domu.

– Jędrzeju, dlaczego się nie szykujesz? – zapytała nieco retorycznie pani Helena, bo domyślała się powodu niegotowości męża.

– Nigdzie nie idę – odparł mężnie Sakowicz senior.

Sytuacja wyglądała zatem nie najlepiej. Nigdy bowiem do tej pory nie zdarzyło się, że pan Jędrzej odmówił wyjścia z domu na zaplanowane wcześniej spotkanie. Nawet gdy miał niegdyś blisko czterdziestopniową gorączkę, w tajemnicy wziął lekarstwa i poszedł z żoną do Teatru Współczesnego. Pani Helena zorientowała się dopiero w trakcie drugiego aktu, gdy półprzytomny mąż osunął się na jej ramię. Kiedy zrobiła mu potem o to awanturę, odpowiedział nieco zdziwiony:

– Ależ duszko, ty tak lubisz tego Kowalewskiego, nie chciałem ci sprawiać przykrości.

Obiecał potem solennie, że jeśli tylko będzie chory, to zawsze poinformuje o tym żonę, choć według pani Heleny nie zawsze dotrzymywał słowa. W chwili obecnej jednak pan Jędrzej był z pewnością zdrowszy jak ryba. Co nie zmieniało faktu, że nie chciał się ruszać z domu.

– Będziesz tak dobry i wyjaśnisz mi, dlaczego nie masz zamiaru towarzyszyć mi podczas wizyty u naszego syna i jego przyszłej żony?

– Naprawdę muszę ci to tłumaczyć, duszko? – Widząc nieugiętą minę żony, pan Jędrzej musiał przyjąć, że odpowiedź jest twierdząca. Dlatego westchnął tylko i powiedział: – Przecież ten młokos będzie się cały czas chełpił, że mnie pokonał, a to nieprawda. Pomógł mu łut szczęścia.

– I co z tego? – zapytała chłodno pani Helena.

– Jak to co z tego? Gdyby nie ten zbieg okoliczności, na pewno w życiu by ze mną nie wygrał!

– I co z tego? – zapytała jeszcze chłodniej żona pana Jędrzeja.

– Nie rozumiem – odpowiedział szczerze Sakowicz senior.

– O co ty pytasz?

– O to, jaki to ma związek z naszą wizytą u nich. – Pani Helena spojrzała na męża tak mroźnie, że ten nie był w stanie otworzyć ust. Obserwował też biernie, jak podeszła do szafy i otworzyła ją. – Proszę, oto najlepsza na dziś wersja twojego garnituru. Koszula jasnoniebieska. Muszka w delikatną czarną kratkę. Wychodzimy za pół godziny.

Pani Helena, nie czekając na reakcję męża, wyszła z pokoju. Zatrzymała się przy lustrze w korytarzu, udając, że przymierza stroje wybrane na wizytę. Tak naprawdę chodziło jej o co innego. Nie chciała być zbyt daleko, gdy mąż zapyta:

– Duszko, a może jednak założę tę czarną muchę?

– Nie, ma być ta w kratkę! – rzekła stanowczo pani Helena.

– No tak, ta będzie lepsza, masz rację – zgodził się pan Jędrzej, a jego żona uznała ostatecznie, że sprawy wróciły do normy.

To znaczy prawie całkiem do normy. Na resztę przyjdzie jeszcze czas w przyszłości.

Marzena, stojąca w drzwiach mieszkania Jacka, patrzyła na niego lekko zdziwionym wzrokiem. Owszem, widziała go wcześniej nieraz po wypiciu alkoholu. To jednak było zawsze albo w klubie, albo w trakcie jakiejś imprezy. Przypadek wtedy był wciąż uśmiechnięty, czasem tajemniczy, próbował nawiązać jakąś znajomość dzięki swojej udawanej wiedzy o chiromancji. Lecz teraz było inaczej. Widziała, że Jacek sporo wypił.

Nie, nie chwiał się, nie bełkotał. Stał przed nią prosto i głównie jego wzrok i zapach przekonywały o tym, ile alkoholu w siebie wlał. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś z nim był. Zresztą przecież byli umówieni, mieli pogadać chwilę o ślubie, ustalić, kiedy idą do spowiedzi. Dlatego sama nie wiedziała, czemu zapytała:

– Nie przeszkadzam?

Detektyw nie odpowiedział. Zamknął tylko drzwi za Marzeną i zaczął rozpinąć guziki jej płaszcza. Stała tak przez chwilę lekko zdezorientowana. Przecież płaszcz i tak powinna zdjąć, więc może Jacek tylko chce jej pomóc. Nie, raczej nie, inaczej nie zaczęłyby rozpinąć guzików jej koszuli. Może powinna powiedzieć, że przecież jest Fabrizio, ale uznała, że detektyw i tak już wie, iż zdjęcie przystojnego Włocha zniknęło z jej biurka w kancelarii. Inaczej w ogóle by niczego nie próbował. Ale dlaczego teraz próbuje?!

– Co ty robisz? Oszalałeś? – zaprotestowała raczej nieśmiało. – Nie rób tego, proszę.

Jacek przestał na chwilę. Ale po kilku sekundach ona sama wsunęła jego dłoń pod rozpiętą już bluzkę, a dwie minuty później oboje, bez żadnego już ubrania na sobie znaleźli się w sypialni. Po drodze do niej, w drugim pokoju służącym Jackowi za biuro, Marzena kątem oka zauważyła tylko stojącą na biurku ledwie napęczętą butelkę wódki, kieliszek i otwarty laptop.

Chwilę po tym, gdy już zmęczeni i spoceni leżeli obok siebie, pani mecenas bardzo żałowała tego, co się stało. Przecież nie kochała Jacka, od wielu lat ją głównie irytował... Chociaż nie, lubiła go, po prostu lubiła... A może jednak trochę kochała?

Nie, chyba nie... Zresztą to i tak nie powinno się zdarzyć. Dlatego zdecydowanie wstała z łóżka i sięgnęła po najbliższą leżącą część garderoby. Ale wtedy on mocno przyciągnął ją do siebie.

– Jacek, nie powinniśmy... – powiedziała jeszcze, zanim poddała się jego pocałunkowi.

Tak samo próbowała protestować kilka następnych razy, choć zdawała sobie sprawę, jak śmieszne są już w tej chwili jej opory. Chciała też wymknąć się po cichu, ale Przypadek wydawał się nie zasypiać. W końcu ona sama zasnęła.

Obudziła się rano, bardzo wcześnie, bo słońce ledwie zaczęło zaglądać do sypialni. Była w łóżku sama. W pierwszej chwili pomyślała, że teraz jest świetna okazja, by się ubrać i wymknąć niepostrzeżenie, nie pozwalając się znów zatrzymać. Ale żeby tak się stało, musiałaby usłyszeć dźwięk prysznicza lub całkowitą ciszę, świadczącą o tym, że gospodarz gdzieś wyszedł.

Zamiast tego dobiegł ją brzęk szkła. Zrzuciła więc tylko koszulę, zapięła symbolicznie dwa guziki i wyszła z sypialni. Jacek siedział w swoim biurze, a butelka wódki stojąca na biurku, wczoraj ledwie napoczęta, była już prawie pusta. Przypadek był wpatrzony w ekran laptopa przed sobą i kompletnie nie zwracał uwagi na panią mecenas. Marzenie przyszło nawet do głowy, że spokojnie mogłaby się ubrać i wyjść, a on by tego nie zauważył.

Zamiast tego weszła do pokoju. Stała w chwilę w milczeniu, jakby czekając, że Jacek na nią spojrzy, ale on wciąż wpatrywał się w ekran. Dlatego odezwała się w końcu:

– Chyba będziemy się mieli z czego spowiadać.

Dopiero te słowa sprawiły, że Przypadek spojrzał w jej stronę. To znaczy może nie dokładnie na nią, raczej gdzieś obok, ponad jej ramieniem. I rzekł martwym głosem:

– Malwina znalazła Basię.



JUŻ W KSIĘGARNIACH



Polecamy serię komedii kryminalnych z genialnym detektywem Jackiem Przypadkiem w roli głównej. Łączy on w sobie przenikliwość Sherlocka Holmesa z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a.

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



„Kryminał to taki romans, tyle że z trupem w tle”
– mawia jedna z bohaterek doskonałych komedii kryminalnych Jacka Getnera. Te książki to najlepszy dowód na to, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

Tym razem los na drodze Jacka stawia same silne kobiety. Najpierw Przypadek musi złapać zabójczynię naczelnej polskiej feministki. Nie jest to łatwe, gdyż wśród podejrzanych dominują jej koleżanki po fachu. Następnie nasz detektyw będzie starał się dowiedzieć, kto chce uśmiercić królową polskiego biznesu, co ma się stać dokładnie w jej urodziny. A na koniec – odnaleźć brata najszybszej kobiety w Polsce, narażając się przy tym medialnemu magnatowi.



Wszystko to mu się udaje, gdyż łączy w sobie przenikliwość Sherlocka Holmesa z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a. A także dlatego, że coraz lepiej układa się jego współpraca z podkomisarzem Łosiem, a jego wywiadowcami stają się warszawscy bezdomni zbieracze złomu.



To kolejna powieść z cyklu doskonałych komedii kryminalnych, w których nic nie dzieje się przypadkiem, a wszystko dzieje się z Jackiem Przypadkiem!



Jacek Getner

– wicehrabia polskiej komedii kryminalnej. Autor m.in. książek o genialnym detektywie Jacku Przypadku, pomysłodawca i fundator corocznej nagrody „Zbrodnia z przymrużeniem”, laureat nagród dramaturgicznych, w tym Nagrody im. Rolanda Topora. Wyznaje zasadę, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony. Swoją przygodę z pisaniem zaczął od tworzenia zabawnych reklam, by potem stać się współscenarzystą serialu „Daleko od noszy”.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat
medialny:

PORTAL
KRYMINALNY

KLUB
FAMILIARNY
KWARTALNIK

ISBN: 978-83-67084-77-2



cena:
39,99 zł
(w tym
5% VAT)